B. LEŚMIAN

PRZYGODY Sindbada ŻEGLARZA

BOLESŁAW LEŚMIAN • *PRZYGODY SINDBADA ŻEGLARZA*

„BIBLJOTEKA MIŁOŚNIKÓW KSIĄŻKI“ Wydawca: INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLJOTEKA POLSKA“ S. A. w Warszawie Opracowanie graficzne oraz ilustracje ATELIER GIRS-BARCZ w Warszawie. Trzydzieści egzemplarzy odbito na krajowym papierze czerpanym z ilustracjami wykonanemi w akwaforcie iluminowanej z inicjałami złoconemi dukatem. Tłoczono czcionkami ZAKŁADÓW GRAFICZNYCH INSTYTUTU WYDAWNICZEGO „BIBLJOTEKA POLSKA“ S. A. w Bydgoszczy

R O K
1 9 3 6



PRZYGODA WSTĘPNA

NAZYWAM SIĘ SINDBAD. MIESZKAM STALE W BAGDADZIE. RODZICE MOI, UMIERAJĄC, ZOSTAWILI MI W SPADKU TYSIĄC WORÓW ZŁOTA, TYSIĄC BECZEK SREBRA, STO PAŁACÓW, STO OGRODÓW I JEDEN TRZONOWY ZĄB MEGO PRADZIADKA, KTÓRY OJCIEC MÓJ PRZECHOWYWAŁ W HEBANOWEJ SZKATUŁCE, JAKO PAMIĄTKĘ I OSOBLIWOŚĆ. PRADZIADEK MÓJ PRZEZ CAŁE ŻYCIE CHOROWAŁ NA BÓL ZĘBÓW I CO PEWIEN CZAS INNY ZĄB MUSIAŁ WYRYWAĆ TAK, ŻE WKOŃCU JEDEN MU TYLKO ZĄB TRZONOWY POZOSTAŁ. UMIERAJĄC, KAZAŁ SOBIE WYRWAĆ I TEN OSTATNI ZĄB TRZONOWY, KTÓRY PRZESZEDŁ W SPADKU OD MEGO DZIADA DO MEGO OJCA, A OD OJCA - DO MNIE. BYŁ TO ZWYCZAJNY, ZEPSUTY I SCZERNIAŁY ZĄB. JESTEM PEWIEN, ŻE NA ŚWIECIE ZNALEŹĆ MOŻNA BARDZO WIELE TAK SAMO ZEPSUTYCH I SCZERNIAŁYCH ZĘBÓW, LECZ NIE KAŻDY Z NICH TRAFIA DO HEBANOWEJ SZKATUŁKI, ABY STANOWIĆ PAMIĄTKĘ I OSOBLIWOŚĆ. TEN - TRAFIŁ. NIERAZ, PRZYGLĄDAJĄC MU SIĘ Z CIEKAWOŚCIĄ I SZACUNKIEM, WYOBRAŻAŁEM SOBIE, JAK TEN ZĄB BOLAŁ NIEGDYŚ MEGO PRADZIADA! Po śmierci rodziców, zamieszkałem w pałacu wraz z jedynym moim wujem Tarabukiem. Wuj Tarabuk był poetą. Codzień niemal układał wiersze i odczytywał je potem tak głośno, że dostawał bólu gardła i musiał je starannie przepłókiwać lekarstwem, które pilnie ukrywał przed okiem ludzkiem, zachowując ścisłą tajemnicę. Twierdził przytem, że gardło go wcale nie boli i że nie ma przeto potrzeby płókania gardła lekarstwem.

Wuj Tarabuk kochał poezję, lecz nienawidził gramatyki. Pisał z błędami i zazwyczaj na jedno słowo dwa do trzech błędów popełniał. Wstydził się wszakże swej błędnej pisowni i twierdził, że popełnia błę-

dy umyślnie, ażeby potem mieć sposobność i przyjemność poprawiania swych utworów. Nie zauważyłem jednak, ażeby wuj Tarabuk raz napisany wiersz kiedykolwiek poprawiał.

Wuj Tarabuk miał stolik składany, srebrny kałamarz i złote pióro. Z temi przyborami chadzał na brzeg morza, siadał nad brzegiem i, wsłuchany w szumy morskie, pisał swe wiersze.

Pewnego razu o poranku poszedł na brzeg morza. Ustawił stolik składany, umoczył złote pióro w srebrnym kałamarzu i zaczął pisać jakiś wiersz na różowym papierze.

Pisał i pisał, skrobał i skrobał, pocił się i pocił, sapał i sapał, aż wreszcie, po nieludzkich trudach i mękach, ułożył wiersz następujący:

Morze - to nie rzeka, a ptak to - nie krowa!
Szczęśliwy, kto kocha rymowane słowa!
Rymuj mi się, rymuj, drogi mój wierszyku!
Stój w miejscu cierpliwie, składany stoliku!
Stoi stolik, stoi, zachwiewa się nieco,
Za stolikiem - morze, za morzem - Bóg wie co!

Napisawszy ten wiersz, wuj Tarabuk odczytał go głośno i zawołał: »Piękny wiersz! Jaki prawdziwy początek! Morze to nie rzeka, a ptak to - nie krowa. Któż zaprzeczy prawdzie tych słów! I jaki trafny koniec! Za stolikiem - morze, za morzem - Bóg wie co. Rzeczywiście, za morzem widać mgłę, a w tej mgle dal nieznaną. Jeden Bóg wie, co się w tej dali kryje? Dlatego też napisałem: za morzem - Bóg wie co«.

Wuj Tarabuk zatarł ręce z zadowolenia i wyciągnął z kieszeni butelkę z tajemniczem lekarstwem, ażeby przepłókać gardło, nadwerężone głośnem odczytaniem świeżo napisanego wiersza. Trudno uwierzyć, ile błędów gramatycznych zdążył popełnić wuj Tarabuk w tak krótkim wierszyku! Zamiast rzeka, pisał żega, zamiast ptak, pisał bdag. Nie chcę wszystkich błędów wyliczać, aby nie ośmieszać swego wuja, którego kocham i poważam. Zresztą sam wuj Tarabuk czuł, że pisze błędnie. A chociaż nie mógł swych własnych błędów zauważyć, wszakże, powtórnie wiersz przeglądając, zaczął każde słowo o błąd podejrzewać. Szereg tych nieustannych podejrzeń tak go zmęczył, że wreszcie, poprawiwszy bdaga na bdacha, zasnął snem nagłym, smacznym i pokrzepiającym. Spał, kiwając się bezwolnie nad składanym stolikiem i co chwila pochrapując, bo wuj Tarabuk chrapać lubił i umiał.

Chmury zgromadziły się na niebie, morze rozbłysło srebrnemi wstęgami rozszumiałych pian, zerwała się burza.
Wuj Tarabuk spał.
Wicher uderzył w stolik składany, porwał srebrny kałamarz i złote pióro i wrzucił je do morza.
Wuj Tarabuk spał.
Utonęło złote pióro i srebrny kałamarz. Po raz pierwszy obydwa te przedmioty znalazły się na dnie morskiem wśród dziwacznych ryb i potworów. Wicher powtórnie uderzył w stolik składany i zwiał wszystkie papiery do morza. Były to - niestety! - wszystkie wiersze wuja Tarabuka, które napisał od lat dziecinnych aż do chwili ostatniej. Wiersze zakołysały się na wzburzonych falach i zaczęły moknąć. Mokły, mokły, aż przemokły i, ociężałe od wypitej wody, poszły na dno wślad za kałamarzem i piórem.
Morze, poczuwszy w swej głębi rymowane utwory wuja Tarabuka, wzburzyło się jeszcze bardziej, zaszumiało, zaryczało tak mocno, że wuj się nareszcie zbudził.
Zbudził się i spojrzał na stolik. Nie ujrzawszy na stoliku swych skarbów, zaczął płakać i wrzeszczeć i wyrywać włosy z głowy.
Płacząc, wrzeszcząc, wyjąc, skomląc i wyrywając pęki bujnych włosów, pobiegł zpowrotem do domu, pochwycił wędkę największą, wrócił z nią na brzeg morza i zarzucił wędkę do wody. Myślał wuj Tarabuk, iż mu się uda wędką rękopisy swoje z głębiny morskiej powyławiać.
Odtąd wuj Tarabuk codzień z wędką nad morze chadzał, lecz nadaremnie! Nigdy bowiem nie udało mu się ani jednego rękopisu wyłowić!
Tymczasem wszystkie rękopisy wuja leżały na dnie. Zauważyła je pewna ryba, zwana Djabłem Morskim. Jest to ryba z pękatym brzuchem, olbrzymią paszczą i strasznemi oczyma. Ma wszakże tę zaletę, iż jest uczona. Umie czytać i pisać. Otóż Djabeł Morski, ujrzawszy rękopisy, zbliżył się do nich i zaczął uważnie odczytywać. Po odczytaniu kilku rękopisów, machnął gniewnie ogonem i zawołał:
»Nigdy jeszcze nie czytałem tak głupich, brzydkich i nieznośnych wierszy! Nadomiar złego, w każdem słowie dwa do trzech błędów się ukrywa. Domyślam się, że autorem tych wierszy jest wuj Tarabuk, który codzień nad brzegiem morza wysiaduje przy składanym stoliku
 i suszy głowę nad rymami. Dobrze się stało, że wicher zwiał mu ze sto-

lika te rękopisy wraz ze srebrnym kałamarzem i złotem piórem! Może przestanie wreszcie tworzyć te obrzydliwe wiersze! Ma on bardzo miłego siostrzeńca Sindbada i mieszka z nim razem w pałacu. Biedny to siostrzeniec, który z takim wujem mieszkać musi pod jednym dachem! Skorzystam z tego srebrnego kałamarza i złotego pióra aby napisać list do Sindbada. Poproszę mojej dobrej znajomej Ryby Latającej, żeby ten list Sindbadowi wręczyła«.

Djabeł Morski zabrał się natychmiast do pisania listu. Wybrał rękopis, którego jedna tylko strona była zapisana, a druga pusta i zaczął szybko złotem piórem pisać na pustej stronie.

Wiem o tem wszystkiem, co się działo na dnie morza, gdyż pewnej nocy otrzymałem list od Djabła Morskiego i z treści tego listu domyśliłem się, że działo się właśnie tak, a nie inaczej.

Siedziałem w oknie otwartem i patrzyłem przez okno w niebiosy, na których płonęła pełnia księżycowa. Nagle usłyszałem w powietrzu dziwny, suchy, ostry szum skrzydeł. Był to szum osobliwy, do żadnych szumów niepodobny. Żaden ptak nie szumi tak skrzydłami.

Wysunąłem głowę przez okno i zacząłem uważniej wpatrywać się w księżycową jasność pogodnej nocy. Po chwili, ujrzałem w powietrzu Rybę Latającą.

Jej skrzydła, podobne do ogromnych skrzeli, srebrzyły się w księżycu. Poruszała niemi powoli i z trudem. Nie była snadź przyzwyczajona do lotu nad ziemią i raził ją zapewne brak wody morskiej w powietrzu. Leciała jednak wytrwale, mieniąc się w świetle księżyca łuską tęczową. Widziałem, jak szybko porusza zmęczonym pyskiem, chwytając dech, utrudniony brakiem wody. W pysku trzymała kawał różowego papieru. Leciała wprost ku mnie.

Zbliżywszy się do okna, podała mi papier różowy. Zaledwo ten papier wyjąłem jej z pyska, ryba natychmiast umknęła zpowrotem i wkrótce znikła mi z oczu.

Spojrzałem na papier. Na jednej jego stronie świetniał kaligraficznie i starannie, lecz z okropnemi błędami napisany wiersz wuja Tarabuka. Poznałem odrazu charakter jego pisma i, nie chcąc odczytywać nudnego i głupiego wiersza, odwróciłem arkusz papieru i spojrzałem na drugą jego stronę.

 Na drugiej stronie, u góry, olbrzymiemi literami czernił się napis:

Wielmożny Sindbad
w Bagdadzie.

Niżej, pod tym napisem, znajdował się list do mnie, treści następującej:

Piszę z morza do Ciebie, kochany Sindbadzie!
Choć się burza zerwała i fala się kładzie
Na mój grzbiet i przerywa mój spokój i ciszę,
Ja - mimo burz i wichrów - list do ciebie piszę.
Nazywają mię ludzie Djabłem Morskim, ale,
Choć jestem Morskim, Djabłem nie czuję się wcale.
Przeciwnie - jestem dobry, tkliwy, choć rubaszny,
Bo mam brzuch zbyt pękaty i pysk bardzo straszny.
Nie sądź mnie po pozorach, ani po wyglądzie,
Ja zjadam ryby w morzu, ty zjadasz - na lądzie,
Ja połykam je żywcem, ty - po usmażeniu.
Obydwaj dogadzamy swemu podniebieniu,
Obydwaj pożeramy chętnie, co się zdarza,
Z tą różnicą, że nie mam tak, jak ty, kucharza.
Ja wolę ryby z morza, ty - ryby z patelni,
Lecz obydwaj jesteśmy w pożeraniu - dzielni.
Mimo to, nikt cię Djabłem dotąd nie przezywa,
A mnie w dziale przypadła ta nazwa straszliwa!
Ani burza najsroższa, ani złe wichrzysko
Nie męczy mię, nie boli tak, jak to przezwisko!
Trudno! Muszę je nosić, choćby z tej przyczyny,
By nie zostać bez nazwy wśród morskiej głębiny!
Przysięgam ci, że djabłem nie jestem i wolę
Pływać w morzu, niż w ogniu piekielnym lub smole.
Ufam, że ci wystarczy ta moja przysięga.
Piszę ten list z powodu, iż wicher - włóczęga,
Który na brzegu przygód bylejakich szuka,
Zwiał do morza papiery wuja Tarabuka,
Słynny srebrny kałamarz, tudzież złote pióro.

Płynąłem właśnie, gnany falą i wichurą,
7 *I pod wodą papiery widząc niespodzianie,*

Zacząłem chciwie czytać, bo lubię czytanie,
A nawet wolę wiersze od zwyczajnej prozy.
Przeczytałem - i dotąd od gniewu i zgrozy
Trzęsę się, bo, doprawdy, w życiu po raz pierwszy.
Przeczytałem tak dużo tak okropnych wierszy!
Co za rymy bez sensu wuj Tarabuk przędzie!
Głupstwo siedzi na głupstwie, błąd siedzi na błędzie,
Osioł pisałby lepiej, a noga stołowa
Więcej ma w sobie sensu, niźli jego głowa!
Sindbadzie! Jakże możesz żyć pod jednym dachem,
Z takim głupcem nieznośnym i z takim postrachem?

Jak możesz spać spokojnie w tym samym budynku,
Gdzie Tarabuk swe rymy tworzy bez spoczynku?
Opuść prędzej swój pałac i pożegnaj wuja,
Czyż nie nęci cię okręt, co po morzu buja?
Czyż nie wabi cię podróż dziwna i daleka?
Cud nieznany w nieznanej podróży cię czeka.
Czeka cię bajka senna w zaklętej krainie,
I Królewna stęskniona, co z urody słynie,

I skarby i przepychy i dziwy i czary!
Pędź na lotnym okręcie przez morza obszary,
Zwiedzaj wyspy, półwyspy, lądy i przylądki,
I najdalsze zatoki, najskrytsze zakątki,
Zwalczaj wszelkie przeszkody i wszelkie zawady!
Pędź, leć, płyń bezustanku! Posłuchaj mej rady!
Tego ci życzy, ukłon przesyłając dworski,
Kochający cię szczerze - twój druh
Djabeł Morski.

Przeczytałem ten list jednym tchem i wyznam, żem nigdy nie przypuszczał, ażeby Djabeł Morski pisał tak składnie i poprawnie. List ten wywarł na mnie wielkie wrażenie. Rady Djabła Morskiego wydały mi się i słuszne i ponętne. Oddawna mi się znudził i mój pałac i wuj Tarabuk i wiersze wuja Tarabuka. Oddawna pragnąłem zaznać przygód i niebezpieczeństw. Prócz tego, list Djabła Morskiego, czytany w świe-

tle księżyca, oczarował mię przenikliwym, nieodpartym czarem. Każde słowo, pisane czarnym atramentem na różowym papierze, dziwnie migotało w blasku księżycowym i tak mnie upajało, żem poczuł wkońcu zawrót głowy. Każda litera wydzielała ponętny zapach morskiej trawy. Zapach ten przenikał do mej duszy i budził w niej żądzę podróży morskiej. Bezwątpienia, list ten był zaklęty, a treść jego, mimo dobrodusznych pozorów - była naprawdę djabelska. Przebiegły Djabeł Morski w wyrazach łagodnych i tkliwych namawiał mię do opuszczenia rodzinnego domu i jedynego wuja. Poddałem się jednak czarom tej namowy. Byłem tak zachwycony listem, adresowanym na moje imię z tajemniczych głębin morza, że byłbym natychmiast odpisał Djabłu Morskiemu, gdyby Ryba Latająca zaczekała na moją odpowiedź.

Lecz Ryby Latającej oddawna już nie było. Nie czekając na odpowiedź, uciekła zpowrotem do morza.

Całą noc przesiedziałem przy oknie, w głębokiej zadumie.

Nad ranem wyczekałem chwili, gdy wuj Tarabuk z wędką w ręku wychodził właśnie z pokoju, aby swoim zwyczajem udać się nad morze dla wyłowienia zgubionych rękopisów.

Był blady i smutny. Strata ukochanych rękopisów rujnująco wpłynęła na jego zdrowie. Postarzał się o lat sto zgórą, chociaż miał dopiero lat pięćdziesiąt. Stał się małomówny i nie kończył słów, które zaczynał. I teraz spojrzał na mnie smutnie i rzekł:

»Dzieńdo...«

Miało to znaczyć: dzieńdobry. Zmartwienie i żal głęboki nie pozwalały mu słów domawiać. Przyzwyczaiłem się do tych niecałkowitych i niedokończonych wyrazów i po pierwszej niemal sylabie zgadywałem ich przemilczaną resztę.

»Dzieńdobry - odrzekłem - jakże się spało tej nocy wujowi?«

»Jaknaj...« - odpowiedział wuj Tarabuk.

Miało to znaczyć: jak najgorzej, wuj bowiem po stracie rękopisów cierpiał na bezsenność.

»Muszę się z wujem pożegnać! - rzekłem głosem stanowczym.- Dziś w nocy postanowiłem wyruszyć w podróż daleką. Czy wuj ma co przeciw temu?«

9 »Nie« - odpowiedział wuj.

Nie - było jednem z tych słów, które wuj wymawiał całkowicie. Po stracie rękopisów, wuj Tarabuk stał się tak obojętny na wszelkie sprawy, że nie wzruszyła go wcale wiadomość o mojej podróży.
Rzuciłem mu się na szyję i zacząłem go ściskać i całować.
»Wuju! - zawołałem. - Żegnam cię na długo i życzę, abyś powyławiał z morza wszystkie swoje rękopisy!«
Wuj Tarabuk ucałował mię w czoło i rzekł głosem złamanym:
»Weso...«
Miało to znaczyć: wesołej podróży!
Poczem wuj Tarabuk wyszedł, a po chwili zobaczyłem przez okno, jak kroczył w stronę morza, potrząsając wędą.
Tegoż dnia wyjechałem konno z Bagdadu do Balsory, Balsora bowiem jest miastem portowem i okręty z portu balsorskiego odpływają we wszystkie strony świata.
W Balsorze wsiadłem na okręt, który płynął w kraje dalekie i nieznane. Stanąłem na pokładzie okrętu i patrzyłem, jak ląd się ode mnie oddala i jak powoli znika mi z oczu. Wiał wiatr przychylny. Wzdęte żagle połyskiwały na słońcu. Morze błękitniało i zieleniało. Mewy z krzykiem unosiły się nad żaglami, wzlatywały nad powierzchnią wody i muskały tę powierzchnię białemi skrzydłami.
Gdy ląd zniknął mi z oczu, uczułem wokół bezmiar i nieskończoność.
Nade mną - niebo, pode mną - morze, przede mną - dal nieznana i niezbadana.
Wyjąłem z kieszeni list Djabła Morskiego, aby ten list czarowny raz jeszcze odczytać. Czytałem go, upajając się każdem słowem, i tak przytem wymachiwałem rękami, że kapitan okrętu zbliżył się do mnie i zapytał:
»Co czytasz, mój przyjacielu, że tak dziwacznie przytem wymachujesz rękami?«
»List Djabła Morskiego« - odrzekłem ze szczerością i prostotą.
»Co? - spytał znowu zdziwiony kapitan. - Zdaje mi się, żem nie dosłyszał twej odpowiedzi?«
»List Djabła Morskiego« - powtórzyłem głośniej z jeszcze większą szczerością i z jeszcze większą prostotą.

P R Z Y G O D A   P I E R W S Z A

KAPITAN, posłyszawszy moją odpowiedź, rzekł, przyglądając mi się uważnie:
»Mówili mi nieraz moi marynarze, że Djabły Morskie umieją czytać i pisać. Nie wierzyłem dotychczas tym opowiadaniom. Teraz jednak przekonywam się naocznie, iż twierdzenia moich marynarzy były prawdziwe. Byłbym ci niezmiernie wdzięczny, gdybyś mi pozwolił ten list przeczytać, o ile, ma się rozumieć, nie zawiera on jakichś tajemnic osobistych«. »Chętnie zaspokoję twą ciekawość, kapitanie - odrzekłem, podając mu list - list ten przyniosła mi w pysku Ryba Latająca, gdym siedział przy otwartem oknie mego pałacu«.
Kapitan przeczytał list i zawołał jednego z najstarszych marynarzy.
»Mam w ręku list Djabła Morskiego - rzekł do marynarza. - Ponieważ jesteś doświadczony, więc powiedz, czy obecność takiego listu na okręcie przynosi szczęście czy też nieszczęście?«
»Nieszczęście« - odparł stary marynarz głosem poważnym i ponurym.
»Cóż tedy mam uczynić z tym listem?« - spytał kapitan.
»Wrzuć co prędzej do morza!« - powiedział marynarz.
»Sindbadzie! - zawołał kapitan. - Musisz się zgodzić na to, że cię pozbawię tego listu«.
»Zgadzam się na to, kapitanie! - odrzekłem natychmiast. - Miałbym przez całe życie wyrzuty sumienia, gdybym był nieświadomym sprawcą czyjegokolwiek nieszczęścia«.
Kapitan wrzucił list do morza. List, zamiast płynąć po wodzie, zaczął się kurczyć, prężyć, przeskakiwać z fali na falę, aż wreszcie sam się złożył w dwoje, potem w troje, potem w czworo i nagle zaszumiał, zaszeleścił, zamienił się w pianę morską i rozpłynął się w nic na powierzchni fali. Marynarz spojrzał zpodełba na mnie i rzekł ponuro: »Gdybyś ten list zachował przy sobie, zginąłbyś po kilku godzinach podróży wraz z całą załogą. Teraz, po wrzuceniu listu do morza, czekają cię przygody, nieszczęścia, niespodziane przypadki i nieprzewi-

dziane niebezpieczeństwa. Bardzo mi się niepodoba, że otrzymujesz listy od Djabła Morskiego, ale przypuszczam, że jesteś niedoświadczony i nie znasz się na Djabłach Morskich, ani na ich listach«.

Nic nie odpowiedziałem marynarzowi, jeno spojrzałem na kapitana, czekając, co powie. Czułem bowiem, że marynarz spogląda na mnie podejrzliwie i posądza mnie o jakieś tajemnicze konszachty z Djabłem Morskim. Kapitan też to spostrzegł i rzekł do marynarza:

»Nie patrz tak podejrzliwie na tego młodzieńca, gdyż ręczę ci za jego niewinność. Gdyby miał jakieś złe zamiary, ukrywałby przed nami list Djabła Morskiego; tymczasem wyznał mi sam z zupełną szczerością i prostotą, że czyta list Djabła Morskiego i powtórzył to wyznanie dwa razy z rzędu«.

Uspokojony słowami kapitana, marynarz się oddalił, lecz całej załodze opowiedział natychmiast o tem, co się stało. To też wszyscy, prócz kapitana, zaczęli się boczyć na mnie i unikać mego towarzystwa.

Z nikim nie mogłem się zaprzyjaźnić, ani nawet przelotnej rozmowy nawiązać. Nawet obiad spożyłem osobno, nie zaś przy stole ogólnym, ponieważ załoga zażądała zupełnego usunięcia mej osoby od zebrań wspólnych. Słyszałem tylko gwar i śmiechy przy stole, lecz nie miałem prawa zasiąść do tego stołu.

Kapitan wytłumaczył mi, iż musiał ustąpić żądaniu załogi, aby nie drażnić marynarzy.

Samotny więc stałem w kącie pokładu i patrzyłem na morze, które wzbierało szafirową falą, spienioną na grzbiecie. Fala była wysoka, lecz obszerna. Okręt kołysał się na niej powoli, to wbiegając na jej grzbiet sprężony, to zsuwając się z tego grzbietu wdół, aby się znów na następną falę przedostać.

Słońce świeciło, skrząc się i płonąc na nierównościach i zagięciach fal. Pogoda była cudowna. Wiatr, który wzdymał nasze żagle, ustawał. Nadchodziła powoli, nieznana mi dotąd, nieruchoma, drętwa Cisza Morska. Fale się co chwila zmniejszały, powierzchnia morza wygładzała się coraz bardziej.

Stałem wciąż na pokładzie i upajałem się pogodą.

Nagle posłyszałem niespokojny ruch całej załogi.

 Obejrzałem się za siebie.

Tłum marynarzy roił się na pokładzie, mrucząc i ponuro spoglądając w czyste, pogodne niebiosy. Znać było po nich trwogę i niepokój. Nie mogłem zrozumieć, skąd ta trwoga i ten niepokój? Wszakże niebo było czyste - bez chmury, bez skazy. Pogoda utrwaliła się na długo. Żadna burza nie groziła naszemu okrętowi.
Upajałem się słońcem i ciszą, ze zdziwieniem patrząc na zatrwożonych widokiem pogodnego nieba marynarzy. Kapitan stał pośród nich i z taką samą trwogą przyglądając się niebiosom, coś mówił czy też wydawał jakieś rozkazy.
Stałem na końcu pokładu i nie mogłem dosłyszeć głosu kapitana. Zaciekawiony jednak ogólnym zgiełkiem i niepokojem, zbliżyłem się nieco, aby pochwycić słowa kapitana.
»Nie spodziewałem się takich przeszkód i takiej przewłoki - mówił kapitan - miałem nadzieję, a nawet pewność, że los będzie sprzyjał okrętowi. Tymczasem musimy się pogodzić z nieszczęściem, które na nas spada. Nieszczęście to jest zbyt widoczne, aby można było o niem wątpić. Wicher co chwila ustaje, powierzchnia morza wygładza się z niezwykłym pośpiechem, fala za falą znika i zamiera. W powietrzu zaczyna dzwonić straszna, groźna, przeraźliwa i gniewna cisza morska. Jeszcze chwila - a wszelki powiew zamrze, żagle znieruchomieją i zamiast się wzdymać, zwisną bezsilnie. Okręt zatrzyma się, jak skamieniały, w tej martwocie i w tym bezruchu. Będziemy zmuszeni stać w miejscu dopóty, dopóki wiatr ladajaki nie przyjdzie nam z pomocą. Wolę burzę, niż tę Ciszę Morską. Z burzą można walczyć, z ciszą walka jest niemożliwa«.
Zrozumiałem teraz, że pogoda i cisza, którą się tak upajałem, jest groźnym dla okrętu wypadkiem. I rzeczywiście, wiatr z każdą chwilą bezsilniał, a żagle wzdymały się coraz słabiej, niechętniej i niedołężniej. Dalszy ciąg rozmowy pomiędzy kapitanem a marynarzami napełnił mię przerażeniem. Stary ów bowiem marynarz, który list Djabła Morskiego kazał wrzucić do morza, rzekł głosem ponurym, wskazując mię palcem i zwracając się wprost do kapitana:
»Ten nieznajomy jest przyczyną naszego nieszczęścia. Niepodoba mi się bardzo jego korespondencja z Djabłem Morskim. Gdybym był kapitanem, kazałbym go wrzucić do morza wraz z listem Djabła Morskiego. Obecność tego człowieka na okręcie może być przyczyną tysiąca nieszczęść i przypadków«.

Dreszcz przeszył mię od stóp do głowy. Czułem, że blednę i z przerażeniem spojrzałem w głębinę morską, która z porady starego marynarza mogła za chwilę stać się moim grobem. Z biciem serca jąłem nasłuchiwać odpowiedzi kapitana, od której życie moje zawisło.

Kapitan zmarszczył brwi, zamyślił się głęboko i milczał. Milczał tak długo, że milczenie jego stawało się dla mnie tak samo groźne, jak Cisza Morska dla okrętu. Im dłużej milczał, tem większy niepokój mię ogarniał. Zataiłem dech, natężyłem słuch - i czekałem. Zdawało mi się, że na czas jego milczenia przestałem istnieć.

Wreszcie kapitan rzekł po długim namyśle i po jeszcze dłuższem milczeniu:

»Nie masz słuszności, mój stary i wierny marynarzu. Młodzieniec ten nie jest ani złym człowiekiem, ani przebiegłym czarnoksiężnikiem na usługach Djabła Morskiego. Otrzymał ów list przypadkowo, a ponieważ list był do niego adresowany, więc odebrał go i zachował przy sobie, nie domyślając się nawet niebezpiecznych wpływów tego listu. Wyraz twarzy tego młodzieńca, jego zachowanie się, dźwięk głosu, a przedewszystkiem szczerość i prostota-aż nadto świadczą o jego szlachetności. Nietylko nie wrzucę go do morza, lecz zabraniam całej załodze urażać go lub czynić mu cokolwiek złego«.

Odpowiedź kapitana przywróciła mi spokój. Odetchnąłem swobodniej. Byłem uradowany. Przeklinałem w duchu Djabła Morskiego, który przysyłką tego listu naraził mię na samym wstępie podróży na nieprzychylność marynarzy i na możliwość utonięcia w głębinie morskiej z ich porady i z ich zlecenia. Gdyby nie rozum i dobroć kapitana, wrzuconoby mnie niechybnie do morza. Miał słuszność stary marynarz, że za przyczyną listu djabelskiego czyhają na mnie niebezpieczeństwa i przygody.

Uspokojony odpowiedzią kapitana, usunąłem się znów na koniec okrętu i spojrzałem na morze. Cisza Morska wzrastała, olbrzymiała, napełniając powietrze coraz większa martwotą. Okręt płynął jeszcze, ale coraz zwalniał biegu.

Nagle usłyszałem gromadny i radosny krzyk marynarzy: »Wyspa! Wyspa!«

Spojrzałem przed siebie i rzeczywiście zobaczyłem wpobliżu zieleniejącą na powierzchni morza małą wysepkę.

Okręt, ostatnim wysiłkiem żagli pchnięty, zbliżył się do wysepki i zatrzymał się nagle bez ruchu. Nie było nadziei na to, aby popłynął dalej. Cisza Morska znieruchomiła go zupełnie.

Musieliśmy więc stać w miejscu i czekać, aż wiatr jakikolwiek nadejdzie.

Część załogi, znudzona bezczynnem wyczekiwaniem wiatru na pokładzie, postanowiła przedostać się na wyspę, aby tam spędzić czas wyczekiwania.

Kilkunastu marynarzy wysiadło natychmiast i zaroiło się na wyspie.

Wysiadłem i ja za ich przykładem, aby zwiedzić wyspę. Po raz pierwszy bowiem w życiu widziałem wyspę na morzu.

Gdy dotknąłem stopą gruntu wyspy, zdziwiony byłem jego miękkością i sprężystością. Miałem wrażenie, że grunt ten jest żywy i że życie w nim nieustannie pulsuje. Przyłożyłem ucho do ziemi i posłyszałem równomierne odgłosy czy też pukania, podobne do bicia serca.

Ponieważ marynarze trzymali się zdala ode mnie, więc samotny błądziłem po wyspie. Zaszedłem na sam jej koniec i stanąłem na brzegu.

Wyspa była pokryta dziwacznemi wodorostami i krzewami. Niektóre krzewy były tak gęste i wysokie, że z łatwością mogłem się w nich ukryć. Marynarze zaopatrzyli się w chróst, w pale, a nawet belki, których poddostatkiem było na okręcie. Rozłożyli ognisko, ażeby upiec kartofle. Wkrótce ognisko wybuchło wesołym, błękitnawo-złotym płomieniem, w którym się kędzierzawiły ruchliwe kłęby burego dymu.

Ponieważ nie miałem drzewa i nie mogłem ogniska rozłożyć, wyjąłem z kieszeni nóż podróżny i zlekka zanurzyłem go w ziemi, ażeby zbadać dziwny grunt wyspy.

Ledwo dotknąłem gruntu ostrzem swego noża, a natychmiast trysnęła mi w twarz krew zimna, lecz purpurowa.

Zdziwiło mię to zjawisko! Przyszedłem do wniosku, iż zapewne niektóre wyspy posiadają grunt krwisty.

Tymczasem dym z ogniska buchał coraz gwałtowniej. Chróst i drzewo rozżarzyły się tak, że upał i żar od głowni napełnił Ciszą Morską przejęte i stężałe powietrze.

Spojrzałem w stronę ogniska i zauważyłem, że grunt wyspy, jego żarem i płomieniem dotknięty, zaczyna skwierczeć i syczeć boleśnie, jakby go żywcem smażono lub pieczono.

I rzeczywiście, zapach smażonej czy też pieczonej ryby napełnił naraz powietrze.
Po chwili zauważyłem, że pod wpływem żarów ogniska, cała wyspa zaczyna kurczyć się, poruszać i chwiać się w swoich posadach.
Przyłożyłem znów ucho do ziemi i dosłyszałem szybsze i gwałtowniejsze uderzenia zagadkowego serca, podobne tym razem do niespokojnych uderzeń młota o kielnię.
Grunt zakołysał się pode mną i usłyszałem nagle głos kapitana, stojącego na przodzie okrętu:
»Co tchu opuścić wyspę! To nie wyspa, lecz grzbiet wieloryba! Cielsko jego pogrąża się w morzu! Utoniecie wszyscy!«
Na ten okrzyk kapitana, marynarze w okamgnieniu przedostali się z domniemanej wyspy na okręt. Nagły i niespodziany wicher powiał od północy. Żagle się wzdęły i okręt począł szybko odpływać.
Ponieważ byłem na samym końcu olbrzymiego cielska, pokrytego wodorostami, więc nie zdążyłem wraz z tłumem marynarzy dobiec do okrętu. Kilka razy krzyknąłem, wołając o pomoc, ale nikt mię nie słyszał. Może wicher zagłuszył dźwięki mego głosu, a może marynarze chcieli się mnie pozbyć i udawali, że wołań mych nie słyszą.
Kapitana zaś nie było już na pokładzie. Zszedł zapewne do kajuty.
Okręt odpływał tak szybko, że po chwili widniał mym oczom jako łódź drobna, mnóstwem żagli białych nadmiernie oskrzydlona. Zostałem sam na rozedrganem i kołyszącem się cielsku wieloryba.
Znikąd ratunku, znikąd pomocy!
Ognisko wciąż się jeszcze żarzyło i powiewało coraz to innym jęzorem błękitnawo-złotego płomienia.
Byłem na tyle przytomny, żem podbiegł do ogniska, aby zadeptać i zagasić jego żary, które parzyły boleśnie drgające cielsko wieloryba, zmuszając go do zanurzenia się w bezdeni morskiej wraz ze mną, jedynym mieszkańcem tej potwornej wyspy!
Było już wszakże za późno! Wieloryb zaczął się pogrążać w morzu. Pogrążał się zwolna. Pierwsza fala wpadła na jego grzbiet i zagasiła ognisko.
Zbolałe i sparzone cielsko wieloryba odetchnęło z rozkoszą pod mojemi stopami, czując ochłodę w miejscu, gdzie przed chwilą żarzyło się okrutne i nieznośne ognisko.

Wieloryb wciąż się pogrążał. Woda dochodziła mi do kostek, a potem kolejno sięgnęła pasa i ramion... Już tylko głowa sterczała mi nad powierzchnią morza. Zrozumiałem, że za chwilę czeka mię śmierć w głębinie morskiej. Straciłem przytomność, ale wnet ją odzyskałem.

Błyskawicznie przemknęła mi przez głowę, sterczącą jeszcze ponad wodą, myśl pochwycenia dłonią jednej z belek, zostawionych przez marynarzy na grzbiecie wieloryba.

Belki te pływały bezładnie, unosząc się na wezbranych falach i uderzając się wzajem o siebie.

Obojgiem dłoni uczepiłem się kurczowo największej belki - i w tej chwili uczułem, że cielsko wieloryba usunęło mi się z pod nóg i pogrążyło się w głębinie morza.

Zawisnąłem nad otchłanią wodną, ściskając rękami belkę, która mię trzymała na powierzchni, ratując od zatonięcia.

Coraz większy i potężniejszy wicher dął od północy, miotając mną po morzu, jak źdźbłem lichej słomy. Uderzał we mnie raz po razie i wyszarpywał mi z dłoni belkę. Trzymałem ją wszakże tak mocno, że najsroższa burza nie potrafiłaby z rąk mi jej wytrącić.

Wicher gnał mię w stronę południa. Fale to wznosiły się ku górze, to opadały pode mną. Wznosiłem się i opadałem wraz z falami. Płynąłem za wichrem, nie wiedząc, dokąd mię niesie.

Płynąłem tak dzień cały, żadnych brzegów, żadnych lądów nie widząc przed sobą. Nic - tylko morze i morze, bez końca, bez kresu, bez granic.

Nastała noc. Pociemniało morze, pociemniała naokół woda, w której przebywałem, niesiony wichrem ślepym i bezrozumnym. Zamiast morza - widziałem teraz ciemność bez końca, bez kresu, bez granic. Zdawało mi się, że nie woda, lecz ciemność wzbiera pode mną, pieni się, szumi, ogarnia mnie i unosi niewiadomo dokąd.

Bałem się, że wicher rzuci mną o skałę lub rafę podwodną i zmiażdży mię pociemku zanim zdołam zrozumieć, co się ze mną stało.

Z rozpaczą i przerażeniem wyczekiwałem świtu. Dusza moja i oczy spragnione były jednego choćby promienia słońca, który swym brzaskiem nieśmiałym dzień zapowiada.

Unosząc się na ciemnych, spienionych falach, marzyłem o tym promieniu, o tym brzasku, o tym poranku, który zaświta w niebiosach i rozwidni ciemność dokolną.

Noc wreszcie minęła i dzień zaświtał.
Zaświtał nieśmiało, bladym, zielono-złotym promieniem na szarym, zimnym obłoku.
Morze zlekka się rozwidniło. Oczy moje napełniły się radością, że mogły widzieć to, na co patrzyły. Otucha wstąpiła mi do serca.
Ścisnąłem mocniej belkę - jedyną przyjaciółkę, jedyną towarzyszkę mego smutku i mej podróży. Wicher nie ustawał i gnał mię wciąż w stronę południa.
Słońce ukazało z poza obłoku swój rąbek złoty, a potem pół tarczy, aż wreszcie cała tarcza słoneczna zazłociła się na niebie.
Wówczas oczy moje, mrokiem nocnym umęczone, ujrzały zdala przed sobą brzegi wyspy nieznanej, pokryte zielenią drzew olbrzymich.
Widok tych brzegów rozweselił moje oczy i moją duszę.
Uczułem teraz, jak głęboko, jak serdecznie kocham te drzewa zielone i te brzegi, które są cząstką matki-ziemi, mojej rodzicielki.
Wicher gnał mię właśnie ku tym brzegom, ku tym drzewom, ku tej zieleni.
Zbliżałem się do wyspy z szybkością niemal błyskawiczną.
Zaledwo pół godziny ubiegło od czasu, gdym wyspę zobaczył, a już dosięgałem jej brzegów. Po chwili, belka jednym końcem uderzyła o brzeg wyspy. Chwyciłem dłonią za krzew, który ponad brzegiem zwisał, i wypełzłem z morza na wyspę.
Radość moja nie miała granic! Upadłem na kolana, pochyliłem głowę i całowałem ziemię wonną, ziemię twardą, której powierzchnię czułem teraz pod sobą.
Ucałowawszy tę ziemię, wstałem aby się rozejrzeć dokoła.
Na brzegu dzikiej i pustej wyspy ujrzałem mnóstwo pięknych koni. Jedne biegły, powiewając grzywą, drugie pasły się na bujnej trawie, inne stały w miejscu, dumnie unosząc ku górze pyski i przyglądając mi się oczyma pełnemi zdziwienia.
I ja też ze zdziwieniem przyglądałem się im zkolei.
Nie rozumiałem bowiem ich obecności na tej dzikiej i pustej z pozoru wyspie.
Głód mi dokuczał. Wyruszyłem więc w głąb wyspy w nadziei, iż mi się uda znaleźć kokosy lub banany i nimi głód swój zaspokoić.
Uszedłszy sporo kroków, postrzegłem grotę. We wnętrzu tej groty siedziało kilkunastu ludzi, bogato ubranych.

Zauważyli mię odrazu i wybiegli z groty, aby mię zatrzymać.

»Stój! - zawołał jeden z tych ludzi - skąd idziesz i dokąd?«

»Idę wprost z morza - odrzekłem - zaś dokąd idę - nie wiem«.

»Jesteś zapewne cudzoziemcem«?

»Jestem cudzoziemcem. Nazywam się Sindbad. Uniknąłem przed chwilą śmierci, która mi cały dzień i noc całą groziła. Jeśli chcecie - opowiem wam, co się ze mną działo«.

»Opowiedz! - zawołali wszyscy chórem. - Lubimy pasjami wszelkie opowiadania, lecz możemy cię słuchać tylko do godziny trzeciej minut pięć. Teraz jest godzina pierwsza, masz więc dwie godziny i pięć minut czasu«.

»Wystarczy mi to najzupełniej!« - odrzekłem i zacząłem im opowiadać pokolei wszystko, com przeżył od czasu wyjazdu z Balsory. Słuchali uważnie, dziwiąc się moim przygodom.

Gdym skończył opowiadanie, zaprosili mię do groty i podali mi suty posiłek.

Jeden z nich zwrócił się do mnie z temi słowami:

»Jesteśmy masztalerzami króla Miraża, który jest królem tej wyspy oraz wielu wysp okolicznych. Co rok dzień jeden spędzamy na tej wyspie wraz z tysiącem koni królewskich. Gdybyś o dzień jeden się spóźnił, jużbyś nas nie zastał, gdyż jutro, skoro świt, wracamy do stolicy. Drogi tej wyspy są tak błędne i tajemnicze, że bez naszej pomocy zabłąkałbyś się niechybnie i zginąłbyś z głodu«.

»Punkt trzecia!« - zawołał nagle drugi masztalerz, przerywając pierwszemu.

»Mamy tylko pięć minut czasu - rzekł pierwszy i, zwracając się do mnie, ciągnął dalej: - O trzeciej minut pięć wynurza się z morza na brzeg wyspy Koń Morski i wyprawia na brzegu swe chełpliwe harce, pląsy i skoki. Konie królewskie przyglądają się tym harcom, pląsom i skokom i mimowoli zaczynają je naśladować, nabierając cudownych ruchów. Tym sposobem kształcimy konie królewskie. Lecz Koń Morski, po ukończeniu swych pląsów, harców i skoków, rzuca się na nasze konie, aby je pożreć. Wówczas odstraszamy go krzykiem, przed którym uchodzi zpowrotem do morza. Jeśli chcesz przyjrzeć się temu zjawisku, chodź z nami na brzeg wyspy, gdyż natychmiast wszyscy tam idziemy«.

19 ~ Zgodziłem się chętnie i poszedłem wraz z nimi.

Stanęliśmy na brzegu o godzinie trzeciej minut pięć i ukryliśmy się w krzakach pobliskich, aby Konia Morskiego przed czasem nie płoszyć. Czekaliśmy niedługo. Koń Morski wynurzył się z wody i wesoło wyskoczył na brzeg.

Po raz pierwszy w życiu ujrzałem Konia Morskiego. Był to niezwykły i prawie czarodziejski koń maści zielonej, jak fala morska. Miał zielone ślepie, zieloną grzywę, zielony ogon i zielone kopyta.

Poruszył chrapami, zgiął szyję w łuk i zaczął harcować, pląsać i poskakiwać tak cudownie, że nie mogłem oczu od niego oderwać. Falowała mu grzywa i falował grzbiet. Zdawało się chwilami, że to fala morska pląsa na brzegu.

Konie królewskie, oczarowane jego pląsem, długo się weń wpatrywały, aż wreszcie jęły bezwiednie naśladować jego ruchy i odruchy. Ustawiły się szeregiem - jeden obok drugiego - i, zachowując linję szeregu, zaczęły harcować, pląsać i poskakiwać, przejmując od Konia Morskiego falistość jego łabędzich poruszeń. Godzinę całą trwał taniec koni królewskich. Koń Morski umyślnie wprawiał je w ten taniec i czarował swemi harcami, ażeby potem w chwili niespodzianej napaść na oczarowane i tańcem zajęte konie i pożreć je zielonemi kłami.

Gdy zauważył, że konie królewskie są już dość oczarowane, zaprzestał swych pląsów, zaczaił się, błysnął ślepiami i już chciał się na nie rzucić, lecz masztalerze królewscy w okamgnieniu wyskoczyli z krzaków, aby go odstraszyć krzykiem i wrzaskiem nagłym.

Wrzask i krzyk masztalerzy królewskich spłoszyły Konia Morskiego. Błyskawicznym skokiem przerzucił się z brzegu do głębiny morskiej i znikł w falach.

Konie królewskie wciąż jeszcze tańczyły, nie mogąc się oprzeć czarom i pokusom cudownego tańca. Masztalerze jedwabnemi biczami skierowali je ku grocie, która służyła za schronisko koniom. Cała grota napełniła się końmi i ludźmi. Przenocowaliśmy w grocie wraz z końmi, a nazajutrz, skoro świt, wyruszyliśmy w drogę do miasta.

Błędna to była droga, w jarach, w gęstwach zagubiona, trudna do przebycia. Gdyśmy się zbliżali do murów miasta, masztalerze królewscy przystanęli nagle i jeden z nich tak do mnie przemówił:

»Okazaliśmy ci gościnność i przychylność. Nie odmówiliśmy ani pokarmu, ani noclegu,. ani pomocy. Nie domyślasz się nawet, że groziło

ci z naszej strony niebezpieczeństwo. Z rozkazu bowiem króla Miraża jesteśmy obowiązani zabijać każdego, ktokolwiek ośmieli się dotrzeć do brzegu wyspy, do tego miejsca, gdzie konie królewskie uczą się pląsów od Konia Morskiego. Dostęp do tego miejsca jest wzbroniony pod karą śmierci. Nikomu, prócz nas, nie wolno tam stopy swojej postawić. A i my tylko raz na rok mamy prawo jednodniowego pobytu na owym brzegu. Król Miraż w ścisłej tajemnicy zachowuje istnienie Konia Morskiego i jego cudowny wpływ na ruchy koni królewskich. Każdy z poddanych podziwia te ruchy taneczne, lecz nikt nie wie, że są one naśladowaniem pląsów Konia Morskiego i nikt się nie domyśla, że w głębinie fal, u pobrzeża tej wyspy kryje się dziwny, zielonogrzywy i zielonooki zwierz, zwany Koniem Morskim. Traf i przypadek zawieruszył cię na brzegi tej wyspy. W pierwszej chwili mieliśmy zamiar zasztyletowania ciebie, jako nieproszonego gościa i widza tajemnicy królewskiej. Lecz wzruszyło nas twoje opowiadanie i postąpiliśmy wbrew rozkazowi króla Miraża. Darowaliśmy ci życie, którego powinniśmy byli ciebie pozbawić. Czeka nas śmierć za naruszenie rozkazu królewskiego. To też zkolei prosimy cię o zachowanie tajemnicy naszego czynu. Nikomu nie mów o tem, co się stało. Wejdziemy teraz sami do miasta, ty zaś zatrzymaj się pod jego murami. Stój cierpliwie i czekaj, aż się oddalimy. Wówczas dopiero wejdź do miasta, jako samotny wędrownik. Gdybyś nas kiedykolwiek spotkał na ulicy, udawaj, że nas nie znasz i nie witaj nas ukłonem«.

»Możecie być pewni, że spełnię waszą prośbę i że tajemnicę zachowam!« - odrzekłem głosem wzruszonym i uściskałem pokolei ich dłonie silne i szerokie. Odeszli wówczas spokojnie, pędząc przed siebie konie, które wciąż poruszały się tanecznie, opętane wspomnieniem i czarem Konia Morskiego. Stałem w miejscu cierpliwie dopóty, dopóki nie znikli mi z oczu.

Upewniwszy się, że są już dość daleko, wszedłem do miasta, jako wędrownik samotny.

Widok tego miasta napełnił mię podziwem! Bruki, cegły domów, dachy, okna - wszystko było zielone, koloru fali morskiej. Zdawało mi się, że przez szkło zielone na świat spoglądam.

Mijając ulicę za ulicą, wyszedłem na plac olbrzymi. Na placu tym zastałem tłumy ludzi. Zmieszałem się z tłumem i poprzez plecy mrowiących się ludzi spojrzałem na środek placu.

Na środku placu stał tron złoty. Na tronie siedział sam król Miraż w zielonej szacie i z zieloną buławą w ręku.

Zwróciłem się do jednego z moich sąsiadów i spytałem się, co oznacza to całe zbiegowisko dookoła tronu królewskiego?

»Jesteś zapewne cudzoziemcem - odpowiedział sąsiad - nie wiesz więc o tem, że dziś jest dzień imienin króla Miraża. W dniu tym król Miraż postanowił córkę swoją, piękną Piruzę, dać za żonę temu, kto rozwiąże jego tajemniczą zagadkę. Co rok w dniu imienin króla odbywa się ta sama uroczystość, lecz nikt dotąd zagadki rozwiązać nie potrafił. Patrz uważnie! Zaraz zjawi się piękna Piruza, aby siąść obok króla i czekać na rozwiązanie zagadki. Pała ona oddawna żądzą zamążpójścia i ma urazę do tych wszystkich rycerzy, którzy zagadki odgadnąć nie mogą. Straciła nadzieję, aby ktokolwiek kiedykolwiek i jakkolwiek zagadkę królewską rozwiązał. To też zazwyczaj z pogardą spogląda na tłumy, rojące się dookoła tronu«.

Sąsiad mój zamilkł, a ja znowu spojrzałem na plac.

W tej chwili właśnie obok tronu złotego ustawiono drugi - srebrny i piękna Piruza zbliżyła się do srebrnego tronu. Z pogardą spojrzała na tłumy i siadła na tronie. Pogarda jej była tak wielka, że zawstydzeni rycerze spuścili oczy. Żaden z nich nie był pewien bystrości swego rozumu, chociaż każdy miał szczery zamiar rozwiązania zagadki i zawładnięcia ręką pięknej królewny.

Król Miraż wstał z tronu i, spojrzawszy po obecnych, rzekł głosem donośnym:

»Zwyczajem dorocznym, wobec wszystkich moich poddanych wygłaszam swoją zagadkę. Kto ją odgadnie, ten posiędzie rękę mej córki - pięknej Piruzy - oraz pół mego królestwa. Mam nadzieję, iż w tym roku znajdzie się rycerz domyślny, który zagadkę rozwiąże, gdyż dotąd przez długie lata nikt mi nie dał trafnej odpowiedzi. Słuszna więc, iż córka moja jest już zniecierpliwiona niedomyślnością moich poddanych. Z trzech pytań składa się zagadka tajemnicza. Na trzy więc pytania - trzech żądam odpowiedzi.

Pierwsze pytanie:

JAKA POGODA POMIMO POGODY
ZWIASTUJE KLĘSKI, NIESZCZĘŚCIA I SZKODY?

Drugie pytanie:
CO TO ZA TANCERZ, KTÓRY PLĄSA POTO,
BY POŻREĆ INNYCH, GDY TAŃCZĄ Z OCHOTĄ?
Trzecie pytanie:
KTO LISTY PISZE WPOŚRÓD FAL POWODZI,
I, BĘDĄC DJABŁEM, Z PIEKŁA NIE POCHODZI?
Oto są trzy pytania. Czekam teraz na odpowiedzi. Poddani moi! Wysilcie swój umysł, natężcie uwagę, skupcie wszystkie moce swego rozumu, aby zagadkę odgadnąć. Czyż was nie martwi niecierpliwość pięknej Piruzy? Czyż i tym razem sprawicie jej zawód? Czyż chcecie, aby się zestarzała, czekając daremnie na skuteczne wysiłki waszych rozumów? Nie mogę ułatwić wam waszego zadania, mogę tylko dać znak moją dłonią królewską, wy zaś - na ten znak - zamyślcie się, wszyscy naraz i każdy zosobna!«

Król dał znak dłonią - i wszyscy się zamyślili. Widać było, jak wysilają swój rozum, natężają uwagę i skupiają pilnie myśli rozproszone.

Uderzali się palcem w czoło, marszczyli brwi, przymykali oczy, roztwierali naoścież nieme od zdziwienia gęby, pocili się i bledli z nadmiernego wysiłku - lecz wszystko nadaremnie! Nikt nie przerwał ciszy ogólnej, nikt nie mógł rozwiązać zagadki!

Piękna Piruza niecierpliwie uderzała nóżką o ziemię, pogardliwie wzruszała ramionami i gniewnie zagryzała wargi purpurowe.

Serce zabiło mi mocniej w piersi. Czułem bowiem, że za chwilę mogę posiąść piękną Piruzę i pół królestwa! Odpowiedzi na trzy pytania królewskie były mi aż nadto wiadome dzięki przygodom, które mię w podróży spotkały. Dość mi było wypowiedzieć je głośno przed królem, aby zdobyć rękę pięknej Piruzy i zawładnąć połową królestwa! Przedarłem się przez tłum i zbliżyłem się śmiało do tronu.

Spojrzenia wszystkich obecnych zwróciły się ku mnie. Spojrzał na mnie król i spojrzała piękna Piruza. Nastało milczenie, pełne wyczekiwania. Skłoniłem się i przerwałem to milczenie.

»Królu - rzekłem - odgadłem twoją zagadkę! Mogę ci odpowiedzieć na trzy twoje pytania!«

»Odpowiedz« - rzekł król.

 Piękna Piruza uśmiechnęła się, ja zaś mówiłem dalej:

»Pierwsze pytanie: Jaka pogoda pomimo pogody, zwiastuje klęski, nieszczęścia i szkody ? - Cisza Morska«.
»Zgadłeś« - rzekł król.
Piękna Piruza spoważniała, ja zaś mówiłem dalej:
»Drugie pytanie: Co to za tancerz, który pląsa poto, by pożreć innych, gdy tańczą z ochotą ? - Koń Morski«.
»Zgadłeś« - powtórzył król.
Piękna Piruza spojrzała na mnie z zachwytem i wdzięcznością, ja zaś mówiłem dalej:
»Trzecie pytanie: Kto listy piszę wpośród fal powodzi i, będąc djabłem, z piekła nie pochodzi ? - Djabeł Morski«.
»Zgadłeś« - powtórzył znów król.
Piękna Piruza wyciągnęła ku mnie obydwie dłonie i szepnęła: »Nareszcie!«
»Jak ci na imię ?« - spytał król.
»Sindbad« - odrzekłem.
»Sindbadzie! - zawołał król. - Jesteś najmędrszym ze wszystkich ludzi na świecie! Błogosławię los za to, że cię przeznaczył na męża mej córki! Rozwiązałeś zagadkę, czego nikt dotąd nie potrafił. Ułożyłem ją sam, gdyż układanie zagadek jest najulubieńszem mojem zajęciem. Lecz łatwiej o wiele zagadkę ułożyć, aniżeli odgadnąć. Pójdziesz natychmiast razem z nami do pałacu. Piękna Piruza musi bowiem przyjrzeć się swemu przyszłemu mężowi. Oboje więc będziecie spędzali czas na pogadankach. Dzień dzisiejszy przeznaczam na to, abyście mogli poznać się bliżej nawzajem. Dzień jutrzejszy przeznaczam na to, abyście zdążyli przyzwyczaić się do siebie. Zaś pojutrze huczne wam sprawię wesele!«.
To rzekłszy, król Miraż poszedł naprzód w stronę pałacu. Ja i Piruza podążyliśmy wślad za nim, otoczeni tłumem dworzan i rycerzy, którzy mi się przyglądali z podziwem i zazdrością.
Gdym wchodził do pałacu, orkiestra królewska, umieszczona na jednym z tarasów, zagrała na moją cześć marsza.
Król Miraż wprowadził mnie i Piruzę do głównej sali swego pałacu, ustawił własnoręcznie dwa krzesła - jedno naprzeciw drugiego - i rzekł do nas głosem ojcowskim, pełnym wzruszenia i powagi:
»Siądźcie oboje, jedno naprzeciwko drugiego. Patrzcie sobie prosto w oczy i zawiążcie rozmowę szczerą i poufną. W ten sposób poznacie



przed ślubem swe dusze i charaktery, aby się po ślubie nie zdziwić i nie zatrwożyć różnicą tych dusz i odmiennością tych charakterów. Nie będę wam przeszkadzał w rozmowie i zostawię was sam na sam, by swoją obecnością nie krępować waszych młodzieńczych wyznań«. Król wyszedł. Zostaliśmy sam na sam. Usiedliśmy natychmiast naprzeciwko siebie, lecz żadne z nas nie wiedziało narazie, co ma rzec i jak przerwać uciążliwe i przykre milczenie. Przerwała je pierwsza Piruza.

»Hindbadzie - rzekła nieśmiało - ojciec kupił mi wczoraj naszyjnik perłowy, w którym mi jest bardzo do twarzy«.

»Cieszy mię niezmiernie ta wiadomość - odrzekłem też nieśmiało - ale muszę zauważyć, że nie nazywam się Hindbad, lecz Sindbad«.

»Hindbadzie - rzekła znowu Piruza, nie słysząc mojej uwagi - ciekawa jestem, czy lubisz kwiaty, bo ja bardzo lubię«.

»Lubię kwiaty - odparłem - lecz po raz wtóry muszę zauważyć, że nie nazywam się Hindbad, lecz Sindbad«.

»Hindbadzie! - zawołała niepoprawna Piruza. - Czy wiesz o tem, że wpobliżu naszej wyspy znajduje się inna wyspa, która nazywa się Kassel. Na wyspie tej przebywa potwór Degial. Ukrywa się on przed okiem ludzkiem i, sam niewidzialny, widzi wszystkich i wszystko dokoła. Nienawidzi ludzi, roślin i zwierząt - kocha tylko muzykę i napełnia powietrze wyspy nieustannem brzmieniem gongów, podobnem do mosiężnego brzmienia wielkich i potężnych dzwonów. Brzmienie to oszałamia ludzi, zwierzęta, a nawet rośliny, i odbiera im przytomność. Jeden z marynarzy, który tę wyspę zwiedził, opowiadał mi, że zastał tam ostatnią nieprzytomną różę i ostatniego zemdlonego ptaka. Zresztą żadne żywe stworzenie istnieć na tej wyspie nie może. Jest pusta, smutna, pokryta skałami i zasłuchana w nieustanne brzmienia gongów. Nie wolno jej odwiedzać gromadnie, jeno samotnie, a i wówczas trzeba zawiesić na szyi amulet, który strzeże przed napaścią złego Degiala. Marynarz, o którym ci mówiłam, podarował mi jeden taki amulet. Schowałam go do szkatułki, aby zeń skorzystać i odwiedzić wyspę Kassel, gdy wyjdę zamąż i stanę się samodzielną. Dotąd bowiem ojciec wzbraniał mi stanowczo tej niebezpiecznej wycieczki«.

Opowiadanie Piruzy rozciekawiło mię niezmiernie. Uczułem nieodpartą żądzę natychmiastowego zwiedzenia tej dziwacznej wyspy.

»Piruzo! - zawołałem. - Czy udzieliłabyś mi tego amuletu, abym mógł zwiedzić wyspę Degiala?«.

»Owszem - odrzekła Piruza - chętnie ci go udzielę, ale chyba nie zechcesz odbywać tej podróży przed ślubem? Po ślubie wybierzemy się tam pokolei, najpierw ty, a potem ja, gdyż, jak ci to już tłumaczyłam, nie wolno odwiedzać tej wyspy razem, lecz osobno«.

»Nie! - zawołałem gwałtownie. - Nie chcę ani dnia jednego czekać na oglądanie tych cudów! Zwłoka byłaby dla mnie nie do zniesienia! Nie mógłbym ani spać, ani pokarmów przyjmować. Dzień dzisiejszy, zgodnie z życzeniem króla, spędzę do końca razem z tobą, droga Piruzo, lecz dzień jutrzejszy, wbrew życzeniom króla, poświęcę na zwiedzenie wyspy Degiala. Wrócę akurat pojutrze na nasz ślub i będę ci mógł przed ślubem opowiedzieć, com na owej wyspie zobaczył«.

»Nie mam nic przeciwko temu - odrzekła Piruza. - Sama oddawna pragnę tę wyspę zwiedzić, więc aż do głębi rozumiem twoje pragnienie. Musisz jednak z królem uprzednio o tem pomówić i uprosić go o pozwolenie odbycia tej wycieczki«.

Na te słowa król Miraż wszedł właśnie do sali, spojrzał na nas po ojcowsku i rzekł:

»Jakże się klei wasza rozmowa? Czyście już poznali się nawzajem i czy się wam podobają wasze dusze i charaktery? Jest to bowiem niezbędny warunek szczęścia i zgody małżeńskiej«.

»Ojcze! - zawołała Piruza. - Zdaje mi się, żeśmy się poznali dostatecznie. Podoba mi się niezmiernie tkliwa dusza i dzielny charakter mego przyszłego męża. Podoba mi się nawet i to, że chce mię jutro na dzień cały opuścić, aby zwiedzić wyspę strasznego Degiala. Pragnie jednak przedtem uzyskać twoje pozwolenie«.

»Jakto? - spytał król, brwi zlekka przymarszczywszy. - Przeznaczyłem dzień jutrzejszy na to, abyście się przyzwyczaili nawzajem do siebie; ty zaś, młodzieńcze niecierpliwy, chcesz ten dzień spędzić na wyspie Degiala, aby zaspokoić swą ciekawość i żądzę oglądania cudów?«.

Uklękłem na jedno kolano i rzekłem głosem stanowczym:

»Mojem zdaniem, królu miłościwy, w dniu dzisiejszym zdążyliśmy nietylko poznać swe charaktery, lecz i przyzwyczaić się do siebie nawzajem. Dlatego też wolę dzień jutrzejszy poświęcić na oglądanie cudów na wyspie Degiala, abym potem, w czasie naszego wesela, mógł się po-

chełpić przed gronem dworzan i rycerzy, żem widział cuda, których widok nie każdemu jest dostępny. Jestem pewien, że rycerze i dworzanie skierują na naszem weselu rozmowę ku owej wyspie, ażeby postawić mię w położeniu człowieka, który nie może się wtrącić do rozmowy, ponieważ nie zna się na tych cudach i wyspy tej nie oglądał«.

Król się zamyślił i wreszcie rzekł udobruchany:

»Pokochałem cię tak bardzo, że niczego ci odmówić nie potrafię. Daję ci więc swoje królewskie pozwolenie na tę niebezpieczną wycieczkę. Nie zapomnij tylko zawiesić na szyi amuletu, który cię uchroni od wszelkich przypadków. Rozkażę jednemu z moich rycerzy, aby jutro, skoro świt, zaprowadził cię na brzeg morza i wskazał drogę do czarodziejskiej wyspy. Jedź i wracaj do nas jak najprędzej, drogi mój Hindbadzie!«.

»Dziękuję ci, królu, z całego serca za ustąpienie moim prośbom - rzekłem, powstając z kolan. - Muszę jednak zauważyć, że nie nazywam się Hindbad, lecz Sindbad. Dziwi mię, że ty i twoja córka tak stale i tak jednako przekręcacie moje imię«.

»Niech cię to nie dziwi, drogi Hindbadzie! - odpowiedział król. - Przekręcanie imion i nazwisk jest jedyną rodzinną wadą moją i mojej córki. Przekręcamy zawsze jednakowo i pod tym względem nigdy się nie mylimy. Nie zwracaj na to uwagi, ani się urażaj. Cóż bowiem znaczy imię? Czy nazwiemy cię tak czy owak, zawsze będziesz zarówno bliski naszemu sercu!«

Król mię uścisnął i ucałował w czoło. Piruza tymczasem przyniosła amulet i własnoręcznie zawiesiła mi go na szyi.

Nadszedł wieczór. Zapadła noc. Odprowadzono mię do komnaty, przeznaczonej dla mnie na nocleg. Zasnąłem smacznie, zmęczony natłokiem wypadków i wrażeń.

Skoro świt, zbudziłem się rzeźwy i wypoczęty.

Pode drzwiami mej komnaty czekał już na mnie rycerz, aby mię odprowadzić na brzeg morza i wskazać drogę do wyspy czarodziejskiej. W towarzystwie rycerza pośpieszyłem na brzeg morski, gdzie czekała już na mnie łódź o dwóch wiosłach. Rycerz wskazał mi na morzu punkt czarny i zalecił, abym łódź skierował wprost ku owemu punktowi, który był wyspą, oddaleniem zmniejszoną.

27 - Wesoło wskoczyłem do łodzi i popłynąłem.

Po sześciogodzinnem wiosłowaniu, zbliżyłem się do wyspy na taką odległość, żem mógł już dosłyszeć dziwne, mosiężne brzmienie dalekich gongów.
Począłem szybciej wiosłować i wkrótce dobiłem do brzegu tajemniczej wyspy.
Wyskoczyłem na brzeg i wyciągnąłem łódź na ląd do połowy, aby jej morze nie uniosło.
Pobiegłem przed siebie, w głąb wyspy, ciekawie rozglądając się dokoła. Wyspa była pusta. Nic, prócz skał i kamieni. Dźwięki niewidzialnych gongów rozlegały się wciąż w rozedrganem, rozhuczanem powietrzu. Rozlegały się coraz głośniej, coraz potężniej. Widocznie Degial, spostrzegłszy moją obecność na wyspie, wydobywał z gongów dźwięki coraz potężniejsze, aby mię oszołomić. Uszy moje napełniły się takim hukiem i brzmieniem, żem o mało nie stracił przytomności. Zrobiłem jednak wysiłek woli, aby jej nie stracić, i szedłem śmiało dalej.
Przypomniały mi się nagle słowa Piruzy o Degialu: »Ukrywa się on przed okiem ludzkiem i sam niewidzialny, widzi wszystkich i wszystko dokoła«. Ledwom przypomniał te słowa, a uczułem natychmiast na sobie straszny, przenikliwy wzrok niewidzialnego ducha.
»Widzi mnie!« - pomyślałem.
Widział mnie napewno. Czułem, jak się od stóp do głów odbijam w jego potwornej źrenicy. Czułem, jak mi się przygląda, jak mnie bada, jak śledzi moje kroki i każdy wyraz mej twarzy.
»Jeśli mnie widzisz, uderz mocniej w gongi!« pomyślałem niespodzianie. W tej chwili rozległ się przeraźliwy, mosiężny wrzask gongów. Zbladłem z przerażenia, lecz jeszcze bardziej przeraziła mię myśl, że Degial widzi moją bladość. Pośpiesznie zakryłem dłońmi twarz pobladłą. Lecz natychmiast przyszło mi do głowy, że Degial widzi i to, jak dłońmi twarz zakryłem. Opuściłem więc dłonie bezsilnie.
Myśl, że jestem dla niego widzialny, choć sam go nie widzę, napełniła mię i przerażeniem i gniewem. Gniew mój był tak wielki, że usunął przerażenie.
Powodzenie dnia wczorajszego wbiło mię w taką dumę i zarozumiałość, żem uważał siebie od wczoraj za człowieka niezwykłego i potężnego, któremu nikt, nawet Degial, dorównać nie zdoła. Tymczasem uczułem się małym i bezsilnym wobec niewidzialnego ducha.

Poczucie małości i niemocy wprawiło mię we wściekłość!
Zacisnąłem pięści, tupnąłem nogą o ziemię i zawołałem:
»Zjaw się lub przemów do mnie, ty - niewidzialny!«
Wśród grzmienia gongów rozległ się głos Degiala:
«Nie zjawię się, bo nie znoszę wzroku ludzkiego! Chcę na wieki dla ciebie pozostać niewidzialnym! Wolę przemówić, abyś słyszał me słowa, nie widząc mej twarzy. Znieważyłeś mię, zaciskając pięści i tupiąc nogą o ziemię. Zemszczę się na tobie za moją zniewagę! Jesteś mały i bezsilny wobec mojej potęgi. Mógłbym cię zabić jednem poruszeniem moich brwi, gdyby cię nie bronił amulet. Potrafię jednak inną zemstę wykonać. Uważasz się za człowieka niezwykłego i potężnego. Wydaje ci się, że na całym świecie niema nikogo, kto byłby ci równy i do ciebie podobny. Ukaram twą dumę i zarozumiałość. Z pomocą jednego skinienia mej dłoni stworzę człowieka jak dwie krople wody podobnego do ciebie«.
- »Stwórz!« zawołałem gniewnie i znowu tupnąłem nogą o ziemię.
W tem miejscu, gdziem nogą o ziemię uderzył, zjawił się nagle, jak z pod ziemi, człowiek tak do mnie podobny, żem z przerażenia o krok się cofnął przed moim sobowtórem. Miał moją twarz i oczy i wzrost i nawet ubranie. Stał nieruchomy i zamyślony. Nie raczył nawet spojrzeć na mnie, ani mi się ukłonić.
A i ja stałem bez ruchu, zdjęty przerażeniem.
Obojętność mego sobowtóra zaczęła mnie niecierpliwić, więc wreszcie szepnąłem nieśmiało:
»To - ja! Czy mnie nie widzisz?«
»Widzę, ale mało mię twoja obecność obchodzi« - odpowiedział sobowtór.
»Powiedz mi przynajmniej, jak się nazywasz?« - spytałem lękliwie.
»Nazywam się Hindbad« - odpowiedział sobowtór moim własnym głosem.
»Hindbad? - zawołałem ze śmiechem, wzgardliwie wzruszając ramionami. - Przecież jest to moje własne imię, zepsute, przekręcone i skoślawione przez króla Miraża«.
»Więc cóż z tego? - rzekł sobowtór. - Wolę nosić imię, które sam król raczył przekręcić i skoślawić, niż to, które ty nosisz - nieznany cudzoziemcze«.
»Nieznany? - zawołałem z gniewem. - Mylisz się, nazywając mię nieznanym. Nie wiesz chyba o tem, że jutro będę królem, władcą połowy
 potężnego królestwa!«

»Nie ty, lecz ja będę jutro królem i władcą połowy potężnego królestwa« - odpowiedział spokojnie Hindbad.
Zaśmiałem się i rzekłem drwiąco:
»Do widzenia, mój drogi Hindbadzie! Śpieszno mi w drogę powrotną, gdyż nie mogę się spóźnić na mój ślub z piękną Piruzą, córką króla Miraża. Nie mam czasu na pogadanki z tobą«.
Odwróciłem się i poszedłem w kierunku brzegu - do miejsca, gdziem łódź zostawił.
Hindbad poszedł wślad za mną.
Ujrzawszy łódź zdala, przynagliłem kroku i wskoczyłem do łodzi. Hindbad wskoczył wślad za mną.
Obecność jego w łodzi napełniła mię niepokojem. Czułem wstręt niepokonany do tego tworu, który powstał na czarnoksięskie skinienie niewidzialnego Degiala. Ogarnęły mię złe przeczucia.
Odbiłem łódź od brzegu i, gdy wypłynęła na otwarte morze, postanowiłem wrzucić Hindbada do morza i pozbyć się w ten sposób jego tajemniczej i natrętnej obecności.
Lecz Hindbad odgadnął moje zamiary.
- »Chcesz mię wrzucić do morza?« - spytał z uśmiechem.
»Chcę!« - odrzekłem i wyciągnąłem dłonie, aby go pochwycić.
Hindbad spojrzał na mnie tak dziwnie, że dłonie mi opadły i zdrętwiały. Nie mogłem niemi poruszyć.
»Nie rozumiem, dlaczego chcesz się koniecznie pozbyć mej osoby? - zauważył Hindbad, udając zdziwienie. - Przecież jestem ci równy. Powinieneś mię czcić i kochać, jak siebie samego. Mam twój głos, twoje oczy, twoją twarz i nawet twoje ubranie. Jestem tak samo, jak ty, odważny i mądry. Musisz mi przyznać, iż zasługuję na to, aby się stać mężem pięknej Piruzy, zięciem króla Miraża i władcą połowy królestwa«.
Nic nie odpowiedziałem Hindbadowi.
Ponieważ ręce moje, dotknięte drętwotą, odzyskały władzę, więc chwyciłem za wiosła i jąłem wiosłować.
Płynęliśmy dalej w milczeniu, przyglądając się sobie nawzajem drwiąco i uważnie. Hindbad był tak dalece do mnie podobny, iż zdawało mi się chwilami, że widzę własne odbicie w lustrze. Nie on sam, lecz jego
 podobieństwo przerażało mię i budziło obawy, szczególniej teraz, gdym

czuł pod sobą tajemniczą głębinę morską, a wpobliżu - nikogo, prócz tej wrogiej, choć podobnej do mnie postaci Hindbada.
Siedział naprzeciwko, zaglądał mi w oczy i milczał. Milczenie jego zaczęło mię niecierpliwić i złościć.
»Czemu milczysz ?« - spytałem.
»A ty - czemu milczysz ?« - spytał zkolei Hindbad.
»Milczę dlatego, że nie mam ci nic do powiedzenia !« odrzekłem.
»I ja milczę dlatego, że nie mam ci nic do powiedzenia !« - odparł tak samo dumnie Hindbad.
»Czy myślisz, mój panie Hindbadzie, że jestem przewoźnikiem na twoich usługach i że całą drogę będę sam wiosłował ?«
»Możemy wiosłować naprzemian, mój panie Sindbadzie« - odpowiedział Hindbad i odebrał mi z rąk obydwa wiosła.
Wiosłował niedbale i odniechcenia. Mimo to, łódź sunęła szybko, jakby gnana siłą niewidzialną. Strachem mię przejął ten dziwny bieg łodzi, lecz nie chciałem okazać strachu przed Hindbadem. Udałem, żem nie zauważył nawet, iż łódź płynie szybciej, niż płynąć powinna, gdyż Hindbad prawie wcale wiosłami nie poruszał.
Patrzył mi w oczy i milczał i coraz bardziej znieruchamiał wiosła. Przestał wreszcie zupełnie wiosłować, lecz łódź mimo to płynęła z błyskawiczną szybkością, gnana niewątpliwie siłą niewidzialną.
W milczeniu dobiliśmy do brzegów wyspy króla Miraża.
Wyskoczyłem na brzeg. Hindbad wyskoczył wślad za mną.
Teraz dopiero zauważyłem, żem na wyspie Degiala spędził cały dzień i noc następną i żem powrócił do państwa króla Miraża akurat w dzień mego ślubu, który dziś właśnie miał się odbyć. Był poranek.
Udałem się wprost drogą do pałacu, aby powitać jak najprędzej stęsknioną do mnie Piruzę i oczarowanego moją mądrością króla. Szedłem z pośpiechem. Z tym samym pośpiechem szedł wślad za mną Hindbad. Gdyśmy się do pałacu zbliżali, uczułem nagle, że nogi drętwieją pode mną i że przebieram niemi bezskutecznie, nie poruszając się z miejsca, jak to czasem we śnie się zdarza, gdy się biegnie pozornie, a jednocześnie w miejscu się stoi pomimo wysiłków.
Nadaremnie mocowałem się ze sobą, nadaremnie przebierałem nogami, chcąc zbliżyć się do pałacu. Zdrętwiałe moje nogi poruszały się
 wprawdzie, ale wciąż na jednem miejscu. Bezwątpienia - byłem zaklęty.

Tymczasem Hindbad mię wyprzedził i sam, beze mnie, wszedł do pałacu. Bezsilny i przerażony czekałem, aż nogi moje pozbędą się dziwnego zdrętwienia. Po chwili - zaklęcie pierzchło, zdrętwienie minęło. Mogłem iść swobodnie. Pobiegłem więc do pałacu i udałem się wprost do komnaty królewskiej. Zastałem Hindbada w objęciach króla Miraża, który ze łzami w oczach dziękował mu za szybki powrót, biorąc oczywiście Hindbada za mnie.

Piruza stała obok i z radością przyglądała się Hindbadowi.

»Drogi Hindbadzie! - mówił król.- Niepokoił mię bardzo twój długi pobyt na wyspie Degiala. Bałem się, że zginiesz i nigdy cię już nie zobaczę!«

»Ja zaś byłam pewna twej mądrości i twego męstwa! - szepnęła dumnie Piruza. - Twierdziłam bezustanku, że Hindbad zginąć nie może!«

»Miałaś słuszność - odpowiedział Hindbad. - Jestem zbyt mężny i zbyt mądry, ażebym mógł zginąć w walce nawet z tak potężnym duchem, jak Degial«.

Słyszałem tę rozmowę, bom właśnie wpadł do komnaty i stałem wpobliżu. Zawrzałem gniewem, serce zakołatało mi w piersi, zrobiłem krok naprzód i zawołałem:

»Królu Miłościwy! Czyż nie widzisz swej własnej pomyłki?«

Król spojrzał na mnie. Spojrzała jednocześnie Piruza. Zdziwił się król. Zdziwiła się jednocześnie Piruza. Ujrzeli bowiem w komnacie dwóch ludzi, tak podobnych do siebie, jak dwie krople wody.

»Co to znaczy? - zawołał król. - Skąd takie podobieństwo? W głowie mi się miesza! Zamiast jednego, widzę na własne oczy dwóch przyszłych moich zięciów, z których wszakże jeden tylko może być prawdziwy!«

»A ja widzę dwóch moich przyszłych mężów! - szepnęła zrozpaczona i przerażona Piruza. - Któregoż z nich mam dzisiaj poślubić?«

»Mnie!« - rzekł Hindbad spokojnie.

»Milcz, podły kłamco! - zawołałem z oburzeniem. - Nie ty, lecz ja jestem narzeczonym Piruzy! Królu Miłościwy, strzeż się tego potwora i nie daj się opętać jego podobieństwem do mnie! Stworzył go umyślnie Degial, aby się zemścić na mnie za to, żem go obraził na jego własnej wyspie. Jest to twór sztuczny i czarnoksięski, którego Piruza poślubiać nie powinna! Od chwili swych narodzin na krok mię nie odstępuje, towarzyszy mi wszędzie. Przed samym pałacem zdrętwił mi nogi, abym nie mógł ciebie i Piruzy uprzedzić o tem, co się stało!«

Król się zamyślił, potarł dłonią zamyślone czoło i rzekł wreszcie do mnie w zamyśleniu:
»Jak ci na imię?«
»Sindbad« - odrzekłem.
»A ty, jak się nazywasz?« - ciągnął dalej król, zwracając się do Hindbada.
»Hindbad« - odparł mój sobowtór.
»O ile pamięć mię nie myli - mój przyszły zięć nazywał się właśnie Hinbad« - zawyrokował król, znowu pocierając czoło.
»O, tak! Hindbad mu było na imię!« - potwierdziła radośnie Piruza.
»Królu! Piruzo! - wołałem zrozpaczony. - Zawsze mi było na imię Sindbad, lecz wyście to imię nieustannie przekręcali i koślawili! Przypomnijcie sobie, ile razy was poprawiałem? Ile razy prosiłem, abyście nie nazywali mię Hindbadem, lecz Sindbadem!«
»To prawda, że ja i Piruza mamy zwyczaj przekręcania imion i nazwisk - odpowiedział król. - Nigdy jednak nie pamiętamy, jak zostały przekręcone, i zawsze imię przekręcone uważamy za prawdziwe, a prawdziwe za przekręcone. I tym razem nie odstąpimy od swego zwyczaju. Zdaniem naszem, młodzieniec, na mego zięcia i na męża Piruzy przeznaczony, nazywał się Hindbad«.
Hindbad krokiem triumfującym zbliżył się do króla i rzekł, z pogardą wskazując mię palcem:
»Bardzo mi przykro, Królu Miłościwy, że jestem tak podobny do tego podejrzanego cudzoziemca. Zaręczam ci jednak, że nie łączy nas nic, prócz przypadkowego podobieństwa. Ja bowiem należę do ludzi uczciwych i szlachetnych, ten zaś cudzoziemiec jest nikczemnym złodziejem! Skradł mi amulet, który dostałem na drogę od pięknej Piruzy. Możesz, królu, naocznie przekonać się o prawdzie moich słów, spojrzawszy na szyję tego cudzoziemca, gdyż zawiesił sobie skradziony amulet na szyi, zapominając o tem, iż w ten sposób zdradza jawnie popełnioną kradzież«.
Król i Piruza spojrzeli na moją szyję i zawołali z oburzeniem:
»A złodziej! A łotr! A zbrodniarz! A bezczelnik! Nawet nie postarał się o to, aby przed wzrokiem ludzkim ukryć przedmiot skradziony!«
»Sprawiedliwości! - jęknąłem. - Jestem niewinny! Nigdy dłonie moje nie pokalały się kradzieżą! Piruzo, droga Piruzo! Czyż nie przypomi-
 nasz sobie, żeś własnoręcznie zawiesiła mi na szyi amulet, aby mię

uchronić od napaści Degiala! Nie uchroniłaś mię jednak od jego zemsty okropnej! Duch niewidzialny mści się na mnie i zadaje mi męczarnie nie do zniesienia! Piruzo! Do ciebie zwracam się o pomoc, o ratunek! Ty jedna możesz mię zbawić! Spójrz na mnie uważnie, a samo serce szepnie ci, kim jestem! Serce się nie omyli! Zabije się, zatrzepoce w piersi i rozpozna prawdę od kłamstwa, odróżni Sindbada od Hindbada i odsłoni nareszcie twym oczom, kto jest twym przyszłym mężem, a kto - niegodnym ciebie oszustem!«

»Spójrz, Piruzo, spójrz! - zowołał król Miraż. - Spójrz na jednego, potem na drugiego, a potem na obydwóch jednocześnie. Rządź się sercem i wskaż mi tego, którego serce twoje wybierze«.

Piruza spojrzała najpierw na mnie, potem na Hindbada, potem jednocześnie na nas obydwóch i wreszcie szepnęła nieśmiało:

»Serce mi wskazuje obydwóch i żadnego z nich nie wyróżnia. Obydwaj są zarówno mili, zarówno piękni i zarówno wymowni. A tak są do siebie podobni, że właściwie wszystko mi jedno, który z nich mężem moim zostanie. Ufam bowiem jednemu i drugiemu i żadnego z nich, dotychczas przynajmniej, nie podejrzewam ani o kradzież, ani o oszustwo. To też myślę, iż najlepiej zrobię, jeśli to nieporozumienie w inny zgoła sposób rozstrzygnę. Istnieje w moim kraju obyczaj, że narzeczony w dzień ślubu podarek dla swej narzeczonej przynosi. Nie wątpię, iż obydwaj ci młodzieńcy zaopatrzyli się w podarki ślubne, aby mi niespodziankę sprawić. Otóż wybieram na męża tego, który mi podarek piękniejszy i niespodziankę milszą przygotował«.

Piruza zamilkła, a ja struchlałem. Wypadki dnia wczorajszego, grzmienia gongów niewidzialnych, rozmowa z Degialem, nagłe narodziny Hindbada - wszystko to razem tak przytłoczyło i rozproszyło moje myśli, żem zapomniał zupełnie o zaopatrzeniu się w podarek ślubny. Zawstydzony, spuściłem oczy i milczałem.

»Gdzie masz swój podarek?« - spytał drwiąco Hindbad.

»Nie mam żadnego« - szepnąłem głosem złamanym.

Piruza ze wstrętem i oburzeniem odwróciła się do mnie plecami.

Hindbad podbiegł ku niej, wyjął z kieszeni księgę w złotej oprawie i podał, mówiąc:

»Oto jest mój podarek«.

 Piruza z uśmiechem radości przyjęła księgę złotą, a Hindbad mówił dalej:

»Nie jest to księga zwykła. Przeciwnie - jest to księga niezwykła. Dziwna, najdziwniejsza ze wszystkich ksiąg na świecie. Zapewne ci wiadomo, piękna Piruzo, że z powodu nieustannego brzmienia gongów żadna roślina, żaden zwierz, żaden człowiek nie mógł istnieć na wyspie Degiala. Wszystko tam powoli zamarło. Lecz potężny Degial zamienił w malowidła - oszołomione dźwiękami gongów rośliny, zwierzęta i mieszkańców tej wyspy. Z tych malowideł duch niewidzialny ułożył księgę i przechowywał ją w szczelinie skalnej, jako pamiątkę kwitnącego niegdyś życia i wesela. A wszystko tu żyje i śpiewa i porusza się w tej książce - jeno w zmniejszeniu. Zobaczysz tu zmniejszone drzewa, zmniejszonych ludzi i zmniejszone zwierzęta. Pomimo zmniejszenia - życie w tej księdze płynie tak, jak niegdyś płynęło na wyspie. Za zimą idzie wiosna, za wiosną - lato, za latem jesień. Mieszkańcy tej księgi sieją i orzą, i budują nowe pałace, i wyprawiają huczne wesela, i śmieją się, i płaczą, i grzebią swych umarłych, i witają swych nowonarodzonych. Musiałem walczyć z Degialem, aby mu tę księgę odebrać. Walka była straszna i niebezpieczna. Chętnie jednak naraziłem swe życie, byleby tylko przynieść ci w podarku ślubnym tę księgę. Zajrzyj do niej a zobaczysz że jest cudowna«.

Piruza otworzyła księgę i krzyknęła ze zdziwienia i radości.

Na kartach cudownej księgi barwiły się malowidła żywe, zupełnie żywe. Wiosna właśnie nastała, wiosna buchnęła wonią i słońcem z kart tajemniczej księgi. Zmniejszeni ludzie wychodzili ze zmniejszonych pałaców na zmniejszone ulice. Biegli po ulicach na zmniejszone łąki i na zmniejszonych łąkach zrywali zmniejszone kwiaty.

Piruza zbliżyła do księgi swoje różowe uszko i posłyszała wyraźnie daleki głos zmniejszonych ludzi. Wszyscy chórem wołali: «Wiosna, wiosna!« I słychać było śpiew i ćwierkanie zmniejszonych ptaków, które siedziały na zmniejszonych drzewach.

Piruza z zachwytem oglądała księgę, aż wreszcie spytała Hindbada:

»Czy mogę sięgnąć dłonią w głąb tych malowideł, aby wyjąć stamtąd jednego z tych zmniejszonych ludzi i przyjrzeć mu się zbliska?«

»Możesz - odpowiedział Hindbad - uczyń to jednak ostrożnie, aby nie zdruzgotać pałaców, nie połamać drzew i nie sparzyć ręki o to małe słonko, które tam świeci na ich zmniejszonem niebie«.

Piruza ostrożnie sięgnęła dłonią w głąb malowidła, wyjęła stamtąd jednego zmniejszonego człowieka i postawiła go sobie na dłoni.
Był tak mały, jak szpilka. Dumnie i hardo chodził po dłoni Piruzy.
»Kto jesteś ? Jak się nazywasz ?« - spytała Piruza.
»Nazywam się Omar Czwarty, zwany Wielkim, albo też Wspaniałym - odpowiedział człowieczek. - Jestem królem w swej ojczyźnie. Trzymaj mię ostrożnie na dłoni i nie upuść czasem na podłogę, bo mógłbym się zabić na miejscu i w ojczyźnie mojej nastałoby straszne bezkrólewie! Wyznam ci szczerze, iż nie lubię tych waszych zwiększonych ptaków, zwiększonych pałaców i zwiększonych ludzi. Wolę żyć w zmniejszeniu, które bardzo dobrze wpływa na moje zdrowie i na moją wesołość. Prócz tego muszę ci zauważyć, że zbyt długo trzymasz mię na dłoni i odbierasz mi czas drogocenny, który poświęcam zazwyczaj zawiłym sprawom mego państwa. Pozwól mi więc na pożegnanie złożyć ci na twej własnej dłoni mój ukłon królewski i przenieś mię zpowrotem na łono mej ojczyzny«.
Człowieczek się skłonił - i Piruza włożyła go zpowrotem do wnętrza malowidła.
Wnet go otoczył kołem tłum zmniejszonych ludzi, witając radośnie powrót swego króla, którego zbyt długi pobyt po za granicami kraju mógł bardzo źle wpłynąć na losy państwa.
Piruza zamknęła księgę i zawołała:
»Słów mi brak, Hindbadzie, aby ci podziękować za tak cudowną niespodziankę! Nie marzyłam nawet o tak czarownym podarku! Ciebie wybieram na męża! Widzę teraz, że jesteś szlachetny i mądry. Nie wątpię o tem, że ty właśnie jesteś owym młodzieńcem, który odgadł zagadkę królewską. Zaś tamten cudzoziemiec - jest nikczemnym złodziejem i oszustem!«
»Królu! Piruzo! - zawołałem. - Błagam was o jedno: każcie Hindbadowi powtórzyć treść tej zagadki, aby zbadać i sprawdzić, czyli ją słyszał i czy był obecny na placu wówczas, gdy król ją sam przed tłumem wygłosił?«
»Dość tych badań i sprawdzań! - rzekła gniewnie Piruza. - Badania te i sprawdzania obrażają dumę mego przyszłego męża. Wierzę Hindbadowi i kocham Hindbada. Nie zniosę dłużej obecności w naszym pałacu tego nikczemnego cudzoziemca!«

I, zwróciwszy się do mnie, Piruza tupnęła nogą o ziemię i zawołała: »Precz z mych oczu!«
»Precz z mych oczu!« - zawołał król wślad za Piruzą.
»Precz z mych oczu!« - zawołał Hindbad wślad za królem.
Nie chcąc się narażać na nowe zniewagi i obelgi, odwróciłem się i wyszedłem.
Na ulicy ochłonąłem z gniewu i oburzenia, lecz na ich miejsce przyszedł żal i rozpacz bez granic!
W ciągu jednej chwili straciłem wszystko, com zdobył też w ciągu chwili jednej. Straciłem Piruzę, straciłem pół królestwa, straciłem koronę, która za kilka godzin miała ozdobić moje czoło!
Straszna była zemsta Degiala! Straszna i nieprzewidziana.
Godzina ślubu mego z Piruzą zbliżała się, lecz nie ja, tylko Hindbad miał teraz poślubić piękną Piruzę.
Przed pałacem zgromadzili się właśnie rycerze konni, i złote karoce i cała świta królewska. Na tarasie pałacowym zagrzmiała kapela, huczna i radosna. Grano marsza ślubnego.
Ukryłem się za drzewem pobliskiem, aby zdaleka widzieć uroczystość, w której miałem brać udział czynny, a której bohaterem został niespodzianie - Hindbad.
Wkrótce król Miraż, królewna Piruza i Hindbad wyszli wesoło z pałacu, dosiedli rumaków i skierowali się w stronę świątyni, gdzie sam arcykapłan miał młodą parę poślubić.
Wślad za nimi ruszyli rycerze konni, złote karoce z damami dworskiemi i cała świta królewska.
Poznałem odrazu rumaki, na których jechał król, Piruza i Hindbad. Galopowały cudownie i tanecznie, naśladując ruchy Konia Morskiego. Serce mi się w piersi ścisnęło boleśnie. Jeden z tych rumaków przeznaczony był dla mnie. Na takim właśnie rumaku, obok takiej właśnie królewny miałem się udać do świątyni, aby potem przywdziać na skronie koronę królewską.
Lecz zamiast mnie - Hindbad siedział na tym rumaku.
Zamiast mnie - Hindbad upajał się szczęściem i powodzeniem.
Tłumy ludzi patrzyły nań z podziwem. Ukryty za drzewem, słyszałem, jak wołano naokół: »Niech żyje Hindbad! Niech żyje Hindbad!«

Imię moje, skoślawione przez króla i królewnę, grzmiało teraz w powietrzu, jak imię przyszłego króla!
Nikt nie znał, nikt nie widział, nikt od niechcenia nawet okiem nie rzucił na prawdziwego Sindbada, który samotnie ukrył się za drzewem, aby oglądać i zazdrościć, zamiast być przedmiotem zazdrości i oglądania.
Objąłem pień mojego drzewa i po raz pierwszy w życiu rozpłakałem się rzewnemi łzami. Wstyd mi było moich własnych łez, lecz nie mogłem ich powstrzymać.
Płynęły strugami, strumieniami, skapując obficie na ziemię i zbierając się u stóp moich w małą, lecz dość głęboką kałużę.
Płakałem zapewne długo, bardzo długo, tak nieskończenie długo, że w czasie mego płaczu Hindbad zdążył poślubić Piruzę i wkrótce ujrzałem cały orszak ślubny, powracający do pałacu.
Wówczas przestałem płakać, lecz nie opuściłem mego drzewa.
Stałem wciąż, stałem uparcie, niestrudzenie, niezmordowanie, aż noc wreszcie zapadła i gwiazdy rozbłysły w niebiosach.
Okna pałacu rozjarzyły się tysiącem świateł rzęsistych. Kapela grzmiała. Na szybach okien co chwila migały podwójne cienie tańczących par. Zgadywałem, stojąc za drzewem, które z tych cieni należą do pana młodego i do panny młodej. Poznałem je po tem, że były błękitniejsze od innych cieni, które się po szybach przesuwały. Zapewne wybłękitniła je radość i szczęście.
I dziwno mi było pomyśleć, że tam, w tym rzęsiście oświetlonym pałacu, za szybami, za ścianami weseli się i tańczy w tej chwili z moją narzeczoną człowiek, do mnie podobny jak dwie krople wody, lecz mimo podobieństwa - wrogi mi i wstrętny i nienawistny.
O północy, znużony łzami, wsparłem się o pień mego drzewa i zasnąłem snem ciężkim i boleśnie twardym. Spałem tak do poranka, gdy mię nagle zbudziło czyjeś dotknięcie. Rozwarłem od łez oślepłe i zbolałe oczy, aby zobaczyć, kto mnie dotknął.
Koło mnie stała staruszka. Koścista jej ręka dotykała właśnie mych pleców.
»Zbudź się, zbudź!« - szepnęła staruszka.
Spojrzałem na nią i nie mogłem ukryć zdziwienia. Nigdy jeszcze nie widziałem tak starej, tak kościstej i tak trzęsącej się kobiety. Mówiła nie głosem, jeno szmerem. Szmer jej ust rozsypywał się w powietrzu,

jak szelest suchego papieru. Oczy jej zapadły się tak głęboko, że nie było ich widać. Twarz pokryta była mchem siwym, a na brodzie wyrastał grzyb, muchomorem zwany. Co chwila kościstą dłonią głaskała swój muchomor, jakby się chciała przekonać, czy tkwi jeszcze na miejscu i czy dobrze rośnie. Sądząc na oko, miała chyba lat tysiąc zgórą.

»Czemu mię budzisz?« - spytałem.

»Budzę, aby cię uprzedzić o niebezpieczeństwie« - zaszemrała staruszka.

»Kto jesteś?« - rzekłem głosem znużonym i sennym.

»Zdziwisz się, gdy powiem, kto jestem - zaszemrała znowu staruszka. - Jestem matką Degiala, lecz mam dla ciebie litość i życzliwość. Mąż mój był słynnym w mieście szewcem. Gdy Degial na świat przyszedł, ucieszyłam się, myśląc, że będzie godnym swego ojca następcą i zajmie się uczciwym i szlachetnym rzemiosłem szewckim. Lecz Degialek już w ósmym roku swego życia był dziwakiem, zawracał głowę cudami i czarami, okazywał pogardę dla swych własnych rodziców i oświadczył stanowczo, że woli zostać duchem niewidzialnym, aniżeli najsłynniejszym w mieście szewcem. I ja i mój mąż drwiliśmy z jego zamiarów i błagaliśmy, aby się zajął pracą sumienną, uczciwą i szlachetną. Lecz był uparty, nie zważał na nasze drwiny i błagania i twierdził, iż czuje w sobie powołanie do sztuki czarnoksięskiej. Daremnie i ja i mój mąż nieboszczyk tłumaczyliśmy mu codziennie, iż powinien słuchać naszych rad doświadczonych i uczyć się rzemiosła szewckiego. Nie chciał się uczyć i dzięki wrodzonym zdolnościom czarnoksięskim z dniem każdym stawał się dla nas coraz bardziej niewidzialny. Degialek od dziecka nienawidził ludzi, zwierząt i roślin. Kochał tylko muzykę. W pokoju swym nagromadził tysiące rozmaitych gongów i uderzał w nie po całych dniach i nocach. Nieustanne brzmienia gongów odbierały sen mnie i mojemu mężowi nieboszczykowi. Spędzaliśmy noce bezsenne, które nas wycieńczyły i pozbawiły sił do pracy. To też dnia pewnego i ja i mój mąż nieboszczyk tak rzekliśmy do Degiala: »Niedobry synu, nietylko stajesz się dla nas coraz bardziej niewidzialny, lecz nadomiar złego odbierasz nam sen dźwiękami gongów i narażasz nas na wycieńczenie i chorobę. Prosimy cię oboje, abyś zaniechał gry na gongach i abyś przestał stawać się niewidzialnym. Jeśli nadal będziesz trwał w uporze i nieposłuszeństwie, wyrzekamy się ciebie na
 wieki! Nie chcemy mieć bowiem syna niewidzialnego, który nic innego

nie robi, jeno po całych dniach i nocach gra na gongach. Nie poto wszakże ojciec na byt twój pracuje i nie poto matka na świat cię zrodziła, abyś się bawił w niewidzialność i grał na gongach, zamiast się zająć uczciwym rzemiosłem szewckim. W odpowiedzi na te nasze słowa i przestrogi, Degial zniknął nam z oczu. Stał się zupełnie niewidzialny. Przeklęliśmy go oboje za upór, nieposłuszeństwo i za naganne przywiązanie do czarów. Odtąd Degial opuścił dom rodzicielski i zamieszkał wraz ze swymi gongami na wyspie Kassel, gdzie panuje jako duch potężny, potworny i niewidzialny. Dźwiękami gongów odbiera przytomność wszelkim stworzeniom, sieje dokoła śmierć i postrach i nie myśli o tem, aby się zająć pracą uczciwą i szlachetną. Chociaż jest moim synem, nienawidzę go z całego serca za jego wyrodną niewidzialność i potworność. Dlatego też chcę cię uprzedzić o zamysłach Degiala. Czuje on nienawiść nietylko do ciebie, lecz i do Hindbada, choć sam go stworzył i zaopatrzył w księgę czarodziejską. Ciebie nienawidzi za to, żeś go znieważył, a Hindbada za to, że jest do ciebie podobny. Postanowił tedy zabić ciebie i Hindbada, złożyć was obu w jednej trumnie i pochować w jednym grobie«.

Dreszcz mię przeszedł od stóp do głowy na myśl, że mogę się znaleźć w jednym grobie z moim wrogiem, który jest do mnie, jak dwie krople wody, podobny. Straszny byłby grób, gdzie spoczęłyby dwa takie trupy! Któżby się pomodlił na takim grobie? Któżby wiedział, za kogo ma się modlić - czy za duszę Sindbada, czy za duszę Hindbada? Nawet po śmierci ścigałoby mię to okropne podobieństwo! Musiałbym się przez wieki całe dzielić trumną i grobem i snem wiekuistym i ciszą mogilną z moim wrogiem, z moim sobowtórem, z istotą potworną, bo stworzoną sztucznie i zgoła po czarnoksięsku.

»Dobra staruszko! - zawołałem zrozpaczony. - Poradź mi, co mam uczynić, aby uniknąć tego niebezpieczeństwa?«

»Degial zajęty jest dopiero przygotowaniem czarów i zaklęć odpowiednich, aby z ich pomocą zgładzić ciebie i Hindbada. Udaj się natychmiast na brzeg morza, stoi tam właśnie okręt, który za chwilę ma do Balsory odpłynąć. Siądź na ten okręt i wróć do Bagdadu. Unikniesz tym sposobem wszelkiego niebezpieczeństwa. Wówczas Degial, nie mogąc ciebie dosięgnąć, zostawi w spokoju Hindbada i pozwoli mu żyć nadal w chwale i szczęściu«.

Podziękowałem matce Degiala za dobrą radę. Zabolało mię wprawdzie to, że ratując siebie, ratuję jednocześnie Hindbada, przedłużając jego szczęście i chwałę. Wolałem jednak przyczynić się mimowoli do jego chwały i szczęścia, aniżeli znaleźć się z nim w jednym grobie. Pożegnałem staruszkę i co tchu pobiegłem na brzeg morza.

Stał tam rzeczywiście okręt, który za chwilę miał do Bagdadu odpłynąć. Siadłem na okręt i wkrótce wypłynąłem na morze, oddalając się coraz bardziej od brzegów wyspy króla Miraża.

Dopłynąłem szczęśliwie do samej Balsory bez żadnych przygód i wypadków. Z Balsory udałem się konno wprost do Bagdadu. Widok miasta rodzinnego napełnił mię radością. Przynagliłem konia do biegu i wkrótce stanąłem przed moim pałacem. Wbiegłem do pałacu i zastałem wuja Tarabuka przy stole. Siedział i kończył właśnie wiersz pod tytułem: Topola wpośród pola. Chciałem go uścisnąć, lecz wuj Tarabuk zawołał:

»Bądź cierpliwy i nie przerywaj mi natchnienia. Stój za mną dopóty, dopóki nie skończę wiersza, w którym opisuję pewną topolę, stojącą samotnie na samym środku pewnego pola«.

Stałem cierpliwie, czekając, aż wuj Tarabuk wiersz swój ukończy. Wuj Tarabuk ukończył wreszcie, położył pod wierszem swój podpis i wówczas dopiero rzucił mi się na szyję.

»Więc powróciłeś, mój drogi, mój jedyny siostrzeńcze! - wołał ze łzami w oczach. - Myślałem, żeś zginął w krajach nieznanych. Niepokoiłem się o ciebie niezmiernie. Jedyną pociechą było dla mnie pisanie wierszy. Nie udało mi się wprawdzie wyłowić z morza moich rękopisów, lecz zato napisałem tyle nowych wierszy, żem zupełnie o dawnych zapomniał. Wróciła mi moja wesołość i równowaga ducha. Już wymawiam słowa całkowicie, zamiast je urywać na środkowych sylabach. Zresztą od czasu twego wyjazdu nic nowego nie zaszło. Wszystko po staremu. Skarby swoje i majątki zastałeś w porządku i w całości. Masz, jak dawniej, sto pałaców, sto ogrodów, sto worów złota i sto beczek srebra. Zginął tylko trzonowy ząb twego pradziada. Złodziej w nocy wdarł się do pałacu, lecz nie zdążył ukraść nic, prócz szkatułki hebanowej ze zbolałym zębem twego pradziada. Przyłapałem go na gorącym uczynku, lecz uciekł przez okno i niezdołałem go dogonić«.

41 ~ Zmartwiła mię bardzo strata zęba pamiątkowego i wuj Tarabuk z wła-

ściwą sobie bystrością umysłu natychmiast spostrzegł i zrozumiał moje zmartwienie.

»Nie martw się, mój drogi! - zawołał. - Powinieneś się radować, żeś powrócił cało do domu. Mam nadzieję, że zaniechasz odtąd wszelkich podróży i że już nigdy nie opuścisz miasta rodzinnego. Pomyśl, jak to będzie dobrze i pięknie i spokojnie, gdy razem ze mną będziesz mieszkał pod jednym dachem, razem ze mną będziesz chodził na spacer i razem ze mną będziesz śniadał, obiadował i wieczerzał. Czyż nie lepszy jest taki żywot domowy, niż niebezpieczeństwa podróży?«

Nic nie odpowiedziałem na to wujowi.

Odtąd wszakże pędziłem żywot spokojny w moim pałacu. Razem z wujem Tarabukiem chodziłem na spacery i razem z nim śniadałem, obiadowałem i wieczerzałem. Wuj Tarabuk odczytywał mi głośno swoje utwory, aby mię rozerwać i czas mi uprzyjemnić.

Rok cały zbiegł mi na tego rodzaju rozrywkach.

Po roku jednak życie domowe zaczęło mi ciężyć. Żądza podróży wracała ze zdwojoną mocą. Śniła mi się często Piruza i król Miraż. A jeśli nawet przyśnił mi się Hindbad i Degial, nie czułem do nich we śnie żadnej nienawiści. Znów zapragnąłem przygód niespodzianych, chociażby te przygody miały mi przynieść smutek i nieszczęście.

Pewnej nocy śnił mi się kraj nieznany i daleki. Cały mój sen napełnił się tym krajem. Zbudziłem się nazajutrz dziwnie zadumany. Dumałem rzeczywiście o nowej podróży. Postanowiłem dziś jeszcze pożegnać się z wujem Tarabukiem i opuścić miasto rodzinne.

PRZYGODA DRUGA

PRZY śniadaniu porannem oświadczyłem wręcz wujowi Tarabukowi, że dziś wieczorem stanowczo opuszczam Bagdad. Wbrew moim oczekiwaniom, wuj Tarabuk ani się zdziwił, ani zaniepokoił, ani oburzył. Zlekka jeno przymrużył oczy, wydął nieco wargi i rzekł z przekąsem:

»Dlaczego opuszczasz Bagdad - mogę jeszcze jako tako zrozumieć, ale dlaczego dotąd nie raczyłeś mi opowiedzieć pierwszej twojej przygody - tego zrozumieć nie mogę, nie chcę i nie potrafię. Urażasz mię bardzo, okazują brak zaufania do wuja, którego ciekawość z pewnością dorównywa twojej żądzy podróży. Cierpliwie dotąd wyczekiwałem chwili, w której samochcąc opowiesz mi wszystko. Ponieważ jednak, zamiast oczekiwanej opowieści, usłyszałem dzisiaj z ust twoich postanowienie ponownego odjazdu, tedy sam cię proszę, abyś przed odjazdem zaspokoił moją ciekawość«.

»Drogi mój wuju - odrzekłem - głęboko i szczerze szanuję twoją ciekawość i chętnie ją zaspokoję. Słuchaj mię uważnie, gdyż przygody moje godne są twoich uszu«.

Wuj Tarabuk natężył uszu, otworzył naoścież oczy, rozchylił usta i nabrał tak dziwnego wyrazu twarzy, że trudno było orzec, czy osłupiał z ciekawości, czy też tylko znieruchomiał. Opowiedziałem znieruchomionemu, czy też osłupiałemu wujowi wszystko, co mi się zdarzyło podczas pierwszej mojej podróży. Podobał mu się niezmiernie król Miraż, oczarowała go Piruza, poczuł jeno wstręt do Hindbada oraz pewien rodzaj niechęci do Degiala.

»Drogi Sindbadzie! - zawołał, gdym skończył opowiadanie - Mam ci za złe, żeś nie potrafił ująć Miraża i Piruzy odpowiednim podarunkiem. Muszę wyznać, iż czarodziejska księga, którą złożył jej w darze Hindbad, była skarbem niezmiernie rzadkim. Co do mnie - potrafiłbym zaćmić ów dar - skromniejszym, a jednak cenniejszym darem. Złożyłbym u stóp pięknej Piruzy wiersz na jej cześć napisany. Wierzaj mi

że odwróciłaby oczy od czarodziejskiej księgi, aby je przenieść na świstek papieru, zapisany skromną ręką wielkiego poety. Hindbad odszedłby z kwitkiem, ja zaś pojąłbym za żonę piękną Piruzę. Dla ciebie, Sindbadzie, Piruza stracona jest na zawsze, lecz mam nadzieję pozyskania tej, którąś ty stracił. Czego siostrzeniec nie potrafił - wuj dokona. W tej chwili napiszę wiersz na cześć Piruzy, ty zaś wyrusz wprost do krainy Miraża i ciszkiem wręcz mój wiersz pięknej Piruzie. Powiedz jej tylko trzy słowa: od wuja Tarabuka, to - wystarczy. Bądź pewien, że po odczytaniu mego wiersza, Piruza albo zażąda od męża natychmiastowego rozwodu, albo czarodziejską księgą rozbije łeb podłego Hindbada. Po rozbiciu tego łba, lub po dopełnionym rozwodzie - Piruza przyśle po mnie do Bagdadu stu rycerzy, którzy nawet wbrew mej woli i pomimo lekkiego z mojej strony oporu sprowadzą mnie do państwa króla Miraża, abym tam niezwłocznie poślubił niecierpliwą a oczarowaną moim wierszem Piruzę«.
»Wuju! - zawołałem. - Nigdy już noga moja nie postanie w państwie króla Miraża! Dzień mego powrotu - byłby dniem mojej śmierci. Czyha tam na mnie niewidzialny Degial, a prócz tego widok Piruzy i Hindbada zbyt by mi zakrwawił serce!«
Wuj Tarabuk nie słyszał moich słów. Siedział już przy stole z piórem w ręku i pisał. Minął poranek - a wuj Tarabuk pisał. Nastało południe a wuj Tarabuk pisał. Pierwsza gwiazda zabłysła na niebie - a wuj Tarabuk pisał.
»Wuju! - szepnąłem zrozpaczony. - Muszę już w podróż wyruszyć! Przejazd z Bagdadu do Balsory wymaga całej nocy, a okręt z Balsory nad ranem od brzegów odbija.
Wuj Tarabuk pisał.
»Wuju! - krzyknąłem, szarpiąc go za ramię. - Nie mam czasu ani chwili! Odjeżdżam! Do widzenia!«
Wuj Tarabuk pisał.
Wdziałem kapelusz na głowę i już byłem u drzwi, gdy wuj Tarabuk triumfująco zawołał:
»Skończyłem!«
Głos wuja zatrzymał mnie w progu.
»Skończyłem!« - powtórzył wuj, podbiegając do mnie i podając mi
 świstek papieru.

»Oddasz to Piruzie do rąk własnych! - wołał wuj Tarabuk. - Powiesz jej tylko te cztery słowa: skromny utwór wielkiego poety«.
»Dobrze, dobrze! - rzekłem, chcąc jaknajprędzej uwolnić się od natrętnego wuja.
Wybiegłem szybko z pokoju i po chwili byłem już na ulicy. Wuj Tarabuk wysunął głowę przez okno i zawołał:
»A pamiętaj powiedzieć Piruzie, żeby przysłała po mnie do Bagdadu stu rycerzy konnych! Będę wprawdzie stawiał opór, ale bardzo lekki!«
Przynagliłem kroku i wkrótce tak się oddaliłem od wuja Tarabuka, żem już nie słyszał jego głosu.
Nazajutrz zrana byłem już w Balsorze. Omal się nie spóźniłem, gdyż okręt za chwilę miał już odbić od brzegu. Zdyszany wbiegłem na pokład. Poranek był słoneczny. Radość rozpierała mi piersi, gdym uczuł, że okręt, zlekka się kołysząc, unosi mię hen daleko - w kraje nieznane. Wsparłem się łokciem o burtę okrętu i zapatrzyłem się w dal morską. Kołysanie okrętu wkrótce mię uśpiło. Przymknąłem oczy i oddałem się z rozkoszą snowi, ponieważ zmęczony byłem całonocną podróżą. Zaledwo sen owładnął mojem ciałem, a już poczułem, że wokoło mnie dzieją się jakieś czary. Fala, która z pluskiem uderzała o ścianę okrętu, rozpadła się nagle na dwoje i wynurzył się z niej znany mi dobrze łeb Djabła Morskiego.
»Jak się masz, Sindbadzie - rzekł Djabeł Morski, zaglądając mi do oczu swemi nieodpartemi ślepiami.
»Mam się nieźle - odpowiedziałem natychmiast, zdobywając się na ironję, nie pozbawioną wszakże strachu. - Nie rozumiem jednak, po co się wynurzasz z fali i ukazujesz moim oczom? Wcale nie jestem spragniony twego widoku«.
»Stęskniłem się do ciebie - odrzekł Djabeł Morski - Byłem pewien, że rady moje utkwiły głęboko w twem sercu i że w końcu opuścisz nudny dom wuja Tarabuka, aby na świecie szerokim szukać nowych przygód.
»Gnają mnie w świat nie twoje rady, lecz moje własne marzenia i żądze« - odrzekłem z dumą.
»Tem lepiej, tem lepiej, - zauważył Djabeł Morski. - Zawszem się o to starał, aby rady moje odpowiadały twoim żądzom i marzeniom. Mam do ciebie żal słuszny za to, żeś ongi list mój wrzucił do głębiny morskiej, zamiast go zachować przy sobie na pamiątkę. Znalazłem ten list

w morzu i korzystam ze sposobności, aby go dzisiaj zwrócić tobie«.
»Precz z tym listem! - zawołałem. - Nie potom go falom morskim oddał, aby go znowu przyjąć zpowrotem! Nie chcę tego listu! Brzydzę się tym listem! Protestuję przeciw temu listowi!«
»Nadaremne twe okrzyki! - odrzekł Djabeł Morski. - Poniechaj wszelkich wysiłków i sprzeciwień. Znieruchomię cię moim wzrokiem i wsunę list zpowrotem do kieszeni«.
I Djabeł Morski utkwił we mnie swe straszliwe ślepie. Czułem, że pod wpływem jego przenikliwych, nieodpartych spojrzeń tracę zwolna siły i nieruchomieję. Nadaremnie starałem się poruszyć ręką, nogą, głową... Znieruchomiały mi ręce, znieruchomiały nogi i znieruchomiała głowa. Wówczas Djabeł Morski, zauważywszy zapewne, iż stopień mego znieruchomienia jest dość wysoki, zbliżył się do mnie z przeklętym listem w pysku i wsunął mi list do kieszeni, poczem szepnął:
»Zbudź się - zbudź się - zbudź!«
Zbudziłem się nagle i dotknąłem ręką kieszeni, chcąc zbadać, czy śniłem tylko, czy też rzeczywiście byłem igraszką Djabła Morskiego. Niestety - list zaszeleścił w kieszeni. Przerażony, wyciągnąłem go zowąd szybko i przekonałem się, że jest to ten sam list, który mi przyniósł tyle nieszczęść podczas pierwszej mojej podróży.
Bojąc się, ażeby kapitan i marynarze nie ujrzeli w mym ręku przeklętego listu, włożyłem go zpowrotem do kieszeni. Zaledwiem to uczynił, niebo zachmurzyło się, błyskawica fioletowym zygzakiem zarysowała się na ołowiu chmur, rozległ się grzmot daleki i okręt nasz zakołysał się nerwowo na wzburzonych falach. Byłem pewien, że przyczyną burzy jest obecność na okręcie listu Djabła Morskiego. Nie myliłem się, gdyż takiej burzy nikt chyba jeszcze nie widział. Niebo i morze tak pociemniały, iż robiły wrażenie dwóch bezdennych otchłani, w których miotała się i ryczała sama ciemność, przemieszana z wichrem. Ludzie na pokładzie stali bez ruchu, nie wiedząc, co czynić. Nawzajem się nie widzieli, nawzajem nie słyszeli swych głosów.
Trudno było w tej ciemności wyróżnić kapitana. Zapewne wydawał jakieś rozkazy w celu ratowania okrętu, lecz - niestety - nikt tych rozkazów nie słyszał wśród ryku burzy i poświstu wichury. Olbrzymie fale wpadały na okręt, zatapiając ludzi i znosząc niektórych z pokładu.
 Wreszcie usłyszałem głuchy trzask łamiących się masztów i uczułem,

że okręt nasz pogrąża się w toni morskiej. Odmówiłem z błyskawiczną szybkością modlitwę, którą marynarze odmawiają zazwyczaj w chwili, gdy okręt ma utonąć. I dobrzem uczynił, bo gdybym się spóźnił o małą chwilę, już bym nie zdążył jej odmówić, a kto wie czy bez pomocy tej modlitwy udałoby mi się uratować swe życie wśród ogólnego zniszczenia.

Woda zalała już pokład. Zapewne dolna część okrętu została naruszona i woda znalazła sobie dość szerokie ujście, gdyż w niespełna kilka minut uczułem, że grążę się wraz z okrętem w morzu. Już woda sięgała mi ramion, szyja tylko i głowa i wzniesione usilnie ręce sterczały nad jej powierzchnią. W tej chwili właśnie niebo zlekka się przejaśniło i zobaczyłem, że dokoła mnie sterczą tak samo szyje i głowy i wzniesione ku niebu dłonie moich towarzyszy. Zapadaliśmy się na dno coraz szybciej. Już dolne wargi nasze dotykały poziomu morza. Po chwili zobaczyłem bezsilne miotania się tonących beznadziejnie ciał ludzkich, które nadaremnie borykały się w wodzie z okropną śmiercią. Przyszła kolej i na mnie. Jużem się zachłysnął dwa razy i miałem się zachłysnąć po raz trzeci, gdy nagle ujrzałem w pobliżu olbrzymi maszt, który, wichrem złamany, płynął po fali. Uczepiłem się oburącz tego masztu i popłynąłem wraz z nim tam, kędy wicher nas pognał. Płynąłem tak trzy dni i trzy noce, aż wreszcie pewnego poranku dotarłem do brzegów jakiegoś lądu.

Wyskoczyłem radośnie na ląd i rozejrzałem się dokoła, chcąc zrozumieć, gdzie jestem i czy znajdę jakiekolwiek pożywienie, czy też czeka mnie śmierć głodowa. Trzy dni bowiem i trzy noce nic w ustach nie miałem. Wokół mnie była zupełna pustynia. Piachy i piachy. Ani drzew, ani kwiatów, ani ptaków. Jeno wpośrodku niemal piaszczystej równi ujrzałem przedmiot, który odrazu przykuł moją uwagę. Był olbrzymi i okrągły, niby potwornie wielkie jajo. Żaden wszakże ze znanych mi ptaków tak olbrzymich jaj nie znosił. To też przyszedłem wkrótce do wniosku, że jeśli ów przedmiot jest - jajem, ptak, który je zniósł, należy w każdym razie do nieznanego mi gatunku ptaków. Prócz tego przyszło mi do głowy, że mogę skorzystać z zawartości tego jaja, aby głód zaspokoić, gdyż nie znajdę wokół żadnego innego pokarmu. W tym celu zbliżyłem się szybko do jaja, wyjąłem z za pasa topór po-
 dróżny i uderzyłem nim z całych sił w skorupę. Uderzenie topora

nadłamało zlekka skorupy, w której ukazała się wąska szczelina. Natychmiast przez ową szczelinę zaczęło się sączyć białko. Nadstawiłem dłoni i począłem spijać świeże, smaczne białko, które ciurkiem płynęło z olbrzymiego jaja.

Przetrwałem tak kilka tygodni, karmiąc się wyłącznie białkiem. Po kilku tygodniach z jaja trysnęło pachnące, szafranowego koloru żółtko. Rad byłem niezmiernie tej zmianie potraw, gdyż wyznam szczerze, iż białko mi się już sprzykrzyło i od dni kilku z niecierpliwością wyczekiwałem spodziewanego żółtka.

Po kilku wszakże tygodniach wyczerpało się i żółtko. Przede mną piętrzyła się jeno olbrzymia, lśniąca skorupa docna opróżnionego jaja, które przez czas tak długi było dla mnie pełną powabu śpiżarnią. Z rozpaczą spojrzałem na opustoszałą śpiżarnię i na dookolną pustynię, gdziem nie mógł znaleźć dla siebie żadnego pokarmu. Pustynia była spalona słońcem. Przez kilka tygodni mego na niej pobytu ani jedna kropla deszczu nie upadła na jałową ziemię. Właśniem pomyślał o deszczu, gdy nagle niebo się zachmurzyło i poczułem w powietrzu przyjemny, wilgotny zapach zbliżającej się ulewy. Ulewa spadła z takim szumem, jakby w niebie rozwarło się tysiące rdzawych, zgrzytliwych upustów. Rozchyliłem usta i z rozkoszą spijałem olbrzymie, chłodne krople, które mi do ust obficie trafiały. Przemokłem cały docna, sprawiał mi jednak przyjemność wilgotny dotyk deszczu. Nadszedł wieczór - a deszcz nie ustawał. Nadeszła noc - a deszcz nie ustawał. Zaświtał poranek - a deszcz trwał nadal. Zaczęło mię to niepokoić. Zamiast pustyni - miałem teraz przed oczyma nieskończoną kałużę, która z każdą chwilą szerzyła się i pogłębiała. Po kostki byłem już w wodzie. Drugi dzień minął, a deszcz lał jak z cebra nieustannie. Woda sięgała mi niemal do kolan. Próżnom dokoła wodził okiem, aby znaleźć jakiekolwiek schronisko. Ani drzew, ani skał nie było dokoła. Wzrok mój padał nieustannie tylko na olbrzymie, puste jajo. Przyszła mi nagle myśl do głowy, że mogę przecie zamieszkać w jego wnętrzu. Natychmiast zbliżyłem się do jaja, rozszerzyłem toporem otwór, który przedtem uczyniłem, i wpełzłem przez otwór do wnętrza. Gdym był już we wnętrzu, zasłoniłem otwór skórzanym kaftanem, który miałem na sobie, aby tym sposobem osłonić moje nowe mieszkanie przed ulewą.

 Byłem zachwycony mojem schroniskiem. Od czasu, jak wyruszyłem

w podróż, nie miałem jeszcze tak wygodnego mieszkanka. Było coprawda zbyt okrągłe i zbyt sklepione. Musiałem przez czas pewien przyzwyczajać nogi do chodzenia po wklęsłej, nieckowatej podłodze. Zanim zdobyłem owo nawyknienie, padałem niemal co chwila, jak długi, na podłogę tembardziej, że była śliska z powodu resztek białka, które zgarniałem w dłonie i w ten sposób żywiłem się jeszcze przez dni kilka. Tymczasem - nazajutrz po mojem zamieszkaniu we wnętrzu jaja, deszcz ustał i pogodne, jaskrawe słońce przenikło przez przezroczą skorupę jaja, wyzłacając całe jego wnętrze. Sama skorupa, oświetlona rzęsistem słońcem, zdała mi się szczerozłotą. Widziałem, jak zwolna, w miarę zachodu słońca - zmieniała swe barwy, stając się coraz różowszą, aż wreszcie spurpurowiała, wypełniając wnętrze cudownem, purpurowem półświatłem. Ubranie moje i ręce, na które spojrzałem, wszystko teraz było - purpurowe, aż wreszcie purpura zaczęła ciemnieć, błękitnieć, szarzeć i wkońcu mrok gęsty zapanował w mojem mieszkaniu. Pewnego dnia - w samo południe, zauważyłem nagle, iż przejrzyste ściany mego mieszkania, złociściejące od słońca, pokryły się nagłym i niespodzianym cieniem.

»Pewno się niebo zachmurzyło i burza nadchodzi« - pomyślałem w duchu i, chcąc sprawdzić moje przypuszczenia, wyjrzałem na świat przez wyżłobione w jaju okienko.

Jakież było moje zdziwienie, gdym zamiast chmury - ujrzał w niebiosach - tuż nad jajem - olbrzymiego ptaka, który dwojgiem ogromnych skrzydeł przesłonił niebiosy i rzucił cień na ściany mego domu.
Nigdym nie widywał dotąd tak ogromnego skrzydlaka. Zauważyłem, że po chwili lotu znieruchomiał w niebiosach i jął się zwolna spuszczać na ziemię - wprost ku miejscu, w którem znajdowało się jajo.
Domyśliłem się, że jajo, w którem mieszkam, jest przyrodzoną własnością skrzydlatego olbrzyma. Jednocześnie przypomniałem sobie nagle słowa pewnego marynarza, który mówił do mnie i do swych towarzyszy:
»Nikt mi chyba nie uwierzy, żem widział w swem życiu ptaka, który jest dziesięć razy większy od największego okrętu, chociaż posiada dwa tylko potężne żagle. Kto nie wierzy w istnienie takiego ptaszury, ten niech przynajmniej uwierzy w to, że ptak ów nazywa się Rok. Nie znam jego obyczajów, ale przypuszczam, iż znosi jaja tak wielkie, że
49 możnaby w jednem z nich schować wszystkie kufry naszej załogi z ta-

ką samą łatwością, z jaką ja w tej chwili chowam fajkę do kieszeni. Niewiara prostaków w możliwość zniesienia takiego jaja zasadza się chyba na tem tylko, że nigdy kura swojska takich im jaj znieść nie raczyła, - lecz za możliwością znoszenia jaj takich przemawia nieodparcie ta okoliczność, że ptak Rok wcale nie jest do kury podobny«.

Tak mówił stary, wytrawny marynarz. Pamiętam, iż wówczas pierwszy zwątpiłem o prawdzie słów starego marynarza, to też w tej chwili właśnie poczerwieniałem ze wstydu po uszy na myśl, iż tkwię we wnętrzu jaja, w którego zniesienie nie wierzyłem, i że spuszcza się ku mnie z niebiosów sam ptak Rok, którego istnienie podałem niegdyś w wątpliwość. Po krótkiej lecz bolesnej chwili dojmującego wstydu, zamyśliłem się nad tem, co mam teraz począć - czy pozwolić ptakowi ująć mię wraz z jajem w szpony i unieść precz z tej wyspy, czy też wysunąć się z jaja przez otwór i zmykać co tchu w jakąkolwiek stronę, gdyż wokół była pustynia jednostajna i wybór tej lub innej strony świata był mi w danym razie i dla danego celu zgoła obojętny. Mniej obojętny wydał mi się ów fakt, iż równia pustynna znacznie utrudniała niespostrzegalność mojej ucieczki. Ani stary marynarz, ani tembardziej ja - młody podróżnik - nie znaliśmy obyczajów Roka. Obawiałem się, iż obyczaje tego olbrzyma są drapieżne i mściwe, zaś zbyt dokładne i zbyt widoczne opróżnienie przynależnego mu jaja mogło mię właśnie narazić na zemstę skrzydlatego drapieżnika. Nie miałem zbyt wiele czasu do namysłu. Rok spuszczał się coraz szybciej i szpony jego za chwilę mogły już dosięgnąć jaja.

Zapadło we mnie błyskawiczne postanowienie trwania nadal we wnętrzu pozyskanego trafem przytułku. W razie bowiem udanej nawet ucieczki - czekała mię na wyspie śmierć głodowa. Wolałem więc pozwolić ptakowi, aby mię stąd uniósł gdziekolwiek, choćby na szczyty skał lub gór, kędy zapewne buduje swe gniazda.

Jak pomyślałem, tak się stało. Rok pochwycił jajo w szpony i uniósł je wraz ze mną wysoko - w błękity.

Jajo, które jeszcze przed chwilą było dla mnie czemś w rodzaju niedorzecznie okrągłej chałupy, przedzierzgnęło się teraz w rodzaj dorzecznie okrągłego balonu, który unosił się coraz wyżej dzięki potężnym skrzydłom niestrudzonego Roka.

Wyjrzałem ostrożnie przez otwór i doznałem w pierwszej chwili zawrotu głowy. Tkwiłem kędyś - w powietrzu - w niewiadomych wysokościach, a pode mną znajdowała się otchłań błękitna, kędy zaledwo zieleniały, nakształt plam przejrzystych, lasy przeniebieszczone rzekami. Zrozumiałem, żeśmy już oddawna zostawili w tyle za sobą wyspę pustynną i że przelatujemy obecnie ponad jakimś krajem rzecznym i lesistym. Lęk mię chwycił na myśl, że Rok wkrótce znudzi się dźwiganiem jaja i upuści je wraz ze mną w ową otchłań, ponad którą przelatywałem tymczasem zwycięsko. Obawy moje były wszakże płonne. Rok wprawdzie po upływie pewnego czasu utkwił niemal bez ruchu w jednym punkcie przestrzeni, lecz nie po to, aby jajo w otchłań cisnąć, jeno po to, aby się ostrożnie wraz z niem spuścić na ziemię. Uradowałem się teraz na myśl, że Rok obchodzi się ze mną tak samo ostrożnie, jak z jajem. Czułem, że przy opadaniu na ziemię zachowuje wszelką baczność, aby jaja nie uronić lub nie zbełtać go zbyt mocnem wstrząśnięciem. Wdzięczny mu byłem za tę dobroczynną troskliwość. Co raz szybciej zbliżaliśmy się do widniejącej pod nami ziemi. Po chwili już przelatywaliśmy tuż ponad wierzchołkami gór, pomiędzy którymi zieleniały głębokie kotliny. Ku jednej z tych kotlin skierował Rok swe potężne loty i na jej dnie ułożył ostrożnie jajo. Wyjrzałem wówczas ukradkiem z mej kryjówki, aby zbadać miejsce, w którem się znajduję.
Była to, zda się, jedna z najgłębszych, bezdennych niemal kotlin, szczelnie otoczona stromemi górami, które, kojarząc się w zwarte kolisko, ukazywały jeden tylko stosownie okrągły szmat nieba, jak to bywa u wylotu studni. Nikt chyba bez pomocy Roka nie potrafiłby ani wnijść, ani wynijść z tej kotliny.
Spojrzałem na jej dno i oczy moje wypełniły się nagle tysiącem skier, gdyż oto dno dziwacznej kotliny było nabite przemieszanemi ze szczerkiem diamentami. Nigdym jeszcze nie widział tylu naraz diamentów. Słońce, rozbite o ich ostrza przezrocze, skrzyło się, drgało, dwoiście i troiście złociło się w ich wnętrzach, migotało nagłemi i znikliwemi gwiazdami, przelewało się po ich grzbietach strumieniami blasków i odblasków, wzbierało falami rozwichrzonych świateł, łamało się na złote trójkąty, i na złote krzyże, i na złote pióropusze, i na złote drzazgi, aż wreszcie roziskrzone, rozpląsane wnikało do oczu złotym dreszczem i złotym pyłem. Oczarował mię widok zaklętego dna Kotliny

Diamentowej. Zdziwiło mię wszakże zachowanie się skrzydlatego mocarza. Przykucnął na ziemi, w samym środku kotliny, rozpostarł płazem skrzydła i jął niemi uderzać po dnie kotliny, jak dwoma pierzastymi cepami. Zdziwienie moje nie miało granic. Czułem się w tej chwili tak, jak czuć się może tylko człowiek, który, tkwiąc we wnętrzu jaja, spogląda przez jego otwór na olbrzymiego ptaka, młócącego skrzydłami ziemię Kotliny Diamentowej! Pomyślałem przytem, że chyba ta czynność osobliwa nie może trwać długo i że zapewne Rok wkrótce jej poniecha. I rzeczywiście Rok poniechał swej niepojętej czynności.
Wówczas postrzegłem, że dzięki wiadomej młócce w skrzydłach jego utkwiło czepliwie mnóstwo diamentów. Przypomniałem sobie, że kruki mają zwyczaj kradzenia klejnotów, i stąd wywnioskowałem, że Rok pochodzi zapewne ze złodziejskiej rodziny jakichś potwornie olbrzymich i rozpanoszonych kruków. Lecz wniosek ten upadł, skorom zmiarkował, że diamenty, w które się Rok zaopatrzył, są niczyje, tedy czynu Roka nie można było nazwać przywłaszczeniem cudzej własności, jeno szlachetnem pozyskaniem wspaniałej zdobyczy.
Postanowiłem i ja ową zdobycz pozyskać. W tym celu powziąłem zamiar opuszczenia mojej kryjówki i pozostania w kotlinie.
Gdy Rok ponownie jajo w szpony pochwycił, wysunąłem się niepostrzeżenie z jego wnętrza na ziemię. Rok dał po dawnemu skrzydłom rozmach, niezbędny dla podźwignięcia jaja, obarczonego brzemieniem mojej osoby, lecz, ponieważ tego ostatniego brzemienia ubyło, tedy ów nadmierny rozmach poskutkował tak, iż jajo wraz z ptakiem znikło mi z oczu w niebiosach z przesadnie błyskawiczną szybkością, wielce podobną do znikania kul kolorowych w palcach umiejętnego sztukmistrza.
Pozostałem sam w kotlinie.
Pozbawiony mieszkania, do którego się już przyzwyczaiłem, uczułem się narazie nieswojo i sieroco, jak się czuje długoletni lokator po zbyt pośpiesznej i nieoględnej wyprowadzce. Lecz przykre to uczucie ustąpiło powoli uczuciu rozszalałej ciekawości. Jąłem w poskokach biegać tu i tam po kotlinie, upajając się złotem skrzeniem i mżeniem diamentów. Przyglądałem się im z dziecięcą radością, aż wreszcie, przeskakując z miejsca na miejsce, zacząłem zbierać największe i najbłyskotliwsze. Objuczyłem nimi wszystkie kieszenie
 i skrytki mego ubrania, wypełniłem po brzegi torbę podróżną oraz

sakiewkę. Zdawało mi się, żem stracił na owo zbieranie diamentów zaledwo godzinę czasu. Aliści słońce już zachodzić poczęło. Nadszedł wieczór. Pomyślałem, iż czas już wydostać się z kotliny. Daremnie jednak obmyślałem środki wydostania się z owej pułapki szatańskiej! Nie było żadnych środków! Teraz dopiero zacząłem żałować błędu, który popełniłem, zwabiony połyskiem i bliskością diamentów. Co pocznę teraz w tej kotlinie, objuczony diamentami? Przyjdzie mi tu chyba skonać z głodu.

Zadarłem głowę dogóry, aby raz jeszcze zawiesić wzroku u wylotu kotliny. Hen - wysoko - na szczycie jednej z gór ujrzałem, zmniejszoną oddaleniem, sarenkę, która zlekka przysiadając na tylnych nogach, gotowała się widocznie do skoku, aby przesadzić wylot Kotliny Diamentowej. Skoczyła wreszcie, lecz skok nie ogarnął zmierzonej na oko przestrzeni. Sarenka, przed chwilą jeszcze tak zręczna w pierwszej połowie skoku, w drugiej jego połowie wyniezgrabniała nagle w powietrzu i spadła na dno kotliny, niby płaszcz zrzucony, który natychmiast krwią się suto zabarwił. Podbiegłem do niej. Umarła cała, prócz oczu. Życie trwało w nich jeszcze przez okamgnienie, podobne do zbytecznej i niezrozumiałej modlitwy. Poczem oczy zaszły bielmem, przez które zlekka przeświecały czarne, rozszerzone śmiercią, źrenice. Wzruszyła mię śmierć sarenki, lecz po upływie pewnego czasu przyłapałem siebie na gorącym uczynku rozmyślania o tem, że mam teraz możność zaspokojenia dręczącego mię głodu.

Tymczasem noc już zapadła. Gwiazdy ukazały się na niebie - u wylotu kotliny. Ochłodzone powietrze sporszemi falami wpływało mi do piersi. Księżyc wynurzył się z poza obłoków i rozjarzył kotlinę. Diamenty dziko i zimno połyskiwały w świetle księżycowem. Stalowe ich błyski tajemniczo i złowieszczo krzątały się i pląsały po kotlinie.

Uczułem nagle, że pokład diamentowy, na którym stoję, zaczyna się poruszać i zachwiewać pod mojemi stopami. Po chwili całe dno kotliny zachwiało się w swych posadach. Jednocześnie posłyszałem jakieś pokątne syki i ujrzałem znienacka atłasowo-połyskliwe, ozdobione pręgowatym ornamentem, łby wężów jadowitych, które się i społem i kolejno wysnuwały z dna kotliny z pod natłoku rozjarzonych w księżycu diamentów. Widok ów przejął mię dreszczem wstrętu i zgrozy. Wyznam szczerze: zbladłem i struchlałem. Cofnąłem się ku skalnym ścia-

 nom kotliny i szczęśliwym trafem wykryłem w nich grotę, przywaloną

olbrzymim głazem. Uczyniłem wysiłek nadludzki, aby nieco uchylić głazu i przeniknąć do wnętrza groty. Gdym był już we wnętrzu i gdy głaz na nowo wejście do groty szczelnie przesłonił, odetchnąłem radośnie, dziękując Allachowi za nagłe zbawienie. Ciekawość jednak kazała mi zlekka uchylić głazu, aby spojrzeć na okropne węże przez szczelinę, której zbytnia wąskość wzbraniała wężom dostępu. To, com ujrzał, przeszło wszelkie moje oczekiwania. Ujrzałem cud, ale cud potworny i straszliwy! Tłum wężów, jaskrawo oświetlonych blaskiem wylękłego księżyca, snuł się po dnie kotliny, unosząc ku górze łby i prostując smukłe, nakształt potwornych łodyg, tułowie. Zdawało się, iż dno kotliny porosło nagle tysiącem żywych, ruchomych, sprężystych badyli, które miarowo chwiały się na wietrze. Przyglądając się uważniej, postrzegłem, że owe dziwaczne, wzwyż na ogonach klęczące węże przystrojone są w szereg obcisłych pierścieni i sygnetów. Cały tłum wężowy, wsparty na diamentach, zdawał się kołysać rytmicznie. I były chwile, gdy wszystkie naraz węże nieruchomiały, niby przedmioty strojne, lecz martwe, i wówczas, dzięki smukłości tych przedmiotów, zdawało mi się, że mam przed sobą jakiś zbytecznie gęsty las fletów, pionowo w ziemi zatkwionych. Zrobiłem właśnie owo postrzeżenie, gdy nagle posłyszałem wyraźnie, że z gardzieli nieruchomych wężów dobywają się zwolna dźwięki fletowe. Wkrótce cały chór wężów zabrzmiał rozgłośnie i przysiągłbym, że to śpiewały żywe, zaklęte i ponętnie śpiewne, choć z pewnością jadowite i drapieżne flety. Nie mogłem, mimo wysiłków, pochwycić dziwnej, zawiłej i przenikliwie czarującej melodji. W takt tej melodji, węże poczęły wstrząsać swym tułowiem i pobrzękiwać pierścieniami i sygnetami. Pobrzękując w ten sposób jęły pląsać po jarzących się w księżycu diamentach. Po raz pierwszy w życiu widziałem taniec wężów, taniec dziki, rozszalały, upojony księżycem, roziskrzony natłokiem potrącanych co chwila diamentów. Jeden z wężów - najolbrzymszy i najbardziej do fletu podobny - stanął nagle na przedzie rozpląsanego tłumu i głosem niezaprzeczenie fletowym zaśpiewał pieśń dziwną i niezrozumiałą:
»Chwała Kotlinie Diamentowej! Chwała dnu Kotliny Diamentowej! Chwała królewnie, której boski żołądek z taką łatwością trawi diamenty! Co dzień ptak Rok zlatuje na dno kotliny, aby zdobyć nowe zasoby najsłodszych i najpożywniejszych diamentów. Nie możemy wzbronić mu tego połowu, gdyż w dzień morzy nas drzemota niepoko-

nana i dopiero w nocy budzimy się ze snu kamiennego. Bracia-Węże, tańczcie! Bracia-Węże, pląsajcie! Bracia-Węże, pamiętajcie o tem, że ojcowie i praojcowie nasi wierzyli tylko w potęgę Fletu, modlili się do Fletu, klękali przed Fletem i składali krwawe ofiary Fletowi, bo z niego powstała Pieśń, a z Pieśni - taniec, a z tańca - błysk w ślepiach, a z błysku w ślepiach - diamenty, a z diamentów - dno Kotliny Diamentowej, którą odwiedza ptak Rok, odwieczny Narzeczony królewny, której boski żołądek z taką łatwością trawi diamenty!«

Tak śpiewał wąż-przodownik, podczas gdy jego dziwacznie centkowani towarzysze pląsali, upojnie wsłuchani w tę pieśń, której treści zrozumieć nie mogłem. Zapamiętałem tylko, że Rok ma zwyczaj codziennego odwiedzania Kotliny Diamentowej. Prócz tego zauważyłem, że rozpląsane węże słuchały tajemniczej pieśni z takiem właśnie rozkołysaniem się i z takiem natężeniem, z jakiem słuchają zazwyczaj dźwięków fletu. Stanowczo - każdy z tych wężów miał w sobie coś fletowego. Poprostu trudno było określić, czy są to zwykłe węże, czy też niezwykłe flety, obdarzone życiem i wyposażone w żądła jadowite. Przez całą noc trwał taniec wężów. Skoro świt zbliżać się zaczął, taniec zwolna jął ustawać. Węże stopniowo i kolejno nieruchomiały, aż wreszcie, przy pierwszym brzasku poranku, ogarnął je nagły i gromadny bezruch. Poczem zwinęły się, skłębiły i ukryły w swych norach pod powierzchnią diamentową. Wówczas wyszedłem z groty. Wiedziałem bowiem ze słów dziwacznej pieśni, że węże owe przez dzień cały śpią snem kamiennem. Nie groziło mi więc żadne niebezpieczeństwo. Postanowiłem skorzystać z nowych odwiedzin Roka, aby z jego pomocą wydostać się z Kotliny. Przypuszczałem, że Rok, jako ptak drapieżny i mięsożerny, złakomi się na krwią dotąd woniejące zwłoki nieoględnej sarenki.

Przykrępowałem siebie mocno do owych zwłok i czekałem cierpliwie na przylot Roka. Czekałem aż do samego południa. W południe posłyszałem w niebiosach znajomy szmer skrzydeł, które rzuciły na dno kotliny cień olbrzymi. Po chwili ujrzałem Roka, jak spuścił się na dno kotliny, przysiadł na szponach, rozpłaszczył skrzydła po ziemi i jął niemi uderzać po diamentowej powierzchni. Gdy sporo już diamentów utkwiło mu w piersiach, zaniechał swej młócki skrzydlatej i zwrócił dziób i ślepie ku sarnie. Zwabił go widocznie smakowity zawiew

przelanej wczoraj krwi. Podbiegł do sarny, pochwycił ją w szpony i uniósł w błękity, nie wiedząc o tem, że wraz z sarną unosi moją, przywiązaną do niej, osobę.

Nie wiem, jak długo trwał nasz lot w powietrzu. Zawieszony bowiem w przestrzeni i nie osłonięty tym razem skorupą jaja, doznałem nagłego zawrotu głowy i straciłem przytomność. Gdym zmysły odzyskał, zbliżaliśmy się już do celu podróży. Tym celem był dąb, wyrosły z pośrodku jednej z obszernych dolin, dąb tak niezwykłych rozmiarów,że wydał mi się zdala zieleniejącą górą. W dębie tym znajdowała się dziupla takiej wielkości, że dość wygodnie możnaby w niej było pomieścić cały Bagdad z przedmieściami. Do wnętrza tej dziupli wleciał właśnie Rok. Czekały nań w gnieździe potwornie olbrzymie pisklęta, którym Rok rzucił na pożarcie przyniesioną w szponach sarnę, sam zaś zniknął w przeciwległym otworze, prowadzącym widocznie do dolnych wnętrzy i skrytek. Po chwili Rok wrócił do gniazda. Zauważyłem natychmiast, że skrzydła jego były starannie ogołocone z diamentów. Wstrząsnął niemi zlekka, raz jeszcze spojrzał na pisklęta, zajęte powolnem i niedołężnem pożeraniem sarny, i wyleciał nagle z gniazda zapewne w celu zdobycia nowego pokarmu dla piskląt.

Wówczas rozwiązałem sznury, któremi sam siebie do sarny przymocowałem, i wyskoczyłem z pod sarniego tułowu na sam niemal środek gniazda. Zląkłem się w pierwszej chwili popłochu, który moje nagłe zjawienie się mogło wywołać wśród piskląt. Obawiałem się, iż poczną wrzaskiem nawoływać Roka. Pisklęta wszakże, mimo olbrzymiego wzrostu, były tak głupie i niespostrzegawcze, że nawet nie zwróciły najmniejszej uwagi na moją osobę. Zbliżyłem się ciekawie do otworu, w którym był zniknął Rok. Postanowiłem zbadać owo tajemnicze wnętrze. Przypuszczałem, iż Rok składa tam swoje djamenty, jak to częstokroć zdarza się w bajkach. Wkroczyłem tedy ciekawie do otworu. Trafiłem początkowo na ciemny, długi, zawiły korytarz, którego podłoga była widocznie spróchniała, gdyż pod mojemi stopami dostrzegłem fosforyczne migoty próchna. Na końcu korytarza namacałem dłonią olbrzymi pień, który, jak mi się zdało, wisiał na jakimś sznurze. Uchyliłem nieco pnia i stwierdziłem, iż zawieszony na sznurze pień przesłaniał nowy otwór, zastępując w ten sposób drzwi. Prócz

tego w nowym otworze zauważyłem światło różowe, które oślepiło nagle moje oczy i wzbudziło większą jeszcze ciekawość.

Odsunąłem w bok pień drzewny i, zanim wrócił na miejsce, wbiegłem przez otwór w ową różową światłość. Drzwi same zamknęły się za mną, to znaczy, iż pień powrócił na dawne miejsce.

Rozejrzałem się dokoła i zdumienie moje nie miało granic! Znajdowałem się oto w cudownej komnacie pałacowej, zalanej różowem światłem lamp, które, wisząc u stropu, kołysały się rytmicznie, jakby w takt niesłyszalnej muzyki. W głębi komnaty stała złocista otomana, a na niej spoczywała piękna królewna, która właśnie, paląc nargile, ziewała tak czarownie, że nie mogłem oderwać oczu od jej wdzięcznych i porywająco słodkich poziewań.

Przed królewną, obok otomany, stał złoty stolik. Na złotym stoliku tkwił złoty półmisek, na złotym półmisku leżało kilka diamentów, w których natychmiast poznałem diamenty z wiadomej mi kotliny. Królewna spojrzała na mnie i ziewnęła rozkosznie. Oczarowany i ośmielony tem niezaprzeczenie rozkosznem ziewnięciem, zbliżyłem się do niej o krok jeden.

Tym razem królewna ziewnęła bardzo gościnnie i zachęcająco.

Odpowiedziałem na ziewnięcie uprzejmem skinieniem głowy i przyklękłem na jedno kolano, aby powitać królewnę, która, jak się domyśliłem, była napewno królewną nie z tej, to z innej bajki.

Widząc, że uklękłem, królewna ziewnęła radośnie i białą, cudną rączką przesłoniła niezwłocznie wpół otwarte usta, jakby na znak, iż radość, którą mi okazała, była mimowolna i nieumyślna. Zrozumiałem ten ruch królewny i, powstawszy z kolan, zbliżyłem się jeszcze o krok jeden.

»Naucz mię - szepnąłem - naucz mię twego imienia, bo jest mi tak samo nieznane, jak ty i twoja dusza i dźwięk twego głosu!«

Królewna w odpowiedzi ziewnęła wymijająco.

»Powiedz, kim jesteś? - szeptałem nadal. - Skąd pochodzisz? Czemu przebywasz w dziupli, która należy do olbrzymiego Roka? Jakie są twe przeznaczenia?«

Królewna ziewnęła tajemniczo i, wziąwszy z talerza jeden z diamentów, wsunęła go do ust, zgryzła dość łakomie i przełknęła.

Zdumiony - cofnąłem się o krok i zawołałem:

»Co czynisz, nieoględna! Połknięty diament może twój królewski żo-
57 ~ łądek przyprawić o niestrawność śmiertelną! Niechże posłyszę dźwięk

twego głosu! Mów do mnie co prędzej, bo skonam u stóp twoich z zachwytu i ciekawości«.
Królewna ziewnęła przychylnie i rzekła:
»Niechce mi się mówić. Jestem znudzona i właściwie nie mam nic do powiedzenia«.
Głos jej atłasowy, jedwabny, aksamitny tak mię oczarował, żem stał przez chwilę w milczeniu, aby się dowoli rozkoszować dźwiękiem tego głosu.
»Zgaduję! - zawołałem nareszcie. - Zgaduję, że zły los związał twe życie osobliwe z życiem drapieżnego Roka. Jesteś przezeń uwięziona i potężny ptak zmusza cię do ślubu, na który nie chcesz się zgodzić nawet pod groźbą śmierci! Domyślam się, że przebrzydły skrzydlak nie umie ani ocenić, ani do głębi zrozumieć twej duszy. Jesteście zbyt niedobrani, abyś mogła z nim dłużej poprzestawać. Czyż nie mam słuszności?«
Królewna ziewnęła zadumanie i rzekła:
»Może i masz słuszność, bo mówisz z zapałem. Dotąd nie myślałam o tem, że ptak ten nie rozumie mej duszy. Teraz, pod wpływem twych słów, zaczynam o tem myśleć i przypuszczam, iż masz słuszność«.
»Otworzyłem ci oczy po raz pierwszy w życiu!« - zawołałem z niepohamowaną radością.
»Zapewne - otworzyłeś, a w każdym razie po raz pierwszy w życiu. Nic mnie jednak tak nie znudziło, jak ten wypadek, żeś mi otworzył oczy!«
I królewna ziewnęła żałośnie.
»Nudzi mnie wszystko - ciągnęła dalej. - Nudzi mnie to, że pochodzę od niewiadomych rodziców, i to, że mię podobno matka moja ukryła zaraz po urodzeniu w dziupli, aby się pozbyć dziecka, które jej było ciężarem. I to mnie nudzi, że wychował mię ptak Rok, karmiąc codziennie najsłodszemi diamentami, które mój żołądek trawi doskonale. Nudzi mnie wreszcie samo trawienie diamentów, chociaż nie znoszę innych potraw, zaś łasa jestem bardzo na diamenty«.
Nic nie mówiąc, zanurzyłem dłonie w kieszeniach i, pełnemi garściami wygarniając zebrane w kotlinie diamenty, składałem je na złotym półmisku.
Czarne oczęta królewny zapłonęły łakomie. Drobną rączką wyłowiła z półmiska co największe diamenty i poczęła je smakowicie pożerać.
 »Nie wiedziałam - rzekła - że jesteś posiadaczem tak wybornych i so-

czystych diamentów. Nie znoszę innego jadła, a Rok dostarcza mi właściwie codzień mej ulubionej potrawy. Dlatego też pokochałam Roka, lecz czuję, że odtąd będę darzyła miłością ciebie, gdyż twoje diamenty są o wiele większe i smaczniejsze, niż te, które mi Rok przynosi. Diamenty Roka mają częstokroć smak kwaskowaty, niedojrzały, a raz nawet przyniósł mi kilka, które miały lekką goryczkę, jak ulęgałki, twoje zaś są słodkie, jak winogrona!«

Królewna ziewnęła z widocznem ożywieniem i dodała:

»Teraz mogę ci odsłonić moje imię. Nazywam się - Najdroższa. Imię moje ma tę właściwość, że zbytnio spoufala z moją osobą mężczyzn, którym je powierzę. To też zachowuję je starannie w tajemnicy i powierzam tylko - wybranym. Zkolei oznajmij swoje imię, nieznany młodzieńcze«.

»Nazywam się Sindbad - zawołałem. - Już czuję na sobie osobliwe działanie twego imienia. Od chwili, gdy stało mi się wiadome, mam nieodparte wrażenie, iż znam cię już od dawien dawna, o, Najdroższa moja! Nie do przebrzydłego Skrzydlaka, jeno do mnie powinnaś należeć. Porzuć raz na zawsze tę dziuplę! Uchodź stąd wraz ze mną! Będę cię karmił najsłodszemi diamentami, o, Najdroższa moja!«.

»Jakiż jest twój zawód? - rzekła Najdroższa, ziewając pytająco. - Czy jesteś jubilerem?«

»Nie! - odpowiedziałem - jestem podróżnikiem«.

»Będziesz miał sposobność nieustannego dostarczania mi diamentów? - spytała znowu Najdroższa, ziewając powątpiewająco.

»Nigdy ci ich nie zabraknie! Znam dobrze Kotlinę Diamentową, dokąd i Rok udaje się na swe połowy z tą jeno różnicą, że podczas, gdy ja czynię wybór sumienny, on zadowala się diamentami, które traf do skrzydeł mu przysklepi«.

»A więc idę za tobą!« - zawołała Najdroższa, ziewając radośnie i zeskakując z otomany.

Wybiegliśmy szybko z oświetlonej różowo komnaty i, przebywszy zpowrotem korytarz, przedostaliśmy się do gniazda, w którem pisklęta wciąż jeszcze pożerały sarnę. Z gniazda wysunęliśmy się nazewnątrz i po olbrzymich sękach i gałęziach dębu zeszliśmy na ziemię.

»Czy na prawo, Sindbadzie, do lasów, czy na lewo - na pustynię?«

59 »Na prawo, Najdroższa, do lasów, bo nienawidzę pustyni!«

W godzinę potem byliśmy już w gęstwinie leśnej.
»Jestem znudzona i zgłodniała« - rzekła Najdroższa, siadając na murawie leśnej.
Wyjąłem z kieszeni garść diamentów i podałem królewnie. Ziewnęła łapczywie i zabrała się do połykania.
»Dokąd mię prowadzisz?« - spytała po chwili.
»Do Bagdadu« - odrzekłem.
»Czy masz tam pałac?«
»Mam«.
»Czy wygodny?«
»O, bardzo wygodny!«
»Czy z otomaną i różowem oświetleniem?«
»Znajdzie się i otomana i oświetlenie różowe. Otoczę ciebie, o, Najdroższa, zbytkiem i przepychem«.
»Boję się tylko - zauważyła królewna, ziewając trwożnie - boję się pościgu mego ptaka. Pała dla mnie miłością bezwzględną i jestem pewna, że, ujrzawszy próżną komnatę, uda się na poszukiwania mojej osoby. Mam jednak przy sobie latarkę-plotkarkę, która działa w ten sposób, że osoby, jej blaskiem objęte, jawią się oczom w miejscu, gdzie ich właśnie niema. Jeżeli Rok będzie nas ścigał, zapalimy latarkę-plotkarkę i zmylimy mu drogę. Ujrzy nas gdzieindziej, niźli w rzeczywistości znajdować się będziemy«.
W chwili, gdy królewna słów tych domówiła, posłyszeliśmy szum skrzydeł olbrzymiego Roka.
Leciał w pogoni za nami, zaciemniając skrzydłami niebiosy.
Najdroższa natychmiast zapaliła latarkę-plotkarkę i z wielką ulgą postrzegliśmy, że złudzony światłem Rok poleciał nagle w stronę przeciwną. Myśmy zaś udali się w dalszą drogę. Zdążałem z moją Najdroższą ku brzegom wyspy, aby wsiąść na okręt i popłynąć do Balsory, a stamtąd wrócić do Bagdadu. Wyspa była jednak tak obszerna, że szliśmy dni kilka bez skutku. Ruch i powietrze wznieciły w Najdroższej tak nienasycony apetyt, że zjadła cały zapas moich diamentów. Głód jej począł doskwierać. Przeraziłem się na myśl, że nie znajdę nigdzie pożywienia dla zgłodniałej królewny. Próbowałem piec na ognisku upolowaną w drodze zwierzynę i podawałem Najdroższej w nadziei, iż ją znęci świeży, smakowity zapach pieczonego mięsa - lecz nadaremnie!

»Czyś oszalał? - wołała Najdroższa. - Nie biorę do ust nic, prócz diamentów. Zapomniałeś już o moich nawyknieniach. Obiecywałeś mi góry diamentów, daj mi przynajmniej choć jeden, niewielki pagórek, choć garść, choć garsteczkę!«

Byłem zrozpaczony. Najdroższa słabła i nikła mi w oczach. Na szczęście dotarliśmy wkrótce do krańców wyspy. Na brzegu stał właśnie okręt, który za chwilę miał odpłynąć. Zgasiliśmy latarkę-plotkarkę i wbiegliśmy na pokład. Spotkał nas kapitan okrętu, który miał na palcu sygnet ze sporym brylantem. Podał właśnie na powitanie mojej Najdroższej dłoń, obciążoną sygnetem. W okamgnieniu Najdroższa przywarła swe usteczka do sygnetu i, odgryzłszy brylant, połknęła go ze smakiem.

»Nieco kwaskawy - zauważyła, mlaskając językiem - ale jestem tak głodna, że nie mogę zwracać uwagi na takie niedobory«.

Poczerwieniałem ze wstydu, zaś kapitan zbladł zapewne ze zdziwienia.

»Kapitanie - rzekłem - przepraszam cię za to, co ci się przytrafiło. Zwrócę ci po powrocie do Bagdadu brylant tej samej wartości. Żona moja ma taki dziwny ustrój żołądka, że nie znosi innych potraw, prócz diamentów«.

Kapitan uśmiechnął się, gdyż widocznie podziałał nań wzrok Najdroższej. Czułem, że budzi się w nim miłość dla królewny.

»Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi! - rzekł nieco zmieszany. - Mam nadzieję, że na moim okręcie nie zbraknie diamentów dla wykarmienia tak czarownej królewny, bo jestem pewien, że żona pańska jest królewną nie z tej, to z innej bajki«.

»Zgadłeś, kapitanie! - odrzekłem radośnie. - Prawdziwa to królewna, która posiada tysiąc nieznanych mi jeszcze zalet, i jedną tylko znaną mi wadę - połykania diamentów«.

»Nie jest to wada, jeno raczej czar, urok, powab lub coś w tym rodzaju« - odpowiedział kapitan.

»Właśnie, właśnie - coś w tym rodzaju!« - potwierdziłem z pośpiechem.

Czyż mam szczegół po szczególe opisywać nasz pobyt na okręcie? Straszny to był pobyt! Powietrze morskie podnieciło apetyt mojej Najdroższej. Apetyt ten urósł do rozmiarów zatrważających. Nikt chyba nigdy nie spotkał się z tak wygórowanym apetytem! Cała załoga była w trwodze. Brylanty ginęły na okręcie z niezwykłą szybkością. Najdroższa poprostu zębami wydzierała je z pierścionków i połykała

w okamgnieniu. Starano się wreszcie ukrywać przed nią klejnoty. Lecz i to nie pomogło. Brylanty ginęły nadal. Najdroższa węszyła wszelkie skrytki z nadzwyczajną łatwością. Cała wszakże załoga tak była oczarowana wdziękami Najdroższej, że nie wzbraniała jej przywłaszczania sobie cudzych brylantów, ograniczając się jeno do niewspomagania królewny w tych jej czynnościach. Jeden tylko kupiec perski - posiadacz całego kufra diamentów - nie okazywał najmniejszych względów Najdroższej. Napomknął nawet, że ją zasztyletuje, o ile nie doliczy się w kufrze choćby jednego brylanta. Liczył je codzień nad ranem i chodził potem po pokładzie, ostrząc co chwila swój sztylet i połyskując nim na słońcu, o ile, ma się rozumieć, była pogoda. Błagałem Najdroższą, aby nie zaglądała do zakazanego kufra, obiecując całe góry diamentów w Bagdadzie. Bałem się jednak, że Najdroższa błagań moich nie usłucha i wkońcu zajrzy do kufra. W dzień ani na krok jej nie odstępowałem, zaś na noc sznurami przytwierdzałem do łoża. Pewnej wszakże nocy zasnąłem tak mocno, żem się zbudził dopiero po północy, chociaż zazwyczaj budziłem się co godzina, aby sprawdzić, czy moja Najdroższa nie przegryzła więzów. Tym razem, korzystając z mego snu, przegryzła je właśnie. Łoże było puste. Byłem przerażony. Pobiegłem natychmiast do miejsca, gdzie stał kufer. Zastałem królewnę, pochyloną nad próżnym kufrem i dogryzającą resztki ostatniego diamentu. Załamałem dłonie i jąłem płakać.
»Nie płacz! - szepnęła Najdroższa. - Mam przecież latarkę-plotkarkę, która nas ukryje przed okiem perskiego kupca«.
Mówiąc to, zapaliła latarkę-plotkarkę i przy jej świetle przespaliśmy resztę nocy. Nad ranem zgiełk i krzyk powstał na okręcie.
Zgiełk czyniła załoga, krzyk zaś pochodził bezpośrednio od perskiego kupca. Ten ostatni ze sztyletem w dłoni szukał nas po wszystkich kątach i zakątach, lecz dzięki latarce-plotkarce - szukał nas zawsze tam, gdzie nas nie było.
»Dość mam ciebie i twego Bagdadu!« - rzekła mi nagle Najdroższa. - Nie wierzę ani w ciebie, ani w twój Bagdad. Z pewnością i tobie i twemu Bagdadowi zbraknie diamentów, aby wyżywić moją osobę. Chcę wrócić do mojej dziupli, do mej otomany, do moich lamp różowych i do mego dzikiego, olbrzymiego skrzydlaka, który mi tak pilnie dostarcza świeżych diamentów!«

»Co mówisz, Najdroższa?« - zawołałem zrozpaczony.
»Mówię, co mówię! Myślę, co myślę! Postanawiam, co postanawiam - odparła Najdroższa, ziewając niecierpliwie. - Znudziło mię wszystko - i ty - i kapitan - i nieustanna kradzież brylantów - i okręt - i ten twój Bagdad, którego jeszcze nie widziałam«.
W tej chwili właśnie ujrzałem nad naszym okrętem olbrzymiego Roka. Ważył się w powietrzu, rzucając skrzydłami cień na całe morze.
»Skrzydlaku mój, cudowny, dziki, nieokrzesany skrzydlaku! - zawołała królewna. - Zbliż się do mnie, podaj mi grzbiet, abym cię mogła dosiąść! Unieś mię zpowrotem do swojej dziupli!«
»Słyszę twój głos, lecz nie widzę ciebie! - odpowiedział Rok. - A raczej widzę cię na tamtym brzegu morza, skąd głos twój nie mógłby chyba do mnie dolecieć!«
»Jestem tu - na pokładzie okrętu! Ścigają mnie za kradzież brylantów. Zbliż się do pokładu i podaj mi grzbiet«.
Zbliżył się Rok do pokładu, podał królewnie swój grzbiet i oboje po chwili znikli w niebiosach. Tymczasem rozpacz kupca perskiego była tak wielka, że stracił mowę i znieruchomiał całkowicie.
Rozumiał jednak mowę innych. To też zbliżyłem się doń i obiecałem uroczyście, że po powrocie do Bagdadu zwrócę stracone diamenty w tej samej ilości. To go uspokoiło i przyszedł do siebie.
Nazajutrz, po wyzdrowieniu kupca perskiego, okręt nasz przybił do brzegów Balsory. Co tchu udałem się konno z Balsory do Bagdadu w towarzystwie kupca perskiego, który swego rumaka objuczył opróżnionym kufrem.

PRZYGODA TRZECIA

KUPIEC perski z jawnemi oznakami niepokoju czy też niedowierzania towarzyszył memu powrotowi do rodzinnego pałacu. Zapewne nie nazbyt ufał mym obietnicom, iż mu zwrócę należną ilość równie cennych diamentów. Nie zwlekając ani chwili, udałem się wraz z nim do skarbca, który się znajdował w podziemiach, i odsłoniwszy przed jego oczyma skrzynie, napełnione diamentami, rzekłem: »Wybierz jedną z nich, a ręczę ci, iż jej zawartość aż nadto wynagrodzi twą stratę«. Kupiec wskazał dłonią największą skrzynię i uśmiechnął się ze znawstwem i zadowoleniem.

»Tę właśnie wybieram - rzekł, popatrując na mnie z podełba. - Mam nadzieję, iż potrafię ją samopas nieść na własnych barach«.

»Wątpię o tem - zauważyłem odniechcenia. - Jest to najcięższa skrzynia i myślę, iż jeden człowiek nie poradzi takiemu brzemieniu«.

»Gdybym był tylko człowiekiem, możebym nie poradził - odrzekł kupiec. - Na szczęście, jestem nietylko człowiekiem, lecz jeszcze czemś ponad to«.

»Czem, jeśli wolno zapytać?«

»Jestem zwyrodniałym czarodziejem, który niegdyś posiadał wszelkie moce czarnej magji. Dzisiaj - niestety - pozostała mi jedna jedyna sztuka dźwigania ciężarów bez żadnego wysiłku«.

»Jakże się to stało, żeś zatracił swe zdolności czarodziejskie?« - spytałem zaciekawiony.

»Dzięki niepomiernemu obżarstwu zachorowałem na katar żołądka, potem na katar kiszek, aż wreszcie na coś, co doktorzy półgłosem nazywali katarem mózgu. Dzięki owemu ostatniemu katarowi zacząłem zwolna, stopniowo, następczo i kolejno tracić rozmaite zdolności umysłowe i czarodziejskie. W ten sposób straciłem wszystkie, prócz jednej jedynej, którą ci już wymieniłem. Wyświadcza mi ta zdolność

w życiu rozmaite przysługi i w danym razie z jej pomocą potrafię zaopatrzyć swe plecy w owo drogocenne brzemię«.

Kupiec podbiegł do wybranej skrzyni i stwierdziłem naocznie, iż bez żadnego wysiłku wziął ją na plecy i, nieznacznie z nadmiernej radości popląsując, zbliżył się do drzwi, zrobił nagły, zapewne pożegnalny piruet i znikł we drzwiach raz na zawsze. Opuściłem skarbiec podziemny i wróciłem do pałacu aby powitać wuja Tarabuka. Niestety - trudno go było powitać. Miał wzrok obłędny i ruchy rąk dziwaczne. Długom się przyglądał tym ruchom, aż wreszcie domyśliłem się, iż wuj Tarabuk naśladuje rękami ruchy praczek w chwili, gdy piorą bieliznę. Rozmowa z wujem Tarabukiem potwierdziła moje domysły, gdyż co chwila i zgoła zbytecznie wtrącał do rozmowy słowo prać w rozmaitych kształtach i postaciach.

»Skądże wracasz mój sprany Sindbadzie ? - zapytał, błędnie spoglądając mi w oczy. - Jakież przygody i przepierki spotkały cię w podróży ? Pewno cię życie gnębiło i prało, bo jesteś nieco przyblady«.

»Nie, drogi wuju, życie mię wcale nie zgnębiło. Raczej gnębi mię to, że w tobie, zamiast dawnej wesołości, widzę jakąś smutnawość, inakszość i nieswojość«...

»Pójdź-że w moje objęcia, abym ci ten pysk ucałował i sprał« - zawołał nagle wuj Tarabuk.

Wyznam, iż obietnica sprania mego pyska nieco pogmatwała i zastanowiła moje kroki, z których pomocą miałem się właśnie przedostać do objęć mego wuja.

»Powiedz mi, wuju, co znaczą te dziwne a jednostajne dodatki czy też wtręty do zdań, które stale posiadają tę lub inną wspólnotę ze słowem prać ? Czemu, na ten przykład, nazwałeś mię spranym, zanim jeszcze wykazałeś niezaprzeczoną chęć sprania mego pyska ?

»Spranym - odrzekł wuj - nazwałem cię zapewne dlatego, że powracasz z podróży morskiej i przypuszczam, że morze w ten lub inny sposób dało ci się we znaki. W zdaniu zaś sprać pysk, użyłem tego słowa w znaczeniu poufnie pieszczotliwem, zamiast ucałować mocno, z całych sił i bez żadnej ceremonji. A zresztą wyznam ci szczerze, iż nie zupełnie zdaję sobie sprawę z onych pralnianych określeń. Nawijają mi się na język same przez się i mam przytem nieodparte wrażenie, iż całe
65 nasze życie na tym padole płaczu jest jednym nieustannym przepier-

kiem zarówno tych przedmiotów, które się do prania nadają, jak i tych którym się powinno prania zaoszczędzić. Nie wytrzeszczaj na moją gębę oczu, nakształt balji, bo gęba moja - to nie praczka, a język mój - to nie brudna bielizna«.

»Wszelki duch Pana Boga chwali! zawołałem, żegnając się dość nabożnie i nie bez rozpaczy. - Albom sam zwarjował, albo mam wuja warjata!«

»Wiem, że wolałbyś raczej mieć wuja warjata, niźli zwarjować. Wszakże dwie powyżej nadmienione możliwości zgoła nie wykluczają tej trzeciej, iż obydwaj jesteśmy warjatami. Ty - jako opętany żądzą podróży siostrzeniec, ja zaś - jako nadużywający praczniczych wyrazów wuj. W każdym razie zapamiętaj to sobie odniechcenia, iż siostrzeniec nie koniecznie powinien przezywać wuja w oczy - warjatem. Jesteś młokosem w porównaniu ze mną. To też na drugi raz nie skąp należnego mi szacunku, niedopierku jakiś!«

»Przepraszam wuja jak najmocniej, lecz owo określanie wszystkich przedmiotów, nie wyłączając mojej osoby, z punktu widzenia pracznictwa tak mię oszołomiło, żem na chwilę stracił poprostu rozum, a w każdym razie szacunek dla wuja. Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby wuj zechciał mi wytłumaczyć tajemniczą przyczynę owych dziwnych a nieustannych napomykań o pracznictwie...«

Wuj Tarabuk spojrzał na mnie wzrokiem zamglonym i obłędnym i począł mi w sposób dość zawiły tłumaczyć wspomnianą przyczynę.

Opowiadanie wuja, mówiąc szczerze, pomimo dłużyzny i ścisłości, nie miało ani ładu, ani składu. Był to szereg słów bez treści i bez związku, zaopatrzonych nadomiar starannie i pilnie w porównaniu i przenośnie, zaczerpnięte bezpośrednio z pralni. Na razie podejrzewałem wuja Tarabuka, iż zakochał się w jakiejś pięknej praczce i pragnie ją poślubić dość wrychle. W miarę jednak opowiadania przekonałem się, iż wuj Tarabuk zdradza jakiś chorobliwy wstręt i dozgonną nienawiść do wszystkich wogóle praczek. Powoli z gmatwaniny jego niepowiązanych ze sobą wyrazów i zdań wysnułem wreszcie wniosek, iż jakaś przygodna praczka była rzeczywiście sprawczynią jego nieszczęścia. Mianowicie - wuj Tarabuk posiadał dwa hebanowe kufry jednakich kształtów i rozmiarów, tak do siebie wzajem podobne, że nie można było jednego od drugiego rozróżnić. Jeden stał po lewej, drugi zaś po prawej stronie szafy mahoniowej w sypialni wuja. W prawym wuj

Tarabuk zwykł składać brudną bieliznę, a w lewym chował swe drogocenne wiersze, które w ostatnich czasach pisywał na pergaminie dla tem lepszego utrwalenia swych utworów. Otóż pewnego razu gdy prawy kufer po brzegi wypełnił się bielizną, wuj Tarabuk kazał służącemu sprowadzić praczkę. Praczka przyszła, a - zapomniałem powiedzieć, że wuj Tarabuk był mańkutem.
»Dobra kobieto, weźcie ten oto kufer z brudną bielizną do prania - rzekł wuj Tarabuk, wskazując lewą ręką prawy kufer, - a pamiętajcie dobrze mi wszystko wyprać, wyprasować i wykrochmalić«.
Wyrzekłszy te słowa, wuj wyszedł z domu, aby się udać na dłuższą przechadzkę po okolicach Bagdadu.
Wówczas praczka zwróciła się do obecnego w pokoju starego sługi z zapytaniem, który kufer ma zabrać?
»Juści, że prawy - odrzekł sługa - bom przecie widział, że pan prawy kufer wskazał«.
»Juści, że lewy - odparła praczka - bom przecie widziała, że pan lewą rękę podniósł dogóry«.
»Co prawda - to prawda! - potwierdził sługa. - I ja też sobie teraz przypominam, że pan lewą rękę, jak nic, podniósł dogóry«.
Tedy praczka zabrała lewy kufer.
W trzy dni potem, o poranku, stawiła się z owym kufrem w pałacu. Poranek był w istocie bardzo słoneczny i wuj Tarabuk był w znakomitym humorze.
»No cóż kobiecino? - zwrócił się do niej gdy weszła do sypialni - Czy wszystko wyprane, wyprasowane i wykrochmalone?«
»Wedle rozkazu - odrzekła usłużnie kobiecina - wszystko wyprane, wyprasowane i wykrochmalone. Ani jednej plamki nie ostawiłam, chociaż - po prawdzie - było tam więcej plam, niż czegokolwiek. Plamka koło plamki tak akuratnie wściubiona, jakby kto miał umyślną przyjemność w onem starannem plamieniu«.
Wuj Tarabuk i uraził się i zawstydził.
»Jakże mi możecie, poczciwa kobiecino, taki kłam w oczy zadawać? Czyż jestem jakimś brudasem z zawodu, ażebym w tak pilny sposób plamił bieliznę? Lubię czystość i nie znoszę brudu«.
Mówiąc to, otworzył kufer i ukosem spojrzał na jego wypraną, wyprasowaną i wykrochmaloną zawartość. Spojrzał i zbladł. Zbladł i spoj-

rzał znowu, tym razem nie ukosem, jeno wręcz - wytrzeszczonemi oczyma. Pergaminowe rękopisy wuja wyprane docna ze wszystkich liter, nadzwyczaj starannie wyprasowane - i elegancko, odświętnie, niemal po balowemu sztywne od krochmalu leżały w kufrze - jeden na drugim - spiętrzone w sposób, w jaki zwykle piętrzy się wyprana, wyprasowana i wykrochmalona bielizna. Bił od nich ciepły jeszcze, przyjemny a osobliwy zapach czystości, uzyskanej mydlinami, krochmalem i gorącem żelazkiem. Zbliska robiły wrażenie sztywnych gorsów od koszul, z dalszej nieco, aczkolwiek umiarkowanej odległości, zdawały się stosami chustek do nosa, a z jeszcze dalszego stanowiska miały całkowity pozór najrozmaitszej bielizny.

»Ratunku! - jęknął wuj Tarabuk. - Jestem zgubiony na całe lata! O! cóżeś uczyniła ze mną, niedobra kobiecino! Czyż nie wskazałem ci prawego kufra?«

»Lewą rękę podniósł pan do góry, więc pomyślałam, że o lewym kufrze mowa«.

»Trzebaż mi było przyjść na świat mańkutem! - rozpaczał wuj Tarabuk. - Czyż nie umiesz, niedobra kobiecino, odróżnić bielizny od nie bielizny? No, powiedz sama, czy tak wygląda bielizna?«

»To prawda, że nigdy bielizna aż tak nie wygląda - zauważyła rezolutnie kobiecina. - To też długo miarkowałam i nijak zmiarkować nie mogłam, którą część swej osoby przyodziewa jaśnie pan w te zbytki? Bo - ani się tem osłonić, ani się w to wystroić. Ale potem z mnóstwa onych plamek wymiarkowałam, że to pewnikiem jakieś śliniaczki, abo i co innego«.

»Precz z moich oczu! - zawołał gniewnie wuj Tarabuk. - Nie chcę cię widzieć nigdy, rozumiesz? Nigdy!«

Kobiecina wielce zasmucona opuściła pokój, a wuj Tarabuk przez dni kilka załamywał dłonie i płakał gorzkiemi łzami. Pozbawiono go nagle wszystkich rymowanych utworów, które były płodem długiej i wytrwałej pracy. Rozpacz wuja była tak wielka, iż umysł jego, jak się sam wyraził, zsunął mu się nieco na bakier. Tu właśnie tkwiła przyczyna, dla której wuj Tarabuk mimowoli i bezwiednie, dzięki osobliwej chorobie - spowodowanej nieludzką rozpaczą - wyposażał każde zdanie w słowa, zaczerpnięte z pracznictwa.

Chciałem go rozerwać opowiadaniem moich przygód, ale nadaremnie! Wuj Tarabuk nie mógł skupić uwagi na żadnym przedmiocie. Uwaga

ta była zbłąkana w dziwacznym a parnym świecie mydlin, pralni i praczek. Ba! wuj Tarabuk doszedł do takich zawiłych przemian językowych, że zamiast słowa pracować używał stale wyrazu praczkować, który to wyraz ze względu na zbytnią wieloznaczność brzmi częstokroć tak, jakby zgoła nie miał żadnego znaczenia. Muszę jeszcze ubocznie dorzucić, iż zamiast mówić: osiadł na mieliźnie, wuj mówił: osiadł na bieliźnie... Po krótkiem tedy obcowaniu z wujem wywnioskowałem ciszkiem, iż staremu pomieszał się rozum i język, tem bardziej, że pewnego razu, przyglądając mi się z widocznemi oznakami źle tajonej obawy, szepnął płochliwie:

»Tak dziwnie i tak ukosem popatrujesz na mnie, jakbyś chciał oddać mnie do prania. Wyznaj mi szczerze, czy pielęgnujesz w duszy tego rodzaju myśl nieludzką?«

»Uspokój się, drogi wuju! - zawołałem, zlekka rumieniąc się na twarzy. - Nigdy podobna myśl nie postała mi w głowie! Zanadto cię kocham, abym na chwilę nawet pragnął pozbyć się ciebie w sposób tak bezrozumny!«

I rzeczywiście postanowiłem w duszy nie opuszczać wuja dopóty, dopóki nie pozbędzie się swych chorobliwych nałogów.

Byłbym z pewnością wykonał mój zamiar szlachetny, gdyby nie to, że Djabeł Morski nie śpi, jak wogóle każdy djabeł. Czuwał on nademną i wyczekiwał jeno chwili odpowiedniej, aby mię znów pokusić do nowych przygód i niebezpieczeństw. Tym razem zjawił mi się we śnie i powiedział, że w dalekim a nieznanym kraju czeka na mnie niecierpliwie - niezwykle piękna i płomienna królewna, która mię zna ze słychu i z opowiadań, gdyż sława moja, jako podróżnika, obiegła niemal cały świat i przenikła aż do najbardziej zaklętych krańców ziemi.

Uśmiechnąłem się we śnie z niedowierzaniem i zapytałem niby odniechcenia:

»Czy nie wiesz przynajmniej, jak na imię owej królewnie?«

»Jakżebym nie wiedział o tem - ja, który z fachu i urzędu winienem wszystko wiedzieć! - zawołał Djabeł Morski. - Królewna owa nazywa się Sermina. Zresztą możesz ją poznać nie tylko po imieniu, lecz i po niezwykle płomiennym wyrazie oczu. Nie znajdziesz na całym świecie drugiej tak płomiennej królewny! Serce jej uderza tysiąc dwieście pięćdziesiąt trzy razy na minutę. Tysiąc pierwszych uderzeń królewna

przeznaczyła dla nieznanego młodzieńca, dwieście następnych - dla ulubionego kota, który nigdy swej pani nie opuszcza, pięćdziesiąt przedostatnich - dla każdego, ktokolwiek zachwyci się jej urodą, a trzy ostatnie uderzenia - dla swego męża, który jest słynnym czarnoksiężnikiem i już od lat wielu spełnia wszelkie zachcianki i kaprysy płomiennej królewny. Radzę ci, kochany Sindbadzie, ani chwili nie zwlekać i natychmiast po ocknieniu udać się w podróż do krajów nieznanych, gdzie napewno spotkasz piękną Serminę, gdyż sam los skieruje bieg twego okrętu ku owym wybrzeżom, kędy Sermina wyczekuje niecierpliwie twego przyjazdu«.

»Nie opuszczę domu rodzinnego i nie udam się w podróż, do której mię zachęcasz, z dwóch powodów: - po pierwsze - nie ufam Djabłom Morskim, a powtóre - nie wierzę w sny, a wiem doskonale, że i ty i twoje słowa są tylko snem, który mi się śni w tej oto chwili«.

»Postąpisz tak, jak będziesz uważał za stosowne - odrzekł nieco urażonym głosem Djabeł Morski. - Co do mnie, uważam, iż mi nic innego nie pozostaje, jak usunąć się dyskretnie z twego snu, w który nie wierzysz, - jedyny to bowiem odwet, na jaki może się zdobyć każdy sen: przestać się śnić temu, kto weń nie wierzy«.

Mówiąc to, Djabeł Morski pierzchnął nagle z mego snu. Zbudziłem się niezwłocznie, pełen dziwnych, nieodpartych marzeń o płomiennej Serminie, której serce uderza tysiąc dwieście pięćdziesiąt trzy razy na minutę. Długom walczył z pokusą odjazdu w kraje nieznane, kędy czeka na mnie tak czarowna królewna. Długom i nadaremnie powtarzał w duchu, iż sen jest złudą, a cała opowieść Djabła Morskiego zmyśloną bajką. Nie mogłem się oprzeć słodkiej pokusie wiary w to, w co wierzyć chciało mi się naoślep. Pewnego dnia uwierzyłem wreszcie w istnienie płomiennej królewny i w jej niecierpliwe wyczekiwanie mego przyjazdu. Jednocześnie zapadło we mnie mocne postanowienie natychmiastowego udania się w podróż do krajów nieznanych. Wuj Tarabuk tym razem po osobliwym wyrazie mych oczu zgadnął zatajoną we mnie chęć podróży.

»Widzę, że znów chcesz na czas nieokreślony opuścić swego chorego wuja. Z oczu ci to patrzy! Nieprawdaż, Sindbadzie?«

»Nie zapieram się mych zamiarów« - odrzekłem, spuszczając nieco oczy.

 »Nie zapierasz się? - szepnął wuj głosem przerażonym. - Dobrze ro-

bisz, że się nie zapierasz. W każdym razie stokroć jest lepiej niedopierać się, niż zapierać. Kiedyż odjeżdżasz?«

»Natychmiast«.

»A więc - do widzenia!«

»Do widzenia!«

Tegoż dnia byłem w Balsorze, a nazajutrz olbrzymi okręt unosił mię po morzu do krajów nieznanych.

Dzień był tak upalny, że kapitan postanowił po kilku godzinach podróży przybić chwilowo do brzegu, ażeby dać możność załodze gwoli ochłodzie zażycia kąpieli morskiej. Całae tedy załoga wysiadła na brzeg i po chwili setka obnażonych ciał ludzkich z radością pogrążyła się w wodzie.

Obnażyłem się na ostatku i ja i, złożywszy ubranie na brzegu, wskoczyłem do wody i dałem nura, gdyż pływać umiałem doskonale.

Podczas, gdym się kąpał, Djabeł Morski wypłynął nagle na brzeg i poskoczył na brzuchu wprost do mego ubrania. Domyśliłem się, iż chce znów włożyć mi do kieszeni ów list przeklęty, który mi tylu klęsk i nieszczęść przyczynił. Odpłynąłem jednak zbyt daleko od brzegu i nie mogłem już mu wczas przeszkodzić. W pierwszej chwili miałem zamiar okrzykiem zwołać na pomoc całą załogę, lecz w porę powściągnąłem się od owego okrzyku. Znajomość moja z Djabłem Morskim mogła, jak zazwyczaj, zbudzić rozmaite podejrzenia i całą załogę przeciwko mnie usposobić. Albo odwróconoby się ode mnie, albo - co gorzej - poniechanoby mnie na brzegu. Musiałem więc, milcząc patrzeć na to, jak Djabeł Morski pilnie i starannie wsuwa do mojej kieszeni znany mi dobrze list, a potem bezkarnie wraca do morza, aby się w niem pogrążyć.

Tymczasem kapitan dał znak, iż kąpiel skończona. Wdzieliśmy na się swe ubrania i co prędzej wróciliśmy na pokład.

Nie miałem czasu, ani sposobności pozbycia się djabelskiego listu, gdyż marynarze towarzyszyli mi nieustannie, a jeden z nich ujął mię nawet przyjaźnie pod ramię i wesoło wrócił ze mną na pokład.

Wiedziałem, że obecność w kieszeni przeklętego listu wróży mi klęski i nieszczęścia. Cóż jednak miałem począć? Okręt płynął z szybkością błyskawiczną. Nadaremnie starałem się osamotnić. Marynarze poczuli dla mnie szczerą przyjaźń i nie opuszczali mnie nawet na chwilę. Ucie-

kłem się tedy do wybiegu - zaproponowałem marynarzom strzelanie z łuku - dla rozrywki. Zaczęliśmy strzelać kolejno, aby zbadać kto najlepiej i najdalej strzela. Gdy przyszła kolej na mnie, rzekłem z udanym i dość zresztą niedołężnym uśmiechem:
»Strzelam zazwyczaj tak daleko, że dla poznaki mej strzały wolę przypiąć do brzechwy kawał papieru«.
Drżącą ręką wyjąłem z kieszeni list djabelski, przytwierdziłem go mocno do brzechwy i, z całych sił napiąwszy cięciwę, wypuściłem lotną strzałę w powietrze. Wystrzeliłem jednak tak nieoględnie, że strzała zamiast przed się, wzbiła się wzwyż nad okrętem i, dosięgnąwszy pewnej wyżyny, jęła z szybkością spadać zpowrotem. Byłem zrozpaczony! Oczy wszystkich podniosły się wzwyż - za strzałą. Cała załoga z ciekawością śledziła ruchy strzały.
»Spadnie zpowrotem na pokład, czy nie spadnie?« - mówił jeden z marynarzy, wytrzeszczając ciekawie oczy.
»Chyba nie spadnie« - zauważył drugi.
»Pewnikiem spadnie« - twierdził, ku mojej rozpaczy, trzeci.
»Już spada!« - zawołał czwarty.
»Spada wprost na pokład!« - pochwycił piąty.
»Spada, spada!« - krzyknęła radośnie cała załoga.
I strzała spadła. Spadła wprost na pokład wraz z listem djabelskim, który tak mocno i tak starannie przytwierdziłem do brzechwy. Tysiące rąk wyciągnęło się ku strzale. Struchlałem. Czułem, że za chwilę zemdleję. Zrobiłem wysiłek, aby nie utracić zmysłów. Strzała przechodziła z rąk do rąk. Przyglądano się jej uważnie i ciekawie. Wreszcie pochwycił ją jeden ze starych i wytrawnych marynarzy. Rzucił jeno okiem na list djabelski i, widocznie zrodziło się w nim jakoweś podejrzenie, gdyż przymrużył oczy, skrzywił się, odczepił list od brzechwy i zaczął go najpierw pilnie oglądać, a potem zwolna odczytywać. Byłem zgubiony.
»Toś jeno dla poznaki strzałę swoją w tę szatę djabelską wystroił?« - spytał mię wreszcie z szyderczym uśmiechem, którego nigdy nie zapomnę.
Milczałem.
»Takiego starego jak ja wróbla nie weźmiesz na plewy! - mruczał znowu marynarz. - Znam ja charakter pisma djabelskiego z opowiadań mego dziada. Słuchajcie, panowie załoga, sam to Djabeł Morski własnorręcz-

nie ten list, do brzechwy przytwierdzony, pisał i własnoręcznie go adresował na imię tego podróżnika, który jest takim znakomitym strzelcem, że sama strzała powraca do niego, jak pies wierny do swego pana!«

Zgiełk i ruch uczynił się na pokładzie. Jedni szemrali - inni mruczeli złowrogo pod wąsem - inni jeszcze - wygrażali mi pięściami.

Kapitan spojrzał na mnie surowo i rzekł głosem poważnym, a zgoła nieprzychylnym:

»Nie wiemy, jakie węzły pokrewieństwa czy też powinowactwa łączą ciebie z Djabłem Morskim, podejrzany cudzoziemcze. To jedno wiemy, iż obecność na okręcie listu Djabła Morskiego wróży nam klęskę. Musimy więc w ten lub w inny sposób pozbyć się i ciebie i owego listu. List rozkazujemy ci natychmiast wrzucić do morza. Ciebie zaś wysadzimy na pierwszym lądzie, zanim to jednak nastąpi odmawiamy ci wszelkich pokarmów, ponieważ według naszych obyczajów - nie wolno nam bezkarnie dzielić się swem pożywieniem z djabłami lub z ich najdalszymi nawet krewniakami«.

Milcząc, wrzuciłem list Djabła Morskiego do odmętu fal. List skurczył się, rozwiał się w pianę i zniknął. Wiedziałem zgóry, że wszelkie moje tłumaczenia trafią na ogólną niewiarę. Wolałem więc milczeć. Usunąłem się na przeciwległy kraniec pokładu i - osamotniony - wyczekiwałem mężnie dalszych wypadków.

Tymczasem niebo zachmurzyło się nagle i szalony wicher jął hulać po morzu. Oczy moje nigdy nie widziały takiej burzy. Zdaje mi się, iż była to burza zaklęta - zrodzona pod piekielnym wpływem djabelskiego listu. Wicher złamał nam żagle i ster. Okręt bezsilny i bezradny płynął tam, kędy go gnała nieprzewidziana wola opętanej wichury.

Kapitan - zachowując zimną krew - stał na przedzie okrętu i poglądał przez lunetę wdal, która się zasnuwała coraz czarniejszemi chmurami. Nagle luneta zadrżała mu w ręku, a twarz jego powlekła się śmiertelną bladością.

»Baczność! - zawołał głosem, pełnym rozpaczy. - Widzę zdala czarną plamę, która jest napewno - Górą Magnetyczną!«

Ta sama śmiertelna bladość powlekła natychmiast oblicza wszystkich marynarzy. Nie rozumiałem narazie, ale przekonałem się wkrótce, czem grozi okrętowi najmniejsze zbliżenie się do Góry Magnetycznej.

73 ~ Góra owa ma szatańską własność przyciągania wszelkich przedmio-

tów metalowych. Nie tylko kotwica, kufry żelazne, noże, łyżki i inne sprzęty, ale nawet gwoździe, któremi zbite są deski okrętowe, wyskakują same ze swych miejsc i odlatują ku owej Górze, aby zwiększyć jeszcze jej objętość. Nadaremnie marynarze starali się skierować okręt w stronę przeciwną. Wicher gnał go wprost ku Górze Magnetycznej. Po chwili dziwaczne i straszliwe działanie na odległość owej Góry dało się odczuć na okręcie. Luneta wyrwała się z rąk kapitana i wciągu jednej chwili, znikła mu z przed oczu. Natychmiast i ja i wszyscy marynarze i sam kapitan - uczuliśmy szybkie i nerwowe odrywanie się guzików od naszej odzieży. Całe powietrze napełniło się tysiącem metalowych guzików, które, jak chmara drobnych owadów, pofrunęły ku Górze Magnetycznej. Pozostaliśmy bez guzików. Ubranie dolne opadło z nas nagle, obnażając nogi, dygocące od strachu. Wszakże nogi kapitana tkwiły mocno i mężnie na przodzie okrętu. Lecz oto - niestety - gwoździe z desek okrętowych zaczęły wyskakiwać ze rdzawym hałasem i odlatywały niezwłocznie ku straszliwej Górze, której wierzchołek już wyraźnie ukazał się naszym oczom. Okręt, pozbawiony gwoździ, zaczął się zwolna rozpadać. Woda przeniknęła do jego wnętrza. Zbliżaliśmy się coraz bardziej do Góry Magnetycznej. Rondle, noże, widelce i łyżki z kuchni okrętowej, dzwoniąc i pobrzękując, uniosły się w powietrze i z kotwicą na czele pofrunęły ku Górze Magnetycznej. Dziwno mi było i nie swojo, gdym patrzał na owe zgoła niezgodne z codziennym ładem - odloty rozmaitego żelastwa, które ptasim obyczajem unosiło się w powietrze. Jeszcze dziwniej i jeszcze bardziej nie swojo czułem się wówczas, gdy w chwili uciszenia wichrów i nagłej pogody, stwierdziłem, iż ostatnia obręcz żelazna, która jako tako trzymała w zespole nasz okręt, zerwała się zeń ku górze, pozwalając mu rozsypać się na drobne części. Zanim to się jednak stało i zanim okręt z całą załogą poszedł na dno, zdążyłem jeszcze postrzedz, iż kocioł, w którym zazwyczaj zupy warzono, wtoczył się sam na schody i poskakując biegł po schodach na pokład. Miałem tyle przytomności umysłu, żem do tego kotła wskoczył. Kocioł natychmiast wraz ze mną wzbił się w powietrze i pofrunął ku Górze Magnetycznej. Po drodze spotkałem w powietrzu tu i owdzie całe roje spóźnionych rondli, widelców i dukatów. Wszystko to leciało naoślep i na wyścigi ku Górze Magnetycznej. Siedząc wygodnie we wnętrzu kotła, wychyliłem nieco gło-

wę i spojrzałem w stronę naszego okrętu. Atoli nie było po nim ani znaku. Zatonął wraz z całą załogą. Jeno od czasu do czasu wyfruwał jeszcze z wody zgoła spóźniony scyzoryk, guzik lub dukat z kieszeni zapewne samego kapitana, który w tej chwili leżał martwy na dnie morskiem. Wreszcie - naostatku - wyfrunęły z morza ogromne okulary, które widziałem na nosie kucharza okrętowego. Poczem wszystko nacichło. O ile mogę ufać memu poczuciu czasu, wędrowałem w powietrzu we wspomnianym kotle najwyżej kwadrans. Po kwadransie kocioł stanął na samym wierzchole Góry Magnetycznej. Wyskoczyłem wówczas z kotła i rozejrzałem się dokoła.

Pode mną - piętrzyła się czarna, jak heban, Góra Magnetyczna, najeżona gwoździami, nożami, widelcami, siekierami, mieczami, dukatami, talarami, guzikami, kotwicami i tysiącem innych przedmiotów oraz klejnotów złotych i srebrnych. Różnorodność i zbyteczność owych najeżonych po zboczach Góry przedmiotów narzucały nieodparcie myśl o jakiemś bezładnem wnętrzu śpichrza, którego właścicielem jest lub był warjat. Wyobrażam sobie, ilu nieszczęść przyczyną była ta Góra, najniepotrzebniej w świecie gromadząca na swej powierzchni tyle żelastwa! Zdawało mi się, iż tkwię na czubie jakiegoś śmietnika i nie mogłem zrozumieć, czemu taki śmietnik tai w sobie tak nieodpartą potęgę!

Powoli uniosłem oczy wzwyż i ze zdziwieniem ujrzałem przed sobą - na samym wierzchole Góry pomnik, olbrzymi, spiżowy pomnik, jakiegoś rycerza. Siedział na spiżowym rumaku, dumnie wznosząc czoło i dumnie krzyżując obydwie dłonie na piersi. Zbliżyłem się, aby odczytać napis na pomniku.

Napis głosił, co następuje:

»Nazywam się Ktokolwiek, żyłem jakkolwiek, po śmierci przebywam - gdziekolwiek. Przygodny zwiedzaczu Góry Magnetycznej, jeżeli chcesz mnie na nowo do życia powołać, wymów wobec mnie słowo: Genjusz, a natychmiast obudzę się na dźwięk mego imienia, lecz strzeż się w rozmowie ze mną użyć słowa: Osioł, gdyż natychmiast obrócę się w spiż, którym jestem obecnie«.

Odczytawszy ów napis, namyśliłem się i po długim namyśle wyrzekłem dość głośno:

»Genjusz«.

75 ~ Rycerz niezwłocznie otworzył oczy, przetarł je i szepnął:

»Czy mnie kto wołał?«

»Nie tylem wołał, ilem wykonał poradę, zawartą w twym napisie« - odrzekłem, przyglądając mu się uważnie.

»Owom tedy jest - mówił dalej rycerz. - Czuję, jak życie na nowo wypełnia moją istotę i krew poczyna krążyć w mych żyłach«.

»Przyjemne to zapewne uczucia i nie każdemu dostępne - przerwałem, przyglądając mu się coraz uważniej. - Powiedz mi jednak, kim właściwie jesteś, i za co wystawiono ci taki spiżowy pomnik na wierzchole tej Góry?«

»Kim jestem? - powtórzył rycerz. - I trudno i łatwo odpowiedzieć na to pytanie. Jestem człowiekiem, który byłby zupełnem zerem, gdyby go nie obdarzono pomnikiem. Dla tej właśnie, a nie innej przyczyny zbudowano mi pomnik. Uwieczniony w spiżu stoję tu - na wierzchole Góry, ponieważ stać mię na to, abym stał. Jestem jednym z tych, którzy są do wszystkich podobni, i wyróżniam się jeno pomnikiem. Za życia słynąłem z pomnikowej głupoty, słuszna tedy, iż po śmierci mam - pomnik. Kochałem życie w jego przejawach codziennych i nienawidziłem go w jego wzlotach ku wyżynom. Słuszna tedy, iż po śmierci postawiono mnie na wyżynie, aby mi wynagrodzić nieustanne za życia przebywanie na nizinach. Zbudowałem świątynię bożkowi codzienności i ściągałem do niej wiernych, obiecując im dnie powszednie i noce bez widzeń sennych. Po śmierci ściągam do siebie też wszystko, cokolwiek dzięki Górze Magnetycznej ściągać mogę, a więc - widelce, noże, dukaty, gwoździe, guziki - nie gardzę niczem, bo mię raduje sama możność ściągania czegokolwiek. W tem tkwi prawdziwe życie, mieści ono w sobie widelec obok dukata, kocioł obok guzika, słowem ową wszystkość, która jest rzeczywistością. Zbliska owa rzeczywistość wygląda jak śmietnik, lecz zdaleka zato nabiera zgrozy i wygląda, jak zatopiony okręt pełen tysiąca cierpień ludzkich. Czyż zatem nie wart jestem pomnika? Pozwól mi jednak zejść z mego piedestału, bom już oddawna stopami nie dotykał ziemi. Stęskniłem się do niej. Chętnie porozmawiam z tobą - o ile zechcesz od czasu do czasu - czy to na stronie, czy też odniechcenia - wymawiać słowo: Genjusz«.

»Osioł!« - zawołałem dość gwałtownie.

Twarz rycerza zbladła. Spojrzał na mnie wylękłym wzrokiem i zamienił się znowu w spiż. Siedział po dawnemu na spiżowym koniu,

dumnie wznosząc czoło i dumnie krzyżując na piersi obydwie dłonie.
Pośpiesznie zszedłem z wierzchoła Góry ku jej podnóżu.
Góra znajdowała się na środku niewielkiej wyspy, pokrytej jeno pokrzywą. Zbliżyłem się do brzegu, aby zobaczyć, czy na morzu nie widać jakiegoś czółna lub barki, lecz wokół była pustka.
Nagle ujrzałem nad sobą - w powietrzu - przelatującego potwora. Zgadłem, że był to czarownik, tem bardziej, że w objęciach unosił jakąś cudowną królewnę, która do piersi tuliła białego kota. Gdy właśnie nad mą głową przelatywali, królewna nieznacznie i niepostrzeżenie rzuciła mi wprost do rąk liścik w różowej kopercie.
Chwyciłem ów liścik i, przekonawszy się, iż czarownik wraz z królewną znikł już na widnokręgu, otworzyłem kopertę i przeczytałem liścik, z którego się wywiewała woń róż, lilij, konwalij i lewkonij.
Jakież było moje zdziwienie, gdym przeczytał następujące wyrazy:

Kochany Sindbadzie!
Dzięki sztuce czarnoksięskiej, której jestem świadoma, wiedziałam wczoraj jeszcze, iż dziś o tej właśnie godzinie będziesz wystawał na brzegu wyspy, kędy się znajduje Góra Magnetyczna. Oddawna już pragnęłam spotkać się z tobą, gdyż tobie przeznaczyłam tysiąc pierwszych uderzeń mego serca. Dziś w nocy, gdy księżyc zaświeci na niebiosach, stań na brzegu wyspy i zawołaj przed siebie - w nieskończoność - donikąd i do nikogo: Bywajcie, bywajcie! A natychmiast stanie się to, co stać się powinno. Zapamiętaj te wyrazy: Bywajcie, bywajcie! oraz nie opóźniaj się z wołaniem, bo czas nagli.
Twoja płomienna Sermina.

Byłem oczarowany i upojony treścią listu. Djabeł Morski nie okłamał mnie we śnie. Płomienna Sermina nie tylko istniała naprawdę, lecz wyczekiwała mego przyjazdu i przeznaczyła mi już zawczasu tysiąc pierwszych uderzeń swego serca.
Skoro tylko księżyc rozwidnił nocne niebiosy, stanąłem na brzegu wyspy, i starając się skierować głos przed siebie - w nieskończoność, zawołałem donikąd i do nikogo: Bywajcie, bywajcie!
Natychmiast pod wpływem tych magicznych słów całe powietrze napełniło się srebrnemi, skrzydlatemi istotami, które poczęły krążyć wokół mnie w blasku księżycowym. Krążąc, zbliżały się do mnie coraz

bardziej tak, że wkrótce mogłem dokładnie rozróżnić ich twarze. Zdziwiony byłem rozmaitością tych skrzydlatych postaci, charakterystycznym wyrazem ich twarzy oraz ich ubiorami. Każda z nich trzymała w ręku lub pod pachą jakiś tobołek lub zawiniątko. Przyjrzawszy się uważniej, domyśliłem się, iż jest to skrzydlaty rój srebrnych krawczyków, srebrnych szewczyków i wielu innych srebrnych wyrobników przeróżnych przedmiotów zbytku i przepychu. Każdy z nich, krążąc wokół mnie w blasku księżycowym, rozwijał swój srebrny tobołek lub zawiniątko i, ukazując przedziwne wyroby swego kunsztu, zalecał mi swój towar.

Zrozumiałem, iż zgodnie z pragnieniem płomiennej Serminy, powinienem przywdziać strój odpowiedni, aby w tym stroju ukazać się jej oczom. Wybrałem tedy na chybił-trafił niezbędne przedmioty i natychmiast skrzydlaty krawczyk ubrał mię w strój królewski, skrzydlaty szewczyk wzuł mi na nogi złociste buty, skrzydlaty pielęgniacz wąsów podkręcił mi wąsy tak, iż sterczały równo i chwacko, jak u chrabąszcza, skrzydlaty pielęgniacz brody rozczesał mi brodę, a potem jakiś skrzydlaty właściciel wonności skropił mię i namaścił wonnościami. Tkwiąc na brzegu wyspy, świetniałem, złociłem się i pachniałem w nieskończoność, która jarzyła się w mych oczach rozwiewnem światłem księżyca.

»Czyś zadowolony ze swego stroju, ze swoich butów i z wonności?« - zawołał rój skrzydlatych istot.

»Jestem najzupełniej zadowolony - odrzekłem, głaskając dłonią swe jedwabne ubranie. - Chciałbym teraz znaleźć się tam, gdzie przebywa płomienna Sermina. Nie wiem jednak, jak to uczynić? Po pierwsze - nie znam miejsca jej pobytu, powtóre zaś - nie mam ani ludzi, ani konia, ani żadnego wogóle sposobu wydostania się z tej wyspy«.

Zaledwom domówił tych słów, zjawił się przede mną rydwan ognisty, zaprzężony w cztery ogniste rumaki. Wsiadłem do rydwanu i po chwili rumaki ogniste uniosły mię w powietrze. Słyszałem jeno szum ognistych kół i parskanie ognistych rumaków, którym ze ślepi i z nozdrzy sypały się nieustanne skry. Zdawało mi się, że ogarnął mię jakiś pożar zaklęty, w którym za chwilę spłonę na popiół. Nie spłonąłem wszakże. Przeciwnie - ogień, z którego utkany był rydwan oraz czwórka rumaków, - wywiewał z siebie łagodną a pełną różanej woni ochłodę.

Ogniste rumaki zatrzymały się nagle w jakiemś pustem i samotnem ustroniu. Wyskoczyłem z rydwanu i, zaledwo stopą dotknąłem ziemi, wszystko nagle znikło z przed mych oczu - i rydwan, i rumaki. Rozejrzałem się dokoła, alem nie zauważył nigdzie nawet śladów owego pałacu, któregom się spodziewał, byłem bowiem pewien, że rumaki ogniste staną wraz ze mną przed pałacem Serminy.

Nie wiedziałem, dokąd mam się teraz udać. Postanowiłem tedy czekać na dalsze wskazówki zaklęte.

Czekałem godzinę całą, ale nadaremnie.

Wtem posłyszałem głos, jakoby z pod ziemi wybiegły.

»Idź za mną, Sindbadzie! - To ja - płomienna Sermina. Mieszkam tu - w podziemiach. Idź w ślad - za mym głosem, a zaprowadzę ciebie do wnijścia. Będę śpiewała piosenkę, abyś głos mój mógł słyszeć nieustannie«.

»Śpiewaj - rzekłem - głos twój czaruje mnie i upaja. Pójdę chętnie za twym głosem«.

W tej chwili rozległ się podziemny śpiew Serminy. Śpiewała dziwną a cudowną śpiewkę podziemną, której słowa zachowałem w pamięci:

W podziemiach śnię i marzę,
W ustach mam roje słów.
Podziemne korytarze
Pełne są moich snów.
Dość mi rozkazać snowi:
„Śnij mi się tak a tak!"
A sen się już różowi,
Podając złoty znak.
Jam tu - z mym snem i losem,
Najpłomieńjsza z dziew!
Idź w ślad za moim głosem,
Dla ciebie nucę śpiew!

Tak śpiewała Sermina. Nie widząc jej postaci, słyszałem jeno głos cudowny i szedłem w ślad za owym głosem. Szedłem po powierzchni ziemi, podczas gdy ona szła pod jej powierzchnią. Pilnie nasłuchiwałem śpiewu, aby się nie rozminąć przypadkiem z moją podziemną przewodniczką. Śpiew nagle umilkł. Zatrzymałem się natychmiast w miej-

scu, gdzie nastało milczenie. Domyśliłem się, iż w tem właśnie miejscu znajduje się wnijście do podziemi.
»Czy widzisz krzew różany u swoich stóp ?« - zapytała mię z podziemi Sermina.
»Widzę« - odrzekłem.
»Wyrwij z korzeniem ów krzew różany, a zobaczysz pod nim drzwi żelazne. Wówczas zerwij jedną różę i ową różą prowadź po drzwiach tak, jakbyś pisał - litera po literze - moje imię, a drzwi niezwłocznie się rozewrą. Ujrzysz pod niemi schody marmurowe i po tych schodach znijdziesz do podziemi, gdzie czekam na ciebie, bom już oddawna przeznaczyła ci tysiąc pierwszych uderzeń mego serca«.
Wyrwałem z korzeniem krzew różany i znalazłem na jego miejscu drzwi żelazne. Zerwałem jednę z róż i zacząłem nią prowadzić po drzwiach tak, jakbym pisał - litera po literze - imię Serminy.
Gdym zakreślił literę S - drzwi poruszyły się niespokojnie. Gdym zakreślił literę e, ukazała się na drzwiach klamka złota. Gdym zakreślił literę r - zjawiła się dziurka od klucza. Gdym zakreślił literę m - klucz złoty wyniknął z ziemi i jął pełznąć ku dziurce. Gdym zakreślił literę i - klucz sam wszedł do dziurki. Gdym zakreślił literę n - klucz przekręcił się w dziurce trzy razy. Gdym zakreślił literę a - drzwi skrzypnęły i rozwarły się przede mną naoścież.
Pode drzwiami ujrzałem schody marmurowe. Zszedłem po nich wdół i znalazłem się nagle w pośrodku olbrzymiej komnaty pałacowej, gdzie czekała na mnie Sermina.
»Co mam czynić dalej ?« - spytałem płomiennej królewny.
»Musisz najpierw wysłuchać mojej krótkiej opowieści, która ci wytłumaczy wiele tajemniczych rzeczy. Jestem córką króla tej wyspy, na której znajduje się Góra Magnetyczna. Mała to wysepka, ale dziesięć lat temu istniało na niej cudowne i bogate miasto. Ludność tego miasta składała się z samych poetów, prócz jednego tylko człowieka, który się nazywał Ktokolwiek i który poetą nie był. Ów Ktokolwiek dzięki swemu sprytowi i pomimo wrodzonej głupoty zawładnął wkrótce całem miastem. Wszyscy bowiem uwierzyli w jego wyższość i uważali go za genjusza. Sam król powierzył mu rządy miasta. Ktokolwiek zaczął rządzić. Pod wpływem jego rządów kwiaty, drzewa, pałace i cała ludność - słowem wszystko tak doszczętnie zszarzało, iż szarość owa

przyprawiła o melancholję i króla i jego poddanych. Poeci zaczęli zwolna wymierać i po pewnym czasie wymarli wszyscy co do jednego, zbudowawszy uprzednio pomnik owemu Komukolwiek. Umarł wreszcie król. Zostałam jeno ja i Ktokolwiek oraz jego pomnik. Ktokolwiek chciał mię pojąć za żonę. Wolałam jednak umrzeć, niźli zostać jego żoną. Ponieważ znałam sztukę czarnoksięską, przeto rzuciłam nań czary śmierci. Ktokolwiek umarł. Byłam sama jedna na wyspie. Pewnego dnia ujrzał mię przelatujący przypadkowo nad naszem miastem czarodziej Murumadarkos. Upodobał mię sobie, porwał mię w objęcia i uniósł do tego właśnie podziemia. Pod wpływem jego czarów, muszę przebywać w tem podziemiu wraz z mym ulubionym białym kotem, któremu przenaczyłam pięćset uderzeń mego serca. Murumadarkos odwiedza mię tylko co trzy lata i wówczas bierze mię zazwyczaj ze sobą na spacer - po powietrzu, gdyż przepadam za takiemi napowietrznemi spacerami. Wczoraj właśnie był dzień jego odwiedzin. Odbyłam już z nim ów spacer napowietrzny, podczas którego ujrzałam ciebie na brzegu wyspy. Znów mam trzy lata zupełnego spokoju. Nie mogę powiedzieć, abym nie lubiła Murumadarkosa. Przeznaczyłam dlań trzy uderzenia mego serca. Jest on wszakże zawzięty, potężny i straszny. Zabiłby każdego, kogokolwiek zastałby w podziemiach. Nikomu bowiem nie wolno zwiedzać tych podziemi. Możesz tu jednak z całym spokojem na trzy lata zamieszkać. Strzeż się jeno tego lustra, które stoi w kącie pokoju, naprzeciwko mego łoża, oraz tego łuku, który wisi w przeciwległym kącie pokoju. Gdybyś strzałą, z owego łuku wypuszczoną, ugodził w owo lustro - Murumadarkos natychmiast zjawiłby się w podziemiach. Ów łuk i lustro zostawił umyślnie w mym pokoju, abym go mogła przywołać w razie jakiejś nagłej potrzeby lub katastrofy«.

»Wiem teraz, czego mam się strzedz, więc bądź o mnie spokojna. Jestem dość rozsądny, aby nie rozbić owego lustra strzałą, wyrzuconą z owego łuku. Ani mi w głowie tego rodzaju zabawa!«

Sermina wzięła mię za rękę i oprowadziła po podziemiach. Było tam mnóstwo cudownych komnat oraz ogrodów, gdzie rosły podziemne drzewa, kwitły podziemne kwiaty i śpiewały podziemne ptaki.

Zamieszkałem razem z Serminą w podziemnym pałacu, gdzie było mi daleko przyjemniej i weselej, niż w domu rodzinnym obok wuja Tara-
81 — buka. Ponieważ wuj Tarabuk był poetą, więc Sermina ciekawa była

moich o nim opowiadań. Dnie schodziły nam na rozmowach oraz czytaniu ksiąg czarnoksięskich.
Tak minęło dni pięć, a minęłoby i więcej, gdyby nie przygoda nieszczęsna, która pozbawiła mię na wieki płomiennej Serminy.
Pewnego wieczoru wszedłem do pokoju Serminy. Sermina spała. Usiadłem więc pod ścianą, aby jej nie budzić, i z zachwytem patrzyłem na śpiącą. Nagle ujrzałem olbrzymiego szczura, który wysunął się z pod łóżka i w okamgnieniu wskoczył na łóżko, na którem leżała Sermina. Ponieważ siedziałem pod ścianą, na której wisiał łuk, porwałem więc łuk do ręki, chcąc ukarać śmiałka. Wymierzyłem w samo ślepie szczura. Wypuściłem strzałę, spodziewając się, iż szczura na wylot przeszyję. Lecz ku mojemu zdziwieniu - posłyszałem brzęk tłuczącego się lustra. Sermina zbudziła się, spojrzała na lustro i załamała dłonie. Szczur uciekł, a ja stałem zrozpaczony, z łukiem w ręku. Niestety! Lustro było tak doskonałe, żem odbicie Serminy i szczura wziął za rzeczywistość. Zamiast przeszyć strzałą rzeczywistego szczura, przeszyłem lustro w tem miejscu, gdzie szczur się odbijał.
»Cóżeś uczynił? - zawołała Sermina - Murumadarkos natychmiast zjawi się w podziemiach! Jesteśmy zgubieni, chyba - że uratuje nas moja sztuka czarnoksięska«.
Nagłe uderzenie pioruna oznajmiło nam, iż Murumadarkos przybywa. I rzeczywiście - tuż obok rozbitego lustra zjawiła się jego postać straszliwa i potężna. Zdążyłem ukryć się za kotarą drzwi. Nasłuchiwałem uważnie rozmowy Murumadarkosa z Serminą, aby w razie potrzeby przyjść z pomocą.
Sermina w pierwszej chwili tak się zmieszała, że odpowiedzi jej były nierozsądne.
»Czegoś chciała ode mnie?« - spytał Murumadarkos.
»Chciałam się dowiedzieć, która godzina?« - odrzekła, rumieniąc się Sermina.
»Jakto? W tak błahym celu wezwałaś mię z tak daleka? Byłem przed chwilą na końcu świata, zajęty polowaniem na lwy i tygrysy«.
»Jest to błahy cel dla ciebie, lecz nie dla mnie - tłumaczyła się Sermina. - Zegarek mój idzie tak źle, że nigdy nie wiem, o której mam wstać, a o której do snu się ułożyć. Dzień - dwa - a nawet tydzień - a nawet
 miesiąc można żyć bez zegarka, ale trzy lata - to trochę za długo«.

Murumadarkos spojrzał na zegar, wiszący na ścianie, zmarszczył brwi i rzekł:
»Zegar twój idzie aż nadto dobrze. Zapewne jakiś inny zamiar lub przypadek zmusił cię do rozbicia lustra«.
Sermina zarumieniła się znowu i rzekła z pośpiechem:
»Właściwie było tak: zaczęłam się nudzić sama w podziemiach i pomyślałam, że aż trzy lata muszę czekać na twoje odwiedziny. Zrobiło mi się tak nudno, ale to tak nudno, żem postanowiła dla rozrywki zatańczyć przed lustrem jakiś taniec solowy, aby się przyglądać swemu rozpląsanemu w lustrze odbiciu. Zaczęłam tańczyć. Tańczyłam tak zapalczywie, ale to tak zapalczywie, że nieostrożnie podniosłam w zapale tanecznym nogę tak wysoko, ale to tak wysoko, że rozbiłam lustro«.
Murumadarkos jeszcze mocniej brwi zmarszczył i mruknął pod wąsem:
»Przecież widzę, że lustro przeszyte jest nawylot strzałą z mego łuku«.
Sermina zarumieniła się po uszy i zawołała:
»Zapomniałam ci powiedzieć, że tańczyłam mój ulubiony taniec z łukiem. Tańcząc, napięłam cięciwę tak mocno, ale to tak mocno, że strzała nieostrożnie wysunęła mi się z dłoni i przeszyła nawskroś lustro w tej samej właśnie chwili, kiedy, jak ci to już wyznałam, podniosłam zbyt wysoko nogę«.
Tupnął nogą o ziemię Murumadarkos.
»Nie jestem głupcem, ani osłem, ażebym zaufał tak jawnie kłamliwym słowom! Mogłabyś przynajmniej jakieś zręczniejsze kłamstwo obmyśleć! Spójrz mi prosto w oczy i mów, co się stało«.
Sermina spojrzała mu prosto w oczy.
»Patrz prosto!« - powtórzył groźnie Murumadarkos.
»Czyż nie patrzę dość prosto?«
»Właściwie patrzysz dość prosto i to mnie właśnie zupełnie zbija z pantałyku. Podejrzewam teraz ciebie o to, że chcesz mnie zbić z pantałyku«.
»Przecież sam kazałeś mi patrzeć prosto w oczy«.
»Kazałem ci patrzeć prosto w oczy, ale nie kazałem ci zbijać mnie z pantałyku«.
»Więc cóż mam teraz uczynić, aby cię nie zbijać z pantałyku?«
»Powinnaś spuścić oczy i wyznać, że potem, co się stało, nie możesz mi
 patrzeć prosto w oczy«.

»Pocóż mam spuszczać oczy, jeżeli nic się nie stało i jeżeli mogę z zupełnym spokojem patrzeć ci prosto w oczy«.
Murumadarkos poczerwieniał ze złości i począł nozdrzami węszyć wnętrze pokoju. Zapewne coś zwęszył, bo nagle chwycił łuk, przyłożył do cięciwy strzałę, napiął cięciwę i wymierzywszy wprost w kotarę, za którą byłem ukryty, rzekł z uśmiechem szyderczym do Serminy:
»Przeszyłaś strzałą moje lustro, tedy pozwól, że tą samą strzałą przeszyję twoją kotarę«.
»Nie rób tego! - zawołała Sermina. - Ta kotara jest pamiątką po mojej matce«.
»Mylisz się - tę kotarę dałem ci sam w podarku ślubnym, a kupiłem ją osobiście od kupca perskiego«.
»Pamiętam to dobrze! - zawołała Sermina. - Pamiętam, że ta kotara jest twoim podarkiem ślubnym, ale jednocześnie jest ona tak dziwnie podobna do ulubionej kotary mojej matki, że uważam ją niemal za pamiątkę po mojej matce«.
»Pomimo to - odpowiedział Murumadarkos - będę oto liczył do trzech. Za trzecim razem strzała przeszyje ową pamiątkę po twojej matce«.
Ukryty za kotarą poczułem się nagle nieswojo.
»Raz!« - rzekł Murumadarkos.
»Błagam cię, nie strzelaj!« - zawołała Sermina.
»Dwa!« - rzekł nieubłagany Murumadarkos.
Chcąc w czas uprzedzić okrutne trzy, któreby niechybnie pociągnęło za sobą cios dla mnie śmiertelny, wysunąłem się mimowoli z poza kotary.
»A kto to?« - zawołał Murumadarkos, przysiadając do ziemi ze zbytniego zapewne zdumienia.
»Precz stąd, podły czarnoksiężniku! - zawołałem odważnie - kochamSerminę i nie pozwolę nadal więzić jej w tych podziemiach. Albo zabiję ciebie, albo sam zostanę zabity«.
»To ostatnie jest o wiele prawdopodobniejsze« - odpowiedział czarownik i przedzierzgnął się nagle w olbrzymiego psa. Pies rozwarł paszczę i chciał się już rzucić na mnie, gdy Sermina przedzierzgnęła się w wilka. Wilk rzucił się na psa i rozpoczęła się wściekła walka. Podczas tej walki pies nagle przeobraził się w tygrysa. Wówczas wilk przemienił się we lwa. Tygrys stał się nagle - żółtym z zazdrości i złości płomieniem. Z niepokojem spojrzałem na lwa, czekając, w co się teraz

odmieni. Lew po krótkim namyśle rozwichrzył się w cudowny, purpurowy płomień. Przypomniałem sobie wówczas, iż Sermina słynęła jako płomienna. Dwa te płomienie - żółty i purpurowy - wichrząc się i powiewając jęzorami, splotły się i zgmatwały wzajem ze sobą. Długo trwała walka płomieni. To żółty, to purpurowy unosił się wzwyż, panując nad przeciwnikiem. Mocowały się ze sobą - wijąc się kłębami po ziemi, polatując ku sklepieniu, prześlizgując się po ścianach, paląc po drodze kotary i makaty. Wreszcie znieruchomiały obydwa i zwarły się w jeden ognisty, żółto-purpurowy zamęt. Znać było, iż tężą się i zmagają w walce ostatecznej. Zaparłem dech i z zamarłem w piersi sercem śledziłem skutki walki, od której zależało życie moje i Serminy. Nagle płomień żółty zachwiał się, syknął, zadymił i zaczął zwolna wątleć, przygasać, szarzeć, aż w końcu, zamieniony w popiół, opadł na ziemię. Sermina zwyciężyła! W kształcie purpurowego płomienia zbliżyła się do mnie i owiała moją twarz wonnym, czarownym, upojnym żarem. Wyciągnąłem dłonie i pogrążyłem je w purpurowym płomieniu. Nie spaliły się, jeno zadrgały, przejęte wnikliwą spiekotą, podobną do spiekoty wiosennego południa. Rozchyliłem wargi i jąłem wdychać wonny żar, który wywiewał się z płomienia. Spijałem też żar purpurowy chciwie i radośnie, gdyż przelewał mi się do piersi i uderzał do głowy, jako wino.

»Sermino! - szepnąłem - tyżeś to jest - taka płomienna?«

»Jam jest« - odrzekła.

»Co się dzieje z tobą? Odpowiedz, bo nie widzę twej postaci?«

»Płonę« - szepnęła Sermina.

»Czy żyjesz jeszcze?«

»Płonę«.

»Czy widzisz mnie?«

»Płonę«.

»Czy kochasz mię, Sermino?«

»Płonę«.

»O, jeżeli możesz, przywróć sobie dawną postać, bo oczy moje stęskniły się do twego widoku!«

W tej chwili purpurowy płomień zawichrzył się, rozwiał i na jego miejscu zjawiła się dawna Sermina, ale jakże zmieniona, jakże blada, jakże dziwnie smutna i zadumana!

»Zwyciężyłam Murumadarkosa, spalając go w popiół marny i nikczemny, ale nie wolno zwyciężać - bezkarnie! Przybrałam na się postać płomienia, ale nie wolno płonąć - bezkarnie! Kto raz zapłonął - ten musi spłonąć do końca! Wiedziałam o tem, co mnie czeka, ale nie mogłam uniknąć przeznaczenia! Gdy Murumadarkos zamienił się w płomień musiałam gwoli zwycięstwu przeciwstawić się mu w równie płomiennej postaci. Patrz na mnie, póki jeszcze trwam na ziemi, gdyż oto zbliża się chwila mojej śmierci. Zwyciężając Murumadarkosa - wyratowałam ciebie. Ratując ciebie - musiałam sama siebie znicestwić. Płonę, płonę nadal, płonę beznadziejnie!«

»Wszakże pozbyłaś się już postaci płomienia?«

»O, tak - pozbyłam się tej postaci jeno nazewnątrz, ale wewnątrz, w duszy, w piersi pozostało straszne, niepokonane purpurowe zarzewie! Spala mnie ono szybko, pośpiesznie - spala na popiół, na proch znikomy!«

»Powiedz, czem mogę zagasić, czem stłumić to zarzewie okrutne?«

»Niczem go nie stłumisz, niczem nie zagasisz! Spójrz na mnie uważnie: choć nie widzisz trawiącego mię płomienia, możesz jednak postrzec wszelkie widome oznaki spalania się i spopielania«.

Teraz dopiero - pod wpływem tych słów - postrzegłem nagle, że ciało Serminy zwolna czernieje, jakby się zamieniało w węgiel. Warkocze jej, olbrzymie, złote warkocze skręcały się kurczowo, jak w ogniu, chociaż ognia nie było widać. Zwolna cała przeobraziła się w węgiel, który wkrótce w popiół się rozsypał. Stało się to tak szybko, żem nawet nie zdążył raz jeden uścisnąć jej przed zgonem, raz jeden pożegnać na zawsze, raz jeden choćby imienia jej wyszeptać. W podziemiach zapanowała cisza i pustka. Zebrałem popiół Serminy do urny marmurowej i płacząc wyszedłem z podziemi. Zaledwom stanął na powierzchni, wpobliżu drzwi żelaznych, gdym posłyszał nagły grzmot i jednocześnie ujrzałem, że drzwi żelazne zapadły się kędyś głęboko i znikły bez śladu, jeno kot biały wyskoczył zowąd i, pędząc naoślep przed siebie, zniknął na widnokręgu.

Z urną, napełnioną popiołem, błąkałem się długo po nieznanym lądzie, gdziem nie mógł znaleźć ani pożywienia, ani ludzi, ani nawet zwierząt. Rozpacz moja nie miała granic! Nikogom tak nie kochał, jakSerminę! Nikt mi nie był tak drogi, nikt nie napełniał mej duszy takiem szczę-

ściem! I oto - w jednej chwili - znikła na zawsze, spaliła się, rozwiała się w nicość. Cóż mi zostało? Urna, napełniona popiołem.

Na trzeci dzień mej tułaczki po lądzie dotarłem do brzegu i ujrzałem zdala okręt. Jąłem wołać z całych sił, aby mię posłyszano. Głos mój doleciał do uszu załogi, gdyż po chwili stwierdziłem, że okręt skierował swój bieg ku wybrzeżu. W pół godziny potem okręt zbliżył się do wybrzeża. Na zapytanie moje, dokąd płynie, kapitan odpowiedział, iż płynie do Balsory.

»Jest to właśnie miasto, do którego chcę powrócić! - zawołałem radośnie. - Mieszkam bowiem w Bagdadzie. Chyba mi nie odmówicie miejsca na okręcie«.

»Chętnie cię weźmiemy na pokład - odrzekł kapitan. - Czy masz jakie pakunki?«

»Nie mam nic, prócz tej urny, napełnionej popiołem. Jestem zmęczony i zgłodniały. Podczas podróży opowiem wam moje przygody. Tymczasem dajcie mi jakikolwiek posiłek«.

Wprowadzono mię do sali jadalnej i dano posiłek. Okręt, kołysząc się na falach, płynął w stronę Balsory, a kapitan i załoga cała wyczekiwali z ciekawością mego opowiadania. Posiliwszy się, opowiedziałem wszystko, co mi się zdarzyło.

Byli niezmiernie zdziwieni i oczarowani memi przygodami. Wicher sprzyjał nam nieustannie. Przez cały czas podróży nie zaznaliśmy żadnych klęsk, ani przygód. Płynęliśmy kilka miesięcy zgórą - i wreszcie po kilku miesiącach żeglugi okręt nasz zarzucił kotwicę w porcie balsorskim. Pożegnałem kapitana i całą załogę i pośpiesznie udałem się do Bagdadu.

PRZYGODA CZWARTA

TYM razem zastałem wuja Tarabuka w dobrym humorze. Z zadowoleniem, aczkolwiek nie bez gruntownego zdziwienia stwierdziłem, iż jest zupełnie zdrów na umyśle. Nie używał już zgoła dziwnych określeń i porównań, tak obficie ongi czerpanych z dziedziny pracznictwa. Powitał mię radośnie i niezwłocznie udzielił mi ważnych wiadomości o sobie. Dla uniknięcia na przyszłość możliwych katastrof, zaprzestał pisania wierszy na papierze i pergaminie. Papier bowiem i pergamin narażone są na rozmaite niebezpieczeństwa. Lada wiatr może je zwiać do głębiny morskiej, a lada praczka lada mydlinami pozbawić pracowicie nakreślonych liter. Zewsząd czyha zniszczenie i nie wolno swych utworów powierzać takim nieodpowiedzialnym przedmiotom, jak papier lub pergamin, które, nie posiadając rozumu, nie potrafią ani się bronić, ani uniknąć niebezpieczeństwa. To też wuj Tarabuk postanowił powierzać swe utwory oraz ich obronę istotom żywym i mniej więcej rozumnym. W tym celu wynajął tysiąc młodych niewolnic. Po stworzeniu każdego utworu, kazał jednej z niewolnic uczyć się go napamięć. Po napisaniu pierwszego tysiąca swych wierszy, rozpoczął wtóry, przeznaczając kolejno każdej niewolnicy następny utwór do zakarbowania w pamięci. Podczas mojej nieobecności zdążył wuj Tarabuk spłodzić dziesięć tysięcy utworów, każdej tedy niewolnicy przypadło w udziale dziesięć. Wuj Tarabuk codzień wieczorem gromadził wszystkie niewolnice w swym pokoju i do późna w noc na wyrywki kazał im powtarzać to końcowe, to środkowe strofy swych utworów. Usłużne i pamiętliwe dziewczęta tak się w tych praktykach wyćwiczyły, że na wyraźne żądanie mogły z łatwością wygłosić całkowity utwór od końca do początku z opuszczeniem wszelkich znaków pisarskich. Wuj Tarabuk zaprosił mię wieczorem do pokoju, abym podziwiał usłużność i pamiętliwość roztropnych dziewcząt. I rzeczywiście, nie mogłem wyjść z podziwu, sły-

sząc, jak dziewczęta pokolei recytują jakieś dziwne, niezrozumiałe, a rymowane słowa i w dodatku, jak mię zapewniał wuj Tarabuk, recytują bez błędu. Dodać muszę, iż wuj Tarabuk po napisaniu wiersza i powierzeniu go pamięci jednej z swych niewolnic, niszczył oryginał na papierze lub pergaminie, gdyż miał osobliwą do jednego i drugiego nienawiść. Po tym dodatku dorzucę jeszcze, iż wuj Tarabuk miał pamięć dość słabą i z pewnością nie mógł w swej pamięci przechować tylu utworów. Po dodatku powyższym i po dorzutku poniższym muszę wyrazić pewną wątpliwość, czy rzeczywiście dziewczęta powtarzały utwory wuja Tarabuka bez błędu? Nie wiem czemu, ale bezład i niezrozumiałość słów, które z błyskawiczną szybkością wygłaszały na skinienie mego wuja, budził we mnie pewne podejrzenia co do zgodności tych słów z pierwowzorem. Jakkolwiek pierwowzór mógł być tak samo bezładny i niezrozumiały, wszakże zastanawiała mnie pewnego rodzaju przesada w bezładzie i niezrozumiałości. Słowem, podejrzewałem i dotąd podejrzewam niewolnice mego wuja o to, że, korzystając z nieobecności zniszczonych pierwowzorów, wyzyskiwały jego słabą pamięć, odmieniając dowolnie słowa oryginałów i zastępując je byle jakimi odpowiednikami lub nieodpowiednikami. Muszę wszakże oddać dziewczętom sprawiedliwość, iż recytowały owe odmienione utwory z niezwykłą, błyskawiczną niemal szybkością, która uniemożliwiała wszelką kontrolę. Ta błyskawiczna szybkość upajała i czarowała wuja Tarabuka, dając mu rękojmię pilności i doskonałej pamięci niewolnic. Byłem w głębi duszy przeciwnego zdania, chociaż nie śmiałem go zdradzić przed wujem Tarabukiem. Mianowicie owa szybkość recytacji zwiększała jeszcze moje wyżej zaznaczone podejrzenia. Po skończonym popisie wuj, radośnie zacierając dłonie, zapytał:

»Jakże ci się podoba nowy sposób utrwalania mych utworów?«

»Czy wuj nie sądzi, - zauważyłem nieśmiało - iż dziewczęta wygłaszają wiersze za szybko?«

»Nigdy za szybko!« - odpowiedział wuj, z uroczystem znawstwem unosząc ku górze palec wskazujący.

»Nigdy za szybko! Wiersz trzeba albo wygłaszać szybko, albo wcale! Trzeba nawet dojść do tego, aby wargi, trzepocząc się na wyprzódki, pogmatwały się w swych wspólnych rozpędach. Niech nie wie warga górna, co mówi warga dolna! Prawda, dziewczęta?«

»Prawda, prawda, prawda!« - odkrzyknęły znienacka pytaniem zaskoczone dziewczęta.

Wuj znowu zwrócił się do mnie.

»Co dzień przed udaniem się na spoczynek nocny niewolnice moje przysięgają mi uroczyście, że nigdy samochcąc, z własnej i nieprzymuszonej woli nie wyrzucą ze swej pamięci mych utworów«.

Tu - wuj zwrócił się do dziewcząt.

»Przysięgnijcie mi wedle zwyczaju!«

»Przysięgamy, przysięgamy, przysięgamy!« - krzyknęły znowu chórem dziewczęta, podnosząc wzwyż dłonie.

Wuj dumnie wskazał mi je ręką i rzekł:

»Przyznaj, żem wiedział, komu mam powierzyć moje utwory. Czem papier, czem pergamin wobec takich dziewcząt? Niczem! Tak - ani ich wiatr do morza nie zwieje, ani praczka z nich moich utworów nie wypierze«.

I wuj skinął dłonią na znak, iż pozwala niewolnicom udać się na spoczynek. Jęły szeregiem wychodzić z komnaty. Były tam blondyny, brunety, szatynki, rude i płowe. Podczas, gdy wychodziły z komnaty, postrzegłem, iż twarze ich są nieco zmęczone, a nawet zgnębione. W oczach tkwiło coś w rodzaju smutku czy też nawet rozpaczy. Budziły jednocześnie litość i szacunek, pomijając wyżej wspomniane podejrzenia, których się pozbyć jakoś nie mogłem.

Gdy wyszły, wuj Tarabuk rzekł do mnie:

»Jesteś zapewne znużony podróżą, nie chcę więc ciebie dzisiaj zmuszać do opowiadań, choć wiem, że ci się sporo dziwów w krajach dalekich napatoczyło. Odkładam naszą rozmowę do jutra w tej nadziei, iż jutro posłyszę od ciebie odpowiedź, którą ci dała Piruza po odczytaniu mego wiersza«.

Nic na to nie odrzekłem wujowi, jeno, pożegnawszy go, udałem się na spoczynek.

Nazajutrz, skoro świt wuj Tarabuk wsunął się cichaczem do mego pokoju, aby cierpliwie wyczekiwać mego ocknienia. Otworzyłem oczy i rzekłem:

»Już nie śpię, niech wuj siada wpobliżu, a opowiem mu wszystko, co mi się zdarzyło«.

»Zacznij od Piruzy« - szepnął wuj tajemniczo i z widocznem wzruszeniem.
»Nie mogę zacząć od Piruzy«.
»Czemu nie możesz?«
»Bom nie był w państwie króla Miraża« - Wuj Tarabuk załamał dłonie.
»O! cóżeś uczynił, niedobry Sindbadzie! Tak długo czekałem na odpowiedź Piruzy, tak długo śniłem o tem, że przyśle po mnie stu rycerzy i że niezwłocznie po przybyciu mojem do państwa króla Miraża ofiaruje mi swą rękę wraz z połową królestwa! Byłem i jestem pewien, iż mój wiersz oczarowałby ją i upoił. Czemużeś w swojej podróży ominął państwo króla Miraża?«
»Powrót do tego państwa jest mi wzbroniony. Czyha tam na moje życie okrutny Degial, którego pomsta bywa zawsze straszliwa i nieodparta. Mogę ci zato, drogi wuju, opowiedzieć wiele innych cudów, które widziałem«.
»Ha, trudna rada! - zauważył smutnie wuj Tarabuk. - Nie widziałeś tym razem Piruzy, lecz zato z pewnością spotkałeś jakowąś inną istotę nieziemską«.
»Spotkałem istotę płomienną, której na imię było Sermina«.
»Tedy w braku Piruzy - mów mi o Serminie«.
Opowiedziałem wujowi całą historję Serminy od początku do końca. Płomienna postać Serminy w moim opisie tak oczarowała wuja Tarabuka, że zgoła zapomniał o istnieniu Piruzy.
»Dziwna to jednak była owa Sermina - nieprawdaż?« - zauważył wuj w głębokiej zadumie.
»Dziwna« - potwierdziłem smutnie.
»I płomienna powiadasz?«
»Płomienna«.
»Czy bardzo płomienna?«
»Bardzo! Wszakże ją własny ogień wewnętrzny spalił na popiół«.
»Czyś zachował ów popiół?«
»Zachowałem go w urnie, którą przywiozłem do Bagdadu«.
»Podaruj mi tę urnę. Patrząc na nią - będę tworzył tak piękne wiersze, jakich nigdy jeszcze dotąd nie tworzyłem«.
»Urny tej nie oddam nikomu! - odrzekłem posępnie. - Zapominasz, wuju, o tem, że z tysiąca dwustu pięćdziesięciu trzech uderzeń serca
91 - Sermina przeznaczyła mi tysiąc pierwszych!«

»Z pewnością przeznaczyłaby je dla mnie, gdyby mnie choć raz jeden przed zgonem ujrzała. Lecz los chciał, że umarła, pozbawiona mego widoku! Nieszczęśliwa! Nawet w godzinę śmierci nie dano jej było ostatniem spojrzeniem ogarnąć od stóp do głów mojej postaci! Jestem pewien, iż widok takiego, jak ja, poety sprawiłby niezmierną ulgę konającej i dodałby jej otuchy do trwania w światach pozagrobowych! Cóż mam jednak czynić? Nieustannie rozmijam się z istotami płomiennemi, które mi są przeznaczone chyba poto, abym ich nigdy w porę nie oglądał. Życie jest pełne pomyłek niepowetowanych!«

»Niechże wuj kiedykolwiek ze mną razem w podróż wyruszy, aby się tam spotkać z jakąkolwiek istotą płomienną«.

»Nie teraz jeszcze, nie teraz! - odpowiedział wuj Tarabuk. - Zbyt wiele mam do roboty, zbyt wiele słów rymuje mi się w głowie. Nie mogę na podróże tracić czasu, który sam Bóg przenaczył na pisanie wierszy. Prócz tego nie chcę opuszczać tysiąca moich niewolnic, które w czasie mej nieobecności zdążyłyby napewno oddać zapomnieniu wszystkie moje utwory, zaś obarczenie okrętu tysiącem dziewcząt byłoby zbyt uciążliwe«.

Wuj Tarabuk mówił jeszcze długo o wszystkiem, o czem tylko mógł mówić, lecz już go nie słuchałem. W ostatnich czasach stał się nadzwyczaj wielomówny i wielomówność jego nużyła mnie i niecierpliwiła. Mówiąc po prawdzie - unikałem towarzystwa wuja, chociaż kochałem go szczerze i głęboko. Po tylu przejściach i wstrząśnieniach, których mi dostarczyły moje podróże, wymagałem spokoju, ciszy i samotności. To też najczęściej wychodziłem z domu na samotne wycieczki po wybrzeżu morskiem, aby tam rozmyślać o płomiennej Serminie, którą straciłem bezpowrotnie.

Podczas jednej z takich wycieczek spotkałem jakiegoś młodzieńca, który zbliżył się do mnie i z uśmiechem zapytał, czy nie jestem przypadkowo Sindbadem-żeglarzem?

Odpowiedziałem twierdząco.

»Czy pozwolisz mi w takim razie uścisnąć twoją dłoń?« - spytał młodzieniec.

»I owszem!« - odrzekłem, podając mu obydwie dłonie.

»Sława twoja - mówił dalej młodzieniec - ogarnęła świat cały. Imię twoje rozbrzmiewa po wszystkich krajach. Oddawna marzyłem o tem,



aby ciebie poznać i jestem ci niezmiernie wdzięczny zato, żeś podał mi do uścisku obydwie dłonie, zamiast odwrócić się ode mnie dumnie, jako od człowieka nieznanego. I ja też marzę o sławie wielkiego podróżnika. Chciałbym od ciebie zasięgnąć rady, dokąd mam się udać i na jakie niebezpieczeństwa narazić, aby wreszcie zdobyć sobie rozgłos podróżnika?«

Gdym mu mówił, dokąd ma się udać i na jakie niebezpieczeństwa narazić, postrzegłem ukosem, iż twarz młodzieńca zmienia nieustannie swój wyraz, a właściwie przybiera naprzemian dwa wyrazy: jeden wyraz wesołej twarzy młodzieńczej, zaś drugi wyraz pyska Djabła Morskiego. Zdawało się, iż młodzieniec z trudnością pozbywa się tego ostatniego wyrazu i że, ilekroć nań spoglądam, tylekroć z niezwykłym pośpiechem przybiera wyraz twarzy młodzieńczej z widocznemi oznakami pewnego wysiłku, czy też niedogody.

Przypomniałem sobie, iż zdaniem wytrawnych marynarzy Djabeł Morski może odmieniać swe kształty ale z takim trudem i z takim nakładem nieznośnego bólu, że gwoli uśmierzenia owego bólu musi co chwila przywracać sobie postać przyrodzoną.

Podejrzliwie tedy jąłem popatrywać na młodzieńca. Młodzieniec zauważył to natychmiast i rzekł z uśmiechem:

»Zapewne postrzegłeś dziwne zmiany, którym twarz moja podlega. Wszakże nie zwracaj na nie żadnej uwagi. Są to skutki nieszczęśliwego przypadku. Pewnego razu, gdy byłem dzieckiem, bawiłem się piaskiem i muszlami na wybrzeżu morskiem. Niańka wraz z swym narzeczonym oddaliła się ode mnie, pozostawiając mię moim własnym losom. Zbliżyłem się do brzegu i ciekawie zajrzałem do fali, która, pieniąc się, uderzała o brzeg. Postrzegłem pod falą - na białym piachu - piękną, olbrzymią, tęczową muszlę. Wyciągnąłem rączkę - gdyż miałem wówczas rączki, nie zaś ręce - otóż wyciągnąłem rączkę po ową muszlę. Nagle z fali wyłonił się Djabeł Morski. Przerażony jego widokiem zacząłem krzyczeć. Na krzyk mój niańka wraz z narzeczonym nadbiegła i porwała mię na ręce. Djabeł Morski znikł natychmiast w fali. Wszakże widok Djabła Morskiego przyprawił moje mięśnie o skurcz chorobliwy, który od czasu do czasu zmusza moją twarz do nieznośnego i mimowolnego układania się w kształt pyska Djabła Morskiego. Jest

 to choroba przykra i nieuleczalna, która jednak niema nic wspólnego

z moją istotą. Jest to poprostu nieszczęśliwe kalectwo, które zawdzięczam nieoględności swej niańki. Boli mnie, jeśli ktokolwiek zwraca na moje kalectwo uwagę i drwi ze mnie lub wyśmiewnie przezywa Djabłem Morskim. Wiem, że jesteś człowiekiem subtelnym i że przeto nie będziesz zbyt często słowem lub spojrzeniem napomykał o mojem kalectwie«.

»Przyrzekam ci to uroczyście! - odrzekłem, nieco wzruszony. - Sam też byłem igraszką Djabła Morskiego, więc rozumiem, ilu nieszczęść przyczyną ów potwór stać się może. Przykra to zapewne choroba - owo mimowolne, pod przemocą chorobliwego skurczu spokrewnianie się ludzkiej twarzy z tak potwornym pyskiem, jak pysk Djabła Morskiego. Trudna jednak rada! Nieuleczalnej choroby nikt się nie pozbędzie. Proszę cię, biedny młodzieńcze, nie krępuj się wcale moją obecnością i, ilekroć skurcz cię chwyci, folguj chorobliwym odruchom swej twarzy, gdyż wszelkie pogwałcenie tego skurczu może tylko przysporzyć bólu twym mięśniom«.

»Dziękuję ci za uprzejmość i przyzwolenie!« - zawołał młodzieniec, serdecznie ściskając moje dłonie i natychmiast folgując chorobliwym odruchom twarzy, która całkowicie wydłużyła się teraz w pysk Djabła Morskiego.

Ponieważ z natury nie jestem podejrzliwy, więc powieść młodzieńca uspokoiła mię najzupełniej. Poczułem dla niego litość, a nawet przyjaźń. Żałowałem go z całego serca, bo jakżeż można nie żałować młodzieńca, któremu zgoła ludzka twarz wydłuża się w pysk zgoła djabelski w chwili, gdy zbliża się na ten przykład do cudownej królewny, lub przed odjazdem żegna się z tak ukochanym wujem, jak na ten przykład wuj Tarabuk?

Udawałem odtąd starannie, iż wcale nie postrzegam chorobliwych skurczów jego twarzy. Młodzieniec, zaś czy to dla ulgi osobistej, czy też dla okazania mi bezwzględnej ufności, pofolgował swej twarzy do takiego stopnia, iż odtąd skwapliwie i stale upodobnił ją pyskowi Djabła Morskiego i, wziąwszy mię pod rękę, szedł wzdłuż wybrzeża, nie zadając sobie zgoła trudu pozbycia się choćby na chwilę tego pyska i przybrania choćby przez zwyczajną grzeczność - uprzejmiejszego wyrazu twarzy.

Pomimo to zaprzyjaźniłem się z młodzieńcem i codzień wieczorem

chadzaliśmy razem po wybrzeżu morskiem. Opowiadałem mu o moich

dokonanych podróżach, on zaś zwierzał mi się ze swoich marzeń i zamiarów podróżniczych. Wykazywał przytem niezwykłą znajomość morza. Umiał nieomylnie przepowiadać pogodę i niepogodę. Znał rodzaje wszelkich ryb, bytujących w morzu. Pewnego razu wyznał mi nawet, iż kocha morze stokroć więcej, niźli grunt stały, i że woli pijać słoną wodę morską, niż przaśną wodę rzeczną, tembardziej, że ta ostatnia sprawia mu bóle żołądkowe. Kto inny na mojem miejscu domyśliłby się, z kim ma do czynienia. Było jasne, iż domniemany młodzieniec jest poprostu Djabłem Morskim. Tylko dzięki mojej bezprzykładnej łatwowierności mogłem tak zaufać jego zapewnieniom. Łatwowierność moja została wkrótce ukarana.
Młodzieniec pewnego razu zaczął namawiać mię do podróży wspólnej: »Będę ci w podróży pomocny - rzekł z zapałem. - W razie niebezpieczeństwa osłonię cię własną moją piersią. Jestem bowiem silny i odważny. Łatwiej we dwóch dać sobie radę w podróży. Umiem pływać, jak ryba. Znam morze na wylot, jak ryba. Burzę morską wyczuwam nieomylnie, jak ryba. Jestem zwinny, jak ryba. Wobec niebezpieczeństw potrafię zachować zimną krew, jak ryba. Słowem będziesz miał we mnie wiernego i dzielnego towarzysza. Wyruszymy wprost do krajów nieznanych. Czekają nas cuda i dziwy, o których oddawna śnię i marzę nadaremnie. Byłbym szczęśliwy, gdybyś nie odkładał dnia podróży, lecz zgodził się odjechać zaraz - niezwłocznie - natychmiast. Wyobrażam sobie, ile królewien zaklętych spotkamy po drodze! Ilu czarnoksiężników zwyciężymy! Czeka nas taka sława, jakiej nikt jeszcze dotąd nie zdobył. Nie warto zwlekać, nie warto się spóźniać do cudów! Kto późno przychodzi - ten sam sobie szkodzi. Dziś - za godzinę pojedziemy konno do Balsory, a nazajutrz zrana odbijemy od brzegów. Im prędzej - tem lepiej. Marzeniem mojem od dawien dawna była podróż wspólna z tobą, o słynny, o niezwyciężony, o wielki Sindbadzie!«
Było coś osobliwego i pociągającego w głosie młodzieńca, coś, co zniewoliło mię do natychmiastowej niemal zgody. Trudno mi nawet określić dokładnie, czemu nie mogłem się oprzeć jego namowom. Pomimo, iż obracał ku mnie nieustannie swój pysk djabelski, łagodny dźwięk jego aksamitnego głosu przesłaniał mi szczelnie całą ohydę i potworność tego pyska. Nie tylko przesłaniał, lecz nadawał temu pyskowi jakowyś czar i urok niepokonany. Wsłuchany w melodyjne

i upojne dźwięki kuszącego mię głosu, niemal dojrzałem ślady ukrytego piękna w owym pokurczonym pysku. Po chwili pysk ów zaczął mię poprostu czarować. Zdawało mi się, iż wyraz tego pyska jest pełen głębokiej zadumy, takiej właśnie zadumy, jaką budzi w podróżniku zapalonym widok nieznanych krain. Zachciało mi się znowu włóczęgi po świecie - zachciało się niezwalczenie, nieprzeparcie, nieodwołalnie! Chwyciłem dłoń młodzieńca, i ściskając ją przyjaźnie, rzekłem: »Zgoda, drogi przyjacielu! Dziś jeszcze - za godzinę wyruszymy konno do Balsory. Masz słuszność: nie trzeba zwlekać ani chwili! Świat stoi przed nami otworem. Nie szczędźmy pośpiechu! Może teraz właśnie przeznaczono nam spotkać w drodze bajkę najpiękniejszą! Jeśli się spóźnimy - nigdy już oczy nasze jej nie ujrzą! Pozwól tylko, że na chwilę wrócę do pałacu, aby się pożegnać z moim wujem«.

»Będę cię czekał tu - na wybrzeżu morskiem« - odrzekł młodzieniec.

Pobiegłem do pałacu. Wuj Tarabuk w swym pokoju zajęty był właśnie braniem dziewcząt na pamięciowe spytki. Wpadłem zdyszany do pokoju i zawołałem z miejsca:

»Wyjeżdżam!«

»Dokąd?« - zapytał wuj Tarabuk.

»Do krain nieznanych«.

»Jakto? Już chcesz mię opuścić?«

»Jest to moje nieodwołalne postanowienie«.

»Czy masz przy sobie wiersz, który niegdyś napisałem na cześć niezapomnianej Piruzy?«

»Mam«.

»Otóż - jeśli w drodze spotkasz jakąkolwiek królewnę, byle dość płomienną, wręcz jej ten utwór z zapewnieniem, żem dla niej go zrymował. Czy obiecujesz?«

»Obiecuję«.

»Solennie?«

»Solennie«.

»W takim razie - wesołej podróży«.

Wuj Tarabuk uściskał mię nie bez wzruszenia i natychmiast powrócił do swojej czynności, polegającej na sprawdzaniu pamięciowej zawartości tysiąca dziewcząt. Wybiegłem z pałacu i po chwili byłem już na wybrzeżu. Młodzieniec czekał na mnie, trzymając za uzdę dwa czarne rumaki.

»Jakim sposobem w tak krótkim czasie zaopatrzyłeś się w dwa tak czarne rumaki?« - spytałem zdziwiony.

»Jestem pilnym i starannym towarzyszem podróży! - odrzekł wesoło młodzieniec, koślawiąc uśmiechem swój rozumny pysk. - Są to moje własne konie z mojej własnej stajni, która się znajduje tam, gdzie stoi mój własny dom«.

»Gdzież w takim razie stoi twój dom?«

»Nie mamy teraz czasu do stracenia. Potem odpowiem ci na twoje pytanie. Czas nagli. Dalej w drogę!«

Dosiedliśmy rumaków i popędziliśmy w stronę Balsory. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu zauważyłem w drodze, że rumaki biegną tak dziwnie, jakby falowały w powietrzu. Grzywy ich były podobne do splotów morskiej trawy. Od czasu do czasu z ich nozdrzy tryskały jakieś fosforyczne poblaski, które rozwidniały przed nami mrok zapadającej nocy.

»Dziwne to rumaki! - rzekłem do młodzieńca. - Nie spotykałem dotąd takich rumaków. W której stronie świata nabyłeś te cudowne zwierzęta, parskające fosforem?«

»Nie mamy teraz czasu do stracenia, - odpowiedział młodzieniec. - Potem odpowiem ci na twoje pytania«.

Z Bagdadu do Balsory najbystrzejszy koń zazwyczaj sześć godzin dobrym kłusem biegnie. Tymczasem, zanim godzina upłynęła, już stanęliśmy w Balsorze.

»Jakże się to stało, - spytałem ze zdziwieniem, - żeśmy drogę z Bagdadu do Balsory w przeciągu godziny przebyli?«

»Nie mam teraz czasu do stracenia, - odpowiedział młodzieniec. - Potem ci odpowiem na twoje pytanie.«

I zatrzymał konia przed oberżą, w której mieliśmy przenocować. W oberży był tylko jeden pokój wolny. Nocowaliśmy obydwaj w tym pokoju. Zasnąłem snem kamiennym w ubraniu, aby - skoro świt - udać się na okręt, który o świcie właśnie miał przybyć. O północy poczułem przez sen, że czyjaś dłoń dotyka mię w tem miejscu na piersi, gdzie miałem kieszeń, w której już kilkakroć tkwił list Djabła Morskiego. Chciałem się obudzić, lecz nie mogłem, nad ranem zaś, gdym się ocknął, zapomniałem na razie o moich wrażeniach sennych i nie zbadałem owej
97 ~ kieszeni, chociaż w nocy powziąłem to postanowienie.

Młodzieniec był już na nogach. Pośpieszyliśmy do przystani i weszliśmy na obszerny pokład okrętu, zostawiwszy rumaki na brzegu. Szedłem na przedzie, młodzieniec szedł za mną.
»Odpowiedz mi teraz na trzy moje pytania - rzekłem, nie odwracając doń głowy - Mamy teraz dość czasu, więc możesz mi odpowiedzieć. Tedy odpowiadaj pokolei. Po pierwsze: gdzie jest twój dom?«
Młodzieniec milczał, a ja mówiłem dalej:
»Powtóre: w jakiej stronie świata nabyłeś owe dziwne rumaki?«
Młodzieniec milczał, a ja mówiłem dalej:
»Po trzecie: jakim sposobem w ciągu jednej godziny przebyliśmy drogę z Bagdadu do Balsory?«
Młodzieniec milczał, a ja odwróciłem doń głowę, aby mu się teraz przyjrzeć, lecz - młodzieńca nie było. Znikł bez śladu. Spojrzałem na brzeg - rumaków też nie było. Znikły bez śladu.
Wówczas dopiero przypomniałem sobie ów tajemniczy dotyk czyjejś dłoni, który mię zaniepokoił o północy - i nagle - zrozumiałem wszystko! Zrozumiałem, że Djabeł Morski w postaci młodzieńca podszedł mię raz jeszcze, - raz jeszcze pokusił do podróży i raz jeszcze zdołał wsunąć mi do kieszeni list, w chwili, gdy sen mię zmorzył w oberży. Jakżeż mogłem zaufać słowom tego młodzieńca! Przecież pysk Djabła Morskiego co chwila i wyraźnie wyłaniał się z rysów jego przybranej twarzy! Przecież poniechał w końcu nieznośnego dlań zapewne i bolesnego wcielania się w postać młodzieńczą i kroczył obok zgoła bezczelnie, nie uważając nawet za potrzebne odwracania ode mnie swego przyrodzonego, djabelskiego pyska! A wreszcie rumaki, na których pędziliśmy z Bagdadu do Balsory, czyż nie miały wszelkich oznak siły nieczystej i czyż nie powinny były wzbudzić we mnie podejrzeń? Zaprawdę - stałem się ofiarą własnej mojej łatwowierności.
Nerwowym ruchem dłoni zmacałem kieszeń i zbladłem. List djabelski zaszeleścił w kieszeni. Poznałem ten szelest suchy, ostry, przykry, złowieszczy, przenikliwy, niepodobny do żadnych innych szelestów. Widocznie papier, własnoręcznie przez Djabła Morskiego zapisany, nabrał też jakiejś djabelskości i szeleścił zgoła odrębnie.
Pierwszym moim zamiarem było natychmiastowe pozbycie się listu.
 Jużem wsunął dłoń do kieszeni, jużem miał list zowąd wyciągnąć i do

morza go wrzucić, gdy nagle otoczyli mię ciekawi marynarze, pytając, dokąd i poco jadę?
Poniechałem więc mego zamiaru. Postanowiłem wyczekiwać odpowiedniejszej dla pozbycia się listu chwili. Okręt tymczasem odbił od brzegu. Pogoda była słoneczna. Dzień upalny. Upłynęliśmy już zapewne dobre sześć lub siedem godzin i ujrzeliśmy przed sobą niewielką wyspę. Kapitan kazał zarzucić kotwicę wpobliżu wyspy, aby dać możność załodze użycia kąpieli.
Żwawo wyskoczyliśmy na brzeg i zaczęliśmy się rozbierać. Porzuciłem swoje ubranie na piaszczystym brzegu wyspy i wskoczyłem do wody. Gdym odpłynął od brzegu, jeden z kąpiących się marynarzy zawołał nagle:
»Zdaje mi się, że mam katar i że przeto kąpiel może mi zaszkodzić«.
Rzeczywiście miał katar, gdyż twarz jego, stercząca ponad powierzchnią wody, skurczyła się dziwacznie, brwi z pomocą niespodzianego podrygu wzniosły się wzwyż, nozdrza się rozdęły - i kichnął przed się - w oddal morską. Poczem szybko popłynął do brzegu i, wyskoczywszy na ląd, podbiegł do swego na ziemi leżącego ubrania, aby je przywdziać co prędzej. Gdy się zaczął ubierać, zadrżałem z przerażenia! Niestety, stary marynarz wskutek krótkowidztwa pomylił się, niedopatrzył, czy też był zbytnio roztargniony - słowem zamiast swego - starannie wdziewał moje ubranie.
Niezwłocznie wyskoczyłem na brzeg i zawołałem:
»Pomyłka, pomyłka, pomyłka!«
»Co za pomyłka?« - spytał stary marynarz.
»Zamiast swego wdziewasz moje ubranie!«
»Trudno! - odrzekł marynarz. - Jestem już zadowolony, żem jakiemkolwiek ubraniem osłonił moje przeziębione cielsko. Wdziej tymczasem moje ubranie, a oddam ci twe szaty wówczas, gdy powrócimy na okręt, gdyż nie chcę się znowu obnażać na wietrze«.
Trudno mi opisać rozpacz, z jaką wdziewałem na się obszerne szaty starego marynarza! Serce kołatało mi w piersi coraz gwałtowniej z obawy, że stary marynarz sięgnie przypadkiem dłonią do mojej kieszeni i wyjmie z niej list djabelski.
99 Stało się tak, jak przeczuwałem.

Gdyśmy na pokład wrócili, kapitan zaraz na wstępie zwrócił się do starego marynarza.
»Czy masz-zapytał-spis załogi okrętowej, który ci dałem przed godziną ?«
»Do usług pana kapitana !« - odpowiedział marynarz i służbistym ruchem dłoni wyciągnął z kieszeni list djabelski, który tym samym ruchem podał kapitanowi.
Jęknąłem.
»Kto tam jęczy ?« - zapytał kapitan.
Nic nie odpowiedziałem.
Kapitan rozwinął w czworo złożony list i przez chwilę pogrążył się całkowicie w czytaniu, po chwili zaś ukosem spojrzał na starego marynarza.
»Cóż ty mi za brednie dałeś do czytania ? - zapytał głosem zniecierpliwionym i oddał zpowrotem marynarzowi list djabelski.
Marynarz list pochwycił w obie dłonie i przysunął go blisko do oczu.
Jęknąłem po raz wtóry.
»Kto tam jęczy po raz wtóry ?« - zapytał kapitan.
Nie zdobyłem się i tym razem na żadną odpowiedź.
Tymczasem stary marynarz, potrząsając pięścią, w której dzierżył list nieszczęsny, zawołał:
»Do stu piorunów! List Djabła Morskiego na okręcie! Czekają nas klęski i nieszczęścia. Wolałbym oczy w morzu zgubić, niż taki list znaleźć we własnej kieszeni! Ale Bóg widzi - nie moja to kieszeń, jeno tego cudzoziemca, który już podwakroć jęknął i podwakroć nic na pytanie kapitana nie odpowiedział! Wdziałem bowiem dzięki nieznośnemu krótkowidztwu jego ubranie, zamiast swego!«
Nogi zadrżały pode mną.
»Prawdać to ?« - spytał mię kapitan.
»Prawda« - odrzekłem głosem tak cichym, jak brzęczenie komara.
Kapitan zwrócił się do marynarza:
»Wrzuć natychmiast list do morza, gdyż, im dłużej taki list pozostaje na okręcie, tem większe i tem liczniejsze klęski spadają na ów okręt«.
Marynarz wrzucił list do morza. List, jak zawsze, pokurczył się, rozwiał w pianę i zniknął.
Wówczas kapitan zwrócił się do mnie.
»Wyznaj nam prawdę, jakie węzły pokrewieństwa łączą cię z Djabłem Morskim ?«

»Nie jestem wcale jego krewnym - odrzekłem - ściga mię on już od lat kilku, nie dając spokoju i przysparzając nieszczęść nieuniknionych. Opowiem ci, kapitanie, wszystkie jego dokoła mojej osoby zabiegi, wszystkie pokusy, któremi mię dotyka, wszystkie starania, jakich przykłada, aby mię pogrążyć w nieustannem zgnębieniu. Wysłuchaj cierpliwie mojej opowieści, a przekonasz się, że jestem niewinny i że nie mam nic wspólnego z tym morskim potworem«.
Opowiedziałem kapitanowi o Djable Morskim wszystko, com miał do opowiedzenia. Opowieść moja wzbudziła w nim wielkie współczucie:
»Biedny Sindbadzie, bo tak się wszak nazywasz, rozumiem doskonale twoją rozpacz z powodu tak nieustannych prześladowań i napaści Djabła Morskiego, rozumiem tembardziej, że sam w czasach mej młodości byłem jego ofiarą i doznałem odeń przeróżnych krzywd i zniewag. W pierwszej chwili, gdy stary marynarz oznajmił przynależność do ciebie listu djabelskiego, powziąłem zamiar utopienia cię w morzu, lecz teraz po pilnem i uważnem wysłuchaniu twojej opowieści, przychodzę do przekonania, że jesteś tak samo nieszczęśliwy, jak ja niegdyś byłem. Możesz więc śmiało pozostać na naszym okręcie, proszę cię tylko o jedno, a mianowicie, abyś od czasu do czasu opowiadał mi o Djable Morskim wszystko, co masz do opowiedzenia«.
»Przyrzekam ci, kapitanie, i dotrzymam słowa!« - odparłem z ukłonem.
I rzeczywiście, stosując się zbyt może pilnie do swego przyrzeczenia, co rano i co wieczór opowiadałem kapitanowi wszystkie moje z Djabłem Morskim zajścia, tak iż po pewnym czasie kapitan, dziwnem obrzucając mię spojrzeniem, rzekł surowo:
»Biedny Sindbadzie, bo tak się wszak nazywasz, mam dla ciebie współczucie, a, chociaż mógłbym i dziś jeszcze utopić cię w morzu, pozwalam ci jednak i nadal pozostać na okręcie, proszę cię wszakże o jedno, a mianowicie, abyś przestał opowiadać mi o Djable Morskim wszystko, co masz do opowiedzenia«.
«Przyrzekam ci, kapitanie, i dotrzymam słowa!« - odparłem z ukłonem
I rzeczywiście zaprzestałem odtąd swoich opowiadań. Marynarze, widząc przychylność, którą mi kapitan przy każdej sposobności okazywał, nabrali do mnie zaufania, a nawet - po pewnym czasie - zawarli ze mną przyjaźń ścisłą. Nigdy dotąd nie spędzałem na okręcie czasu tak przyjemnie i tak swobodnie. Lecz obecność w mojej kieszeni listu

djabelskiego nie przeminęła bez skutku. Wiedziałem zresztą, iż prędzej, później musi spaść na nas klęska. I klęska spadła w chwili najmniej przez wszystkich spodziewanej.

Pewnego dnia okręt nasz znajdował się wpobliżu wyspy nieznanego nazwiska. Zauważyliśmy nagle, iż okręt bez przyczyny widomej ociężał i pogrążył się w wodzie głębiej, niż zazwyczaj. Kapitan z garstką marynarzy zszedł na spód okrętu, aby zbadać tajemniczą przyczynę tak nagłej zmiany.

Po chwili wrócił na pokład blady, jak kreda.

»Źle z nami ! - rzekł do załogi. - Nieprzeliczona zgraja Pił osaczyła nasz okręt i już go w kilku miejscach przedziurawiła. Przesłaniamy dziury, jak i czem możemy, ale walka jest bardzo trudna. O ile bowiem łatwo sobie z jedną Piłą poradzić, o tyle trudno z gromadą«.

Rozumiałem najzupełniej trwogę kapitana. Piła jest to ryba potworna, obdarzona w miejscu przedłużenia pyska - zębatem i ostrem narzędziem w kształcie piły. Nie wiem, czy ryba owa posiada zbrodnicze skłonności, to tylko pewna, że innych narzędzi, prócz przyrodzonej piły nie posiada. To też - cokolwiek chce zmajstrować - ucieka się zawsze do tego jedynego narzędzia. Jakiegokolwiek czynu się podejmie - czyn ten zawsze zredukuje się do - piłowania. Wszystko jej jedno, co piłuje, byle piłowała. Cały jej żywot polega na nieustannem i nieuniknionem - piłowaniu. Trudno określić czy przychodzi na świat poto, ażeby piłować, - czy też piłuje poto, ażeby w jakikolwiek sposób zaznaczyć swą obecność na świecie. Trudniej jeszcze określić, czy piłuje dla tego, iż naprawdę chce piłować, czy też dlatego, że nie posiada innego, prócz piły, narzędzia i że przeto każdy jej odruch jest mimowolnem piłowaniem. Byłaby z pewnością stworzeniem użytecznem, gdyby drwalom lub traczom przychodziła z pomocą. Zamiast wszakże uspołecznić się ku użytkowi i pożytkowi ludzkiemu, woli przebywać w dzikim i drapieżnym stanie. Napada częstokroć gromadnie okręty, a wówczas - niechybna zguba grozi każdemu okrętowi ! Zgraja bowiem Pił z lubością, z zapałem i ze sporem znawstwem przepiłowuje najgrubsze dno okrętu. Doraźne zasklepienie i zalanie smołą przepiłowanych szczelin i otworów nie pomaga, gdyż niestrudzona i niczem niezrażona Piła przepiłowuje je na nowo ze zdwojoną szybkością. Najlepszem potwierdzeniem moich słów jest opisany poniżej wypadek z naszym okrętem.

Słowa kapitana przejęły nas trwogą i rozpaczą. Wszyscy, jako jeden mąż, zbiegliśmy po schodach i drabinach na spód okrętu i pilnie zabraliśmy się do roboty. Dno było podziurawione w trzystu miejscach, a było nas właśnie trzystu - chłop w chłopa - tedy każdy stanął na straży jednego otworu, aby go nieustannie zasklepiać. Na jedno okamgnienie udało się nam powstrzymać napływ wody do okrętu. Wszakże nieszczęście chciało, iż trafiliśmy na jakieś wyjątkowo przebiegłe i ostre Piły. Zamiast bowiem piłować zasklepione przez nas otwory, upatrzyły sobie świeże miejsca w przerwach pomiędzy dawnymi otworami. Zanim zdołaliśmy zrozumieć, co się święci, przebiegłe Piły przepiłowały nowych trzysta otworów. Zapewne liczbą dorównywały nam bez reszty. Było nas trzechset dzielnych marynarzy - przeciwko trzystu przebiegłym Piłom. Przerzuciliśmy się do nowopowstałych otworów i jęliśmy je zasklepiać z niezwykłą pracowitością. Zanim jednak doprowadziliśmy robotę do połowy, przebiegłe Piły, korzystając z czasu, ze zdwojoną szybkością przebodły trzysta zasklepionych przez nas otworów. Tedy na każdego z nas przypadło nagle - dwa otwory, co nam ogromnie utrudniło pracę. Lecz nie na tem koniec. Przebiegłe Piły, chcąc nam widocznie do reszty pracę utrudnić i wszelkie zbawienie uniemożliwić, przepiłowały nagle trzysta zgoła nowych otworów w zgoła nowych miejscach. Tedy - na każdego z nas wypadło już po trzy otwory - do zasklepienia. Walka trwała nieustannie i doszło wreszcie do tego, że każdy z nas w swej pieczy i w swojej odpowiedzialności miał dziesięć olbrzymich otworów, sześć sporych szczelin i dwie nieznaczne, ale niebezpieczne szpary. Piły dopięły swego! Praca stała się - niemożliwa! Zwątpiliśmy o ocaleniu! Woda strumieniami wrywała się do okrętu, szumiąc, pieniąc się i sycząc. Okręt szedł na dno. Czekała nas okrutna śmierć wśród Pił.

»Panowie załoga! - zawołał kapitan. - Wolałbym skonać pod siekierą zwykłego drwala, niż pod ostrzem tych Pił! Zanim zdążymy wodą się zachłysnąć i stracić przytomność, potwory te będą nas piłowały na dwoje, i na troje i nawet na czworo. Piłowanie konających - oto jest ich czynność i działalność podwodna! Dalej więc - porzućmy bezużyteczną pracę i wracajmy na pokład! A nuż uda się nam obmyśleć inne środki zbawienia«.

Usłuchaliśmy rady kapitana i w okamgnieniu przedostaliśmy się na pokład. Radość napełniła nasze serca, gdyśmy ujrzeli, że okręt podczas naszej na pokładzie nieobecności tak się zbliżył do wspomnianej wyżej wyspy nieznanego nazwiska, że z pomocą odpowiednich a nieludzkich skoków mogliśmy od biedy przerzucić się z pokładu na brzeg wyspy.

Stanęliśmy szeregiem na pokładzie i zaczęliśmy skakać kolejno. Pierwszy skoczył kapitan. Skoczył tak, że nieomylnie upadł na brzeg wyspy, zlekka jeno nadwieruszywszy prawej i pobieżnie nadwichnąwszy lewej nogi. Po nim zabrali się do skoków marynarze, którzy skakali jeszcze lepiej od kapitana tak, że nawet w skoku nie wypuszczali z gęby swych zapalonych fajek. Wreszcie przyszła kolej na mnie. Nigdym w życiu nie skakał na taką odległość i w takich okolicznościach. Niedoskoczyć do wyspy i wpaść po drodze do morza znaczyło tyle, co być - przepiłowanym. Kilka razy już przysiadłem na pokładzie, aby tem sprężyściej i tem rozpędniej odbić się w powietrze, i tyleż razy prostowałem się bez skutku, bojąc się spudłować. Wreszcie przyszedł mi do głowy pomysł doskonały. Zerwałem jeden z wielkich żagli i, ująwszy go za końce, rozpostarłem nad głową. Wicher uderzył w żagiel i wydął go nade mną. Wówczas przysiadłem i, z całych sił odbiwszy się od pokładu, poskoczyłem, a raczej pofrunąłem, gdyż żagiel trzymał mię w powietrzu i ułatwiał niezmiernie przelot z okrętu ną wyspę. Gdym sfrunął na brzeg wyspy, - kapitan wraz z całą załogą winszował mi mego pomysłu. Ogarnęła nas wszystkich radość niezmierna. Oszukane w ten sposób Piły ze złością miotały się w morzu, ukazując od czasu do czasu swe ostre, zębate narzędzia.

Wyruszyliśmy niezwłocznie w głąb wyspy, aby zbadać, gdzie jesteśmy, i poszukać pożywienia.

Pożywienia nie znaleźliśmy, ale zato trafiliśmy na jakąś dziwną, niezwykłą osadę, złożoną z lepianek, pokrytych mchem i liszajami.

Większy jeszcze podziw zbudziła w nas osobliwa ludność tej osady. Były to karły, podobne do małych psiaków. Skóra ich była czarna, jak heban, a oczy purpurowe i błyskotliwe, jak żużle. Pod szerokim nosem z ruchliwemi nozdrzami, szerzyła się olbrzymia paszcza, uzbrojona w wielkie, białe kły. Zoczywszy nas zdala, zaczęły rękami dawać znaki uprzejme, zapraszając w gościnę.



»Kapitanie - rzekłem - nie dowierzam jakoś tym ludziom i ich gościnności. Podobni są raczej do djabłów, niż do ludzi«.

»Pozory mylą - odrzekł kapitan. - Częstokroć spotykałem w życiu ludzi potwornych z dobrem sercem, i ludzi pięknego oblicza - pozbawionych zgoła serca. Myślę, iż śmiało możemy zaufać znakom, które nam dają. Z pewnością wśród tych potworów znajdziemy tkliwszą opiekę i gościnność, niż gdzieindziej«.

Marynarze społem potwierdzili słowa kapitana. Pośpiesznym tedy krokiem zbliżyliśmy się do osady. Karzełki otoczyły nas i przyglądały się nam ciekawie z jakimś dziwnym, rzekłbym, smakowitym wyrazem twarzy.

»Kapitanie, - szepnąłem znowu - czy nie uważasz, iż te karły patrzą na nas zbyt smakowicie? Czy nie jest to spojrzenie wytrawnych i wybrednych ludożerców? Patrzą bowiem tak, jakby przemyśliwały nad tem, jakiemi korzeniami i sosami przyprawić to mięsiwo, które tymczasem uważamy za własne, niejadalne i nietykalne ciało«.

»Jesteś zbyt podejrzliwy, - odrzekł kapitan - są to raczej dobroduszne potwory, które chcą się z nami podzielić zapasami swojej żywności«.

Marynarze znów potwierdzili słowa kapitana, zaś on na migi starał się powiadomić karły, iż odczuwa głód i pragnienie. Karły natychmiast odgadły porozumiewawcze ruchy kapitana. W tłumie ich powstał zgiełk i wrzawa. Widocznie naradzały się nad czemś, i kapitan niezwłocznie nam wyjaśnił, iż jego zdaniem naradzają nad wyborem potraw, ażeby wystawnem jedzeniem godnie uczcić nasz pobyt na wyspie. W okamgnieniu roje karłów zakrzątnęły się wokół i natychmiast jedne z nich ustawiły przed nami stół, drugie - zydle, a reszta pobiegła do pobliskiej lepianki, z której wypadła gwarnie, niosąc dziwaczne kielichy i pokrętne butle.

Zasiedliśmy do stołu w oczekiwaniu jadła i napoju. Karły podały nam kielichy i ze wstrętnym uśmiechem na twarzy napełniły zielonkawym trunkiem z pokrętnych butli. Trunek ten wydzielał woń tak gęstą, ponętną, upajającą i oszałamiającą, że kapitan i wszyscy marynarze z zachwytem wychylili do dna swe kielichy, zanim zdążyłem ich ostrzedz. Byłem pewien, że trunek ten zawierał jakieś zioła senne, które odbierały przytomność i obezwładniały najzupełniej tych, co się nie oparli
105 ~ jego wonnym urokom. To też nie opróżniłem swego kielicha. I dobrzem

uczynił. Domysły moje sprawdziły się niebawem. Kapitan - pierwszy, a po nim kolejno wszyscy marynarze nabrali dziwnych, obłędnych, nieprzytomnych wyrazów twarzy. A był to obłęd dziwny i nieprzytomność osobliwa, zaczęli bowiem mówić rzeczy tak niespodziane, że włosy dęba stanęły mi na głowie! Oto ni mniej, ni więcej, ale z wielkim znawstwem i amatorstwem jęli doradzać rozmaite przyprawy i sposoby smażenia, najbardziej odpowiadające gatunkowi ich ciał. Zauważyłem z przerażeniem, iż karły nasłuchują uważnie tego, co mówią owi nieprzytomni. Widocznie świadome były naszego języka, chociaż udawały, że nic nie rozumieją.

Kapitan, macając swe pulchne policzki i pomlaskując przytem językiem, mówił nawpół do nas, nawpół do siebie:

»Z takich policzków warto dwa befsztyki na świeżem masełku usmażyć. Zlekka po wierzchu obrzuciłbym je struganym chrzanem i otoczyłbym wieńcem z rumianych, tymże masłem przepojonych kartofelków«.

Na to jeden ze starych marynarzy, uderzając się po żylastych udach, zawołał:

»Z takich udźców szynkę bym uwędził nie na zwykłym dymie, lecz na jałowcowym, gdyż ten ostatni dodaje osobliwego smaku, odsmaku i posmaku«.

Wówczas jeden z młodszych marynarzy, przyglądając się swym dłoniom kościstym, rzekł z uśmiechem zadowolenia:

»Dobry byłby ze mnie rosołek - rosołek na kościach z dodatkiem pietruchy, marchwi, selerów tudzież kilku wonnych liści kapuścianych«.

Zgadłem, że karły posiadały znajomość naszego języka, gdyż jeden z nich w stroju kucharza podbiegł do kapitana i do dwóch wspomnianych marynarzy i, poklepawszy ich po ramieniu, zawołał:

»Dalej, za mną do kuchni - mój befsztyczku, mój rosołku i moja szynko, jałowcowych dymów spragniona!«

Kapitan i dwaj marynarze usłużnie powstali ze swych miejsc i poszli w ślad za kucharzem. Nadaremnie wołałem ich po imieniu! Nie słyszeli, nie chcieli słyszeć mych wołań i przestróg! Szatański napój oszołomił ich w sposób tak dziwny, iż rozkoszą przejmowała ich sama myśl o tem, że będą użyci do smakowitych, przez nich samych obmyślonych potraw! Szli - upojeni swym losem, nieprzytomni od obłędnej radości, rumiani od wypitego trunku, który trucizną szału zaprawił ich krew.

W ich do kuchni pochodzie mogłaby ich powstrzymać ta jedna chyba wiadomość, że kucharz zamierza użyć ich do innych potraw, niż te, do których zgodnie z własnem przekonaniem byli przeznaczeni nieodparcie. Gdyby ktokolwiek szepnął do ucha kapitanowi, iż zeń nie befsztyk, ale zwykłą pieczeń lub sztukę mięsa uczynią, kapitan napewno spłonąłby ze wstydu, lub uniósłby się gniewem. Ogarnął mię żal, wstyd i przerażenie. Cóż mogłem jednak począć?
Nikt nie dawał posłuchu moim przestrogom, które zawczasu czyniłem. Teraz było już zapóźno! Wszyscy moi towarzysze stracili przytomność. Wstrętny i niezrozumiały szał rozpanoszył się w ich duszach, zatrutych osobliwym trunkiem. Każdy z nich śnił jeno i marzył o tem, jaką zeń potrawę uczyni potworny kucharz karłów. Widocznie karły były niezwykłymi smakoszami i prawa czy też obyczaje wzbraniały im uroczyście najmniejszej pomyłki w zastosowaniu materjału do odnośnych przeznaczeń kulinarnych, czyli w zastosowaniu treści do formy. Pomyłkę tego rodzaju uważano tu za zbrodnię i karano rożnem, czyli - mówiąc inaczej - pieczono skazańca na rożnie aż do skutku. Są to obyczaje wprost potworne, szczególniej ze stanowiska ludzi kulturalnych, którym nie ciężą żadne popędy ludożercze. Wiedziałem, że stracę kolejno wszystkich towarzyszy i że zostanę na wyspie - samotny. Tak się też stało. Po pewnym czasie potworne karły spożyły wszystkich moich przyjaciół, nie pozostawiając mi ani jednego.
Postrzegłem, iż ogół karli wyczekuje moich zleceń kulinarnych, dotyczących własnej mojej osoby. To też zdziwiono się powszechnie, gdy żadne tego rodzaju zlecenie z ust moich nie wyszło. Domyśliły się potwory, żem powściągnął się od wypicia ich trunku. Ponieważ w osadzie ich było kilka ogrodów owocowych, tedy karmiłem się zrywanymi tam owocami, czego mi nie wzbraniano.
Pewnego dnia postanowiłem jednak raz na zawsze porzucić przeklętą osadę, choćby mię po za nią śmierć głodowa miała spotkać. Postanowienie to zapadło we mnie w chwili, gdym, wlazłszy na jabłoń, rwał dojrzałe owoce i smakowicie je pożerał.
Nagle posłyszałem w ogrodzie jakiś śpiew dziewczęcy. Zdziwił mię przyjemny, uroczy niemal dźwięk głosu, ponieważ wszystkie karły miały głos przeraźliwie ochrypły. Domyśliłem się natychmiast, że śpie-

waczka nie jest z rodu karłów, i obejrzałem się za siebie, aby sprawdzić, kto śpiewa.
Ujrzałem w bocznej alei ogrodu młodą dziewczynę, bardzo piękną, ale zgoła czarną. Szła wprost ku mnie i, zbliżywszy się do drzewa, na którego sękatej gałęzi właśnie siedziałem, podniosła ku górze oczy turkusowe i rzekła:
»Dzieńdobry!«
»Dzieńdobry - odpowiedziałem. - Czy masz mi coś do powiedzenia?«
»Mam«.
»A więc słucham«.
»Nie jestem czarna, jeno biała«.
»O ile mię jednak oczy nie mylą - jesteś czarna« - odparłem.
»To złudzenie! - zawołała dziewczyna. - Jestem biała, jak alabaster! Jestem córką króla Alkarysa, nazywam się Armina. Ojciec mój rok temu zabłąkał się w lasach tej wyspy. Wędrując po niej, dotarliśmy do tej wstrętnej osady. Ojciec, znaglony pragnieniem, wychylił do dna kielich, podany przez karły. Napój, w tym kielichu zawarty, odebrał mu przytomność. Sam kazał zawołać kucharza i polecił mu, aby zeń uczynił potrawkę duszoną z kaparami i korniszonami. Nadaremnie płakałam, załamując dłonie! Nadaremnie błagałam ojca, aby poniechał takich zleceń i aby nie wchodził do kuchni, gdzie już zawczasu rozpalono dlań ogień! Nie pomogły moje płacze, ani błagania. Ojciec mój z jakąś niezrozumiałą dla mnie ochotą i skwapliwością, wziąwszy kucharza pod rękę i poufale szepcząc mu do ucha szczegółowe co do własnej osoby zlecenia i porady kulinarne, poszedł z nim razem do okrutnej kuchni, pozostawiając mię mym własnym losom. Szedł ze źle ukrytym pośpiechem i zniecierpliwieniem, jakby się nie mógł doczekać tej chwili, gdy zeń wreszcie zrobią potrawkę, zaprawną kaparami i korniszonami. Nie chcę ci drobiazgowo opowiadać o tem co się stało. Dość, że straciłam ojca. Osierocił mnie przed czasem. Żył jako król, - zginął, jako potrawka! Zostałam sama. Uniknęłam obłędu i szału, ponieważ nie znoszę żadnych trunków. Karły pozwalają mi tu mieszkać i karmić się owocami. Znosiłabym mężnie moją samotność, gdyby nie ta okropna okoliczność, że jeden z karłów zakochał się we mnie i pomalował mię na czarno nietyle dla niepoznaki, ile dlatego, że moja białość przesłaniała jego ślepiom całkowity czar mej postaci«.

»Czy jesteś jego żoną?« - spytałem.
»Tak« - szepnęła, spuszczając oczy.
»Czy poślubiłaś go z własnej woli?«
Dziewczyna znowu podniosła ku mnie swe turkusowe oczy.
»Nie! - odparła. - Zmusił mnie pod grozą śmierci«.
»Postanowiłem dzisiaj raz na zawsze opuścić tę osadę. Czy chcesz mi towarzyszyć w mej wędrówce?«
»Chcę!« - zawołała dziewczyna.
»Jestem dość kochliwy - mówiłem dalej - i bardzo być może, iż pokocham ciebie, gdy poznam bliżej. Trudno mi teraz zapewnić tobie moją miłość, ponieważ czarność twej twarzy przesłania mym oczom całkowity czar twej postaci, myślę jednak, że da się tę czarność odmyć lub odbarwić«.
»Nie da się« - szepnęła smutnie Armina.
»Czemu?« - spytałem.
»Potworny karzeł poczernił mię taką maścią, że wszelkie odmycie lub odbarwienie może mię o śmierć przyprawić. Rozwieję się w nic i zniknę ci z przed oczu, jako sen«.
Nic jej na to nie odpowiedziałem.
»Kiedyż zamierzasz opuścić osadę?« - rzekła po chwili.
»Jak tylko wieczór nastanie«.
»Czyś odmienił swój pomysł pierwotny, czy też mogę ci towarzyszyć w twej wędrówce pomimo, iż narzucona mi czarność cery przesłania twym oczom całkowity czar mej postaci?«
»Możesz mi towarzyszyć« - odrzekłem.
»O, Boże! - westchnęła dziewczyna. - Co ja pocznę, nieszczęśliwa! Jednemu przeszkadza moja białość, drugiemu zawadza moja czarność. Jeden mnie poczernił, drugi chce pobielić! Ten mię pobarwił, ów chce odbarwić! Same troski, same nieporozumienia!«
»Nie płacz, dziewczyno! - zawołałem z drzewa. - Nie wzdychaj tak ciężko i nie załamuj dłoni! Skoro wieczór nadejdzie, uciekniemy z osady i może uda się nam dotrzeć do jakiejś pięknej krainy, gdzie niema ani trosk, ani nieporozumień«.
Skoro wieczór nadszedł i pierwsza gwiazda ukazała się w niebiosach, wymknąłem się razem z Arminą do najbliższego lasu i, co tchu przebiegłszy las, wydostałem się na równinę a stamtąd na brzeg wyspy.
 Traf chciał, że jakiś okręt przygodny płynął opodal brzegu - w kie-

runku, jak mi się zdawało, Balsory. Począłem wrzeszczeć z całych sił, aby ściągnąć na siebie uwagę załogi. Zauważono nas z pokładu i skierowano okręt do brzegu.
W pół godziny potem siedziałem już razem z Arminą na pokładzie i opowiadałem kapitanowi i marynarzom dziwne moje przygody.
Omyliłem się wszakże, sądząc, iż okręt płynie w kierunku Balsory, zdążał on do nieznanego mi państwa króla Pawica. Kapitan i marynarze byli właśnie poddanymi tego króla. O ile mogłem sądzić z ich opowiadań, król Pawic był niezmiernie serdecznym i dobrodusznym człowiekiem. Zachęcali mię bardzo, abym razem z moją czarną towarzyszką zamieszkał na stałe w ich ojczyźnie, gdzie znajdę przyjaźń i gościnę. Zapytywali mię też z ciekawością, gdziem znalazł taką czarną towarzyszkę podróży? Opowiedziałem im niezwłocznie historję Arminy. Gdym skończył, jeden ze starych, wytrawnych marynarzy rzekł, klepiąc mię po ramieniu:
»Nie trap się i nie smuć przypadkowo nabytą czarnością twej towarzyszki. Znam ja się na tych rzeczach i dlatego też zawsze mam przy sobie w kieszeni maść, która wszelką tego rodzaju czarność wywabia bez śladu. Udzielę ci tej maści i zobaczysz, jak twoja dziewczyna zbieleje«.
»Niestety! - zauważyłem - odmycie lub odbarwienie tej czarności przyprawi moją towarzyszkę o śmierć niechybną, jak to jej zapowiedział wstrętny karzeł«.
»Kpij sobie z karła i z jego zapowiedzi! - rzekł na to stary i wytrawny marynarz. - Chciało się czarnemu karłowi czarnej żonki, więc jej przebiegle uniemożliwił zbyt zresztą łatwy powrót do białości zmyśloną pogróżką śmierci. Nic się złego dziewusze nie stanie, jeśli zbieleje i znowu do ludzi się upodobni. Ufaj staremu i wytrawnemu marynarzowi, który jednocześnie jest posiadaczem zbawiennej maści. Nikogo jeszcze białość do grobu nie wpędziła! Im więcej człowiek ma ludzkiego wyglądu, tem raźniej czuje się na ciele i na duszy«.
Mówiąc to, stary i wytrawny marynarz wyjął z kieszeni słoik ze wspomnianą maścią i podał mi go z uśmiechem:
»Poniechaj wiary w bajki i strachy, a korzystaj lepiej z mojej maści. Posmaruj tą maścią dziewczynę o samej północy, a zbieleje bezmała,
 jak lilja!«

Słowa starego i wytrawnego marynarza nietylko mnie, lecz nawet Arminie trafiły do przekonania. Postanowiliśmy natychmiast oboje skorzystać z ofiarowanej mi maści. Herminę dręczył wprawdzie jakiś nieokreślony niepokój, lecz starała go się stłumić.

»Nareszcie zbieleję i po dawnemu będę podobna do alabastru - mówiła, patrząc mi prosto w oczy. - Radość rozpiera mi piersi na samą myśl o tem, że przeciwna memu przyrodzeniu czarność nie będzie już przesłaniała twym oczom całkowitego czaru mej postaci! Ów mię poczernił, ty zaś mię pobielisz i wszystko będzie jaknajlepiej!«

Wszakże spokój i wesołość Arminy były udane. Zauważyłem, iż mówi o sobie częstokroć w czasie przeszłym, jak o kimś, co już nie żyje. Raz nawet w trwożnem i osobliwem roztargnieniu szepnęła:

»Kiedy żyłam na świecie, zawsze wyczekiwałam jakiegoś ogromnego, większego ode mnie samej szczęścia, ale szczęście nie przyszło. Dziś, gdy już mnie niema, czuję, iż jestem o wiele większa od owego szczęścia, które nie przyszło«...

«Nie mów Armino o sobie, jak o umarłej - szepnąłem, biorąc ją za rękę. - Trwogą przejmują mnie twoje słowa i ów czas przeszły, którego stale używasz dzięki roztargnieniu. Bądź jaknajlepszych myśli. Stary marynarz ma słuszność«.

»Zapewne ma słuszność« - potwierdziła Armina.

»Gdy noc zapadnie« - mówiłem dalej.

»Noc już zapadła« - przerwała Armina.

Teraz dopiero odczułem, do jakiego stopnia byłem przejęty tem, co się stać miało. Nie zauważyłem nawet nadejścia nocy. Gwiazdy już migały w niebiosach i cisza nocna trwała na obszarach morza.

Milczeliśmy długo, bardzo długo i żadne z nas nie chciało, czy też nie śmiało naruszyć tego milczenia. Wreszcie postanowiłem odezwać się pierwszy.

»Gdy północ się zbliży« - zacząłem.

»Już się zbliżyła« - przerwała mi znowu Armina. Na pokładzie było pusto. Podałem Arminie słoik z maścią. Wzięła go drżącą dłonią i spojrzała mi w oczy.

Była właśnie północ. Armina pogrążyła swe czarne palce w słoiku i dotknęła nimi swej twarzy. Niezwłocznie twarz i dłonie i szyja zbielały.

Przede mną stała cudowna, biała jak alabaster, królewna. Wyciągnąłem ku niej dłonie, lecz nie podała mi swoich.
»Armino, czemu nie podajesz mi swych dłoni ?»
Armina milczała.
Spojrzałem w jej oczy turkusowe, lecz z powodu nocnego mroku nie mogłem dojrzeć ich wyrazu.
Armina bielała coraz bardziej, bielała z każdą chwilą, bielała nieustannie, tak, iż wkońcu pokryła się dziwną, przeraźliwą białością.
»Armino! - szepnąłem znowu. - Co tobie ? Czemu nic nie mówisz ? Czemu jesteś tak przeraźliwie biała ?«
Trwała nadal bez ruchu, wsparta o ścianę okrętu. Dotknąłem jej dłoni. Były zimne, jak lód. Dotknąłem czoła i powiek i ust... Zimne były usta, i powieki, i czoło... Zrozumiałem wszystko... Białość jej była białością trupią...
Mimo to - Armina wciąż jeszcze bielała. Postać jej stała się teraz niemal przezroczą i chwiała się od lada powiewu. Wreszcie postrzegłem, że to już nie Armina stoi przedemną, lecz jakaś dziwna, martwa, przejrzysta istota, utkana z nikłych, białych puchów kwietnych. Gwałtowny i nagły poryw wiatru w okamgnieniu rozwiał te puchy w nic, zdmuchnął je kędyś w powietrze, które natychmiast napełniło się czarowną, kwietną wonią. Wdychałem tę woń, powtarzając nieustannie: »Armino! - Armino! - Armino!«...
Arminy już nie było.
Całą noc przepłakałem. Nazajutrz opowiedziałem załodze wszystko, co się stało. Stary i wytrawny marynarz rozpłakał się, jak dziecko. »Bóg widzi, żem od pierwszego wejrzenia polubił tę dziewczynę! - rzekł z mocą. - Chciałem jej wyświadczyć przysługę, a pokrzywdziłem ją zgonem przedwczesnym. Mnieby tam niebardzo jej czarność przeszkadzała, ale stary jestem i wytrawny więc zaraz zmiarkowałem, że owa czarność stoi ci na zawadzie do poślubienia dziewczyny. Dlatego tylko doradziłem ci użycie maści, której zwrot, mówiąc nawiasem, jest mi wielce pożądany, mam bowiem żonę, której twarz od czasu do czasu czernieje, tedy dla elegancji - ilekroć wracam do domu - stosujemy tę maść należycie«.
Oddałem mu słoik z maścią, gdyż podniosłem go z pokładu, gdzie go dłoń Arminy uroniła.

Zbliżyliśmy się właśnie do wyspy, na której znajdowało się państwo króla Pawica. Okręt przybił do brzegu i pośpiesznie wysiedliśmy na ląd, nieco zmęczeni podróżą. Kapitan niezwłocznie zaprowadził mię do pałacu króla Pawica, aby - wedle zwyczaju - przedstawić królowi cudzoziemca.

Król Pawic siedział właśnie na tronie i czytał jakieś niezwykle zajmujące bajki, gdyż nie zauważył nawet naszego wnijścia.

»Królu - rzekł dość głośno kapitan - przyprowadzam ci cudzoziemca, który pragnie oglądać twe oblicze«.

Król nie oderwał oczu od książki z bajkami. Zapewne odczytywał jakieś zabawne miejsce, bo uśmiechnął się sam do siebie i czytał dalej.

»Królu! - zawołał głośniej kapitan. - Przyprowadzam ci cudzoziemca, który pragnie oglądać twe oblicze«.

Król i tym razem nie oderwał oczu od książki. Zapewne odczytywał jakąś smutną przygodę, bo oczy mu się rozszerzyły a twarz nabrała wyrazu trwogi i rozciekawienia.

»Królu! - wrzasnął kapitan. - Przyprowadzam ci cudzoziemca, który pragnie oglądać twe oblicze!«

Król czytał dalej. Trafił zapewne na jakąś zawiłą i dobiegającą do końcą historję, bo sapał z rozciekawienia i niecierpliwie podrygiwał nogą.

Kapitan, straciwszy wszelką nadzieję na zbudzenie uwagi królewskiej, zwrócił się do mnie:

»Wrzask mój widocznie nie wystarcza. Byłoby chyba najlepiej, gdybyśmy razem, wspólnemi siłami i zgodnym chórem wrzasnęli jednakie zdanie«.

»Owszem - odrzekłem - nie mam nic przeciwko temu, chciałbym tylko wiedzieć, jakie zdanie mam wykrzyknąć«.

»To samo, które dotąd nadaremnie powtarzam« - odparł kapitan.

»Będzie to poniekąd śmieszne, jeśli sam o sobie wykrzyknę zdanie, które ktoś inny może tylko o mnie wygłosić« - zauważyłem, nieco zakłopotany.

»Nic nie szkodzi! - przerwał mi kapitan. - Idzie tylko o to, aby na dwa głosy wrzasnąć to, com dotąd jednym głosem owrzaskiwał«.

Kapitan dał znak i wrzasnęliśmy obydwaj:

»Królu, przyprowadzam ci cudzoziemca, który pragnie oglądać twe oblicze!«

Tym razem król oderwał oczy od książki i przeniósł je najpierw na mnie, a potem na kapitana.

»Kto mówił i do kogo ?« - spytał po chwili namysłu. Znać było, iż nie otrząsnął się jeszcze z wrażeń, których mu udzieliła przeczytana bajka. Wzrok jego był wciąż roztargniony, a myśl daleka od rzeczywistości.

Kapitan tedy wytłumaczył mu, że jestem cudzoziemcem i stawiam się przed oczy królewskie według pradawnego zwyczaju.

»A, bardzo to pięknie z twojej strony, młody cudzoziemcze, że nawiedzasz naszą krainę. Przerwałeś mi wprawdzie niezmiernie ciekawą bajkę, którą właśnie kończyłem, ale, niestety, zawsze ktoś komuś musi coś przerwać. Podobasz mi się bardzo i śmiało rzec mogę, iż od pierwszego wejrzenia poczułem dla ciebie sympatję. Możesz tedy zamieszkać w mojem państwie, lecz muszę cię uprzedzić, że według naszych odwiecznych zwyczajów żaden, najsympatyczniejszy nawet, cudzoziemiec niema prawa poślubić naszej poddanej bez specjalnego królewskiego zezwolenia«.

Król raz jeszcze spojrzał na mnie uprzejmie i dał znak dłonią, iż audjencja - skończona.

Skłoniłem się i wyszedłem z pałacu wraz z kapitanem.

Zamieszkałem w jednym z pomniejszych domostw, które się znajdowały w pobliżu pałacu królewskiego. Obok mnie mieszkał kupiec nazwiskiem Hassan, który miał niezwykle piękną żonę Korybillę. Zaprzyjaźniłem się z nimi i odtąd całe dnie i wieczory spędzałem w ich domu na rozmowach.

Zauważyłem, iż państwo króla Pawica odznacza się dwiema osobliwościami. Po pierwsze - wszystkie bez wyjątku kobiety są niezwykle piękne i czarujące. Powtóre zaś - mężczyźni, pomimo zapału do konnej jazdy, wcale nie używają, a nawet nie znają, siodeł.

»Czyliż to być może - spytałem Hassana i Korybilli - że w państwie waszem nikt nigdy nie używał siodła ?«

»Czego ?« - zawołali oboje ze zdziwieniem.

»Siodła« - powtórzyłem.

»Nie znamy tego słowa i nie wiemy, co znaczy, a przeto trudno nam odpowiedzieć na twoje pytanie«.

 Starałem się rozmaicie wytłumaczyć im znaczenie tego słowa.

»Jest to miękki przedmiot, - rzekłem - który wtłacza się na grzbiet koniom, aby udogodnić jeźdźcowi jego konne stanowisko«.
»Czemuż w takim razie to, co ma stanowić wygodę jeźdźca, wtłacza się na grzbiet koniom, nie zaś jeźdźcom?« - spytali oboje.
»Dla tej prostej przyczyny, że siodło ma na celu utworzenie pewnego przedziału pomiędzy jeźdźcem a koniem«.
»W takim razie nie pojmujemy, czemu ten, co chce konia dosiąść, jednocześnie powinien się starać o przedział pomiędzy sobą a koniem«.
»Grzbiet koński - mówiłem dalej - jest wąski i twardy. Łatwo zeń stoczyć się na ziemię. Tymczasem siodło jest szerokie i miękkie, można utrzymać się na niem doskonale i uniknąć upadku«.
»Nikt jeszcze w naszem państwie z konia nie spadł - zauważył Hassan - to też nie pojmuję, w jakim celu mamy się posługiwać przedmiotem, który właśnie chroni od upadku«.
»Widzę, że mi się nie uda wytłumaczyć wam wszystkich przewag siodła. Otóż, zamiast tłumaczyć, zajmę się wyrobem siodeł, a wówczas sami osobiście sprawdzicie ich użyteczność. Będzie to dla mnie zajęcie wielce zyskowne. Zasłynę bowiem w waszym kraju jako pierwszy rymarz i wynalazca siodeł. Prócz tego - sprzedaż siodeł zapewni mi dochody znaczne, a jestem narazie pozbawiony odpowiednich środków do życia«.
Zająłem się tedy wyrobem siodeł. W ciągu kilku miesięcy mieszkanie moje zapełniło się po brzegi tysiącem najwytworniejszych siodeł. Ogłosiłem wówczas całemu miastu, iż nauczę wszystkich używania do konnej jazdy nowego przysposobienia, które się nazywa siodłem, a które, udogodniając konną jazdę, chroni jednocześnie od upadku. Oznaczyłem godzinę próby i wybrałem na miejsce pokazu najobszerniejszy plac w samym środku miasta.
O godzinie oznaczonej cała ludność zgromadziła się na placu.
Sprowadzono tysiąc rumaków, na których zazwyczaj rycerze króla Pawica jeździli oklep.
Stanąłem na środku placu, otoczony stosami spiętrzonych siodeł i mając u boku mych przyjaciół - Hassana i Korybillę, którzy z ciekawością wyczekiwali moich pokazów.
Wybrałem dla doświadczeń pierwszego z brzegu rumaka, osiodłałem go i dosiadłem. Jąłem kłusować po placu, aby dać możność obecnym dokładnego przyjrzenia się mojej jeździe. Poczem, zsiadłszy z rumaka,

zaproponowałem, aby zkolei ktokolwiek z rycerzy dosiadł go i wypróbował przewagę siodła nad jazdą oklep. Nikt wszakże z rycerzy nie chciał się odważyć na próbę. Jedni zdradzali oznaki czegoś w rodzaju wstydu, którego przyczyn zrozumieć nie mogłem. Drudzy najwidoczniej bali się siodła, niby jakiejś zasadzki lub pułapki djabelskiej. Inni zaś wymawiali się tem, że nie są w tej chwili usposobieni do jazdy konnej. Inni jeszcze mówili:
»Jakżeż możemy dosiąść konia, który ma na grzbiecie coś zgoła niekońskiego, a tak zbytecznego, jak wrzód lub garb? Chętnie zresztą dosiądziemy tego rumaka, o ile ów pomysłowy cudzoziemiec umieści swe siodło zdala od grzbietu - pod brzuchem końskim, lub przytwierdzi je do ogona«.
Usilne moje namowy z pewnością spełzłyby na niczem, gdyby nie to, że sam król Pawic przybył nagle na plac.
Wysłuchawszy cierpliwie moich objaśnień oraz zarzutów rycerzy, rozkazał mi raz jeszcze dosiąść osiodłanego rumaka. Uczyniłem to natychmiast i znowu objechałem plac dokoła.
Król przyglądał mi się uważnie i z widocznym podziwem. Gdym zeskoczył z rumaka, rzekł do mnie z wielkiem uznaniem:
»Pomysł twój jest wspaniały i ma zapewne na celu rzucanie postrachu na wroga podczas bitwy. Wyglądałeś tak strasznie, żem musiał czynić nadludzkie wysiłki, aby nie uciec, lub nie zemdleć! Król, który skorzysta z twego pomysłu, ma zapewnione na wojnie zwycięstwo, żaden bowiem, najodważniejszy nawet nieprzyjaciel nie ustoi przed widokiem straszliwych jeźdźców, którzy, prócz grzbietu końskiego, mają jeszcze pod sobą tak potworny, a tak zbyteczny przyrząd! Proszę cię tedy, abyś osiodłał wszystkie rumaki nasze, gdyż chcę sam osobiście wraz z całą moją ludnością męską dosiąść rumaków osiodłanych«.
Zacząłem tedy siodłać rumaki. Siodłałem je trzy dni i trzy noce, - na czwarty dzień raz jeszcze pokazałem królowi i rycerzom, którą nogą powinni wstąpić w strzemię, a którą zarzucić na konia.
Ludność kobieca też się zgromadziła na placu, aby się przyglądać niezwykłemu widowisku.
Na dany znak - król i wszyscy rycerze dosiedli rumaków i wyruszyli kłusem za miasto. Niestety - król przez zapomnienie prawą nogą wskoczył do strzemienia, a lewą przerzucił przez grzbiet koński, to też pę-

dził teraz na czele całego hufu, odwrócony tyłem do łba końskiego, a przodem do ogona, który dość krzepko dzierżył w dłoni w celu utrwalenia swego na grzbiecie stanowiska.
Ja i cała ludność kobieca - pokłusowaliśmy w ślad za jeźdźcami, aby śledzić dalsze ich losy. Nadaremnie dawałem królowi znaki, aby się zatrzymał i odmienił swoją przykrą pozycję. Król uśmiechał się do mnie dobrodusznie i wołał:
»Nie mam czasu!«
Albo wrzeszczał:
»Za późno, za późno!«
Ten ostatni wrzask królewski zbudził we mnie dość uzasadnione przypuszczenie, iż król, mając w dłoniach jeno ogon koński, nie może ani powstrzymać rumaka, ani kierować jego biegiem. Postrzegłem przytem, iż król bywał to blady, to czerwony i wyprawiał na koniu dziwne podrygi i poskoki. Blednął, poskakując wzwyż, - zaś czerwieniał, spadając zpowrotem na siodło.
Inni zato rycerze, jak mi się zdawało, tkwili na koniach należycie. Jeźdźcy wbiegli właśnie na wzgórze, które się za miastem wznosiło i stamtąd wzięli rozpęd ku zieleniejącej u stóp wzgórza dolinie.
Ja i cała ludność kobieca zatrzymaliśmy się na szczycie wzgórza, aby ze szczytu poglądać na dalsze ich losy.
Król pierwszy stoczył się w dolinę, zgoła nieuśmiechniętą twarzą zwrócony ku nam, zaś tyłem - ku celowi swej własnej wycieczki.
Za nim stoczyła się reszta rycerzy. Wówczas stało się to, czegom się najbardziej obawiał. Zaledwo konie dotknęły kopytami wonnego podścieliska doliny, gdy król i wszyscy rycerze pospadali z siodeł na ziemię. Wśród całej ludności kobiecej, nie wyłączając mojej osoby, uczynił się zgiełk i zamieszanie, natomiast ludność męska zachowała spokój całkowity, leżąc rozmaicie na dnie doliny i nie starając się nawet czy też nie mogąc powstać na nogi.
Ja i cała ludność kobieca zbiegliśmy co tchu ze wzgórza w dolinę. Politowania godny widok przedstawił się naszym zapłakanym źrenicom! Król i rycerze doznali tak bolesnego upadku, że nie było nawet mowy o tem, aby o własnych siłach wrócili do domu! Przerażenie ludności kobiecej było tem większe, że od stworzenia ziemi nikt w państwie króla Pawica nie spadł dotąd z konia! Po raz więc pierwszy doznano tu te-

go rodzaju katastrofy i po raz pierwszy stwierdzono możliwość takich upadków!

Ludność kobieca zajęła się przenoszeniem rannych i uszkodzonych do ognisk rodzinnych. Poczem w mieście przez trzy miesiące zgórą trwała ponura i bezludna cisza. Cała bowiem ludność męska pod nieustanną pieczą kobiet leżała w łóżkach i czekała cierpliwie, aż rany się zagoją. Wreszcie, gdy już wszystkie rany zagoiły się i zabliźniły, zaczęto mi składać wizyty dziękczynne, gdyż tak kazały obyczaje i grzeczność. Pierwszy odwiedził mię król Pawic i ze łzami w oczach dziękował za mój wynalazek. Cały był pokryty sińcami, bliznami i guzami.

»Dobry to i ciekawy wynalazek - rzekł, łkając po cichu - ale ma jedną wadę, a mianowicie tę, że jest niewygodny«.

Mówiąc to, wręczył mi do rąk własnych siodło, które przyniósł pod pachą. Nazajutrz składała mi wizyty cała ludność męska, ściskając mię w milczeniu za dłonie i zwracając siodła, któremi ją obdarzyłem. Wkrótce mieszkanie moje znów się po brzegi wypełniło siodłami.

Przez czas długi nie wychodziłem z domu na ulicę, bom się wstydził pokazać na oczy tym, którzy tyle z mego powodu ucierpieli.

Po długim wszakże namyśle napisałem do króla list, treści następującej:

Miłościwy Panie!

Boli mię niezmiernie to, żem stał się mimowolną przyczyną tak wygórowanych klęsk i nieszczęść. Największym jednak dla mnie bólem - byłaby strata łaski Waszej Królewskiej Mości. Pomimo bowiem, iż zgodnie z odwiecznym swego kraju obyczajem Wasza Królewska Mość raczyła mi złożyć wizytę dziękczynną, wszakże zwrot siodła każe mi się domyślać, iż Wasza Królewska Mość nie jest ze mnie tak zadowolona jak ja - z Waszej Królewskiej Mości. Domysły moje potwierdza i ta okoliczność, żem w oczach Waszej Królewskiej Mości widział łzy dość gorzkie, a na czole - sińce, guzy i blizny. To też byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby Wasza Królewska Mość na dowód niezmiernej sympatji dla mojej osoby zezwoliła mi na poślubienie jednej ze swych poddanek, których uroda oddawna zastanawia moją uwagę, lecz których zbyt wielka liczba wzbrania mi jeszcze poszczególnego i stanowczego wyboru. Zezwolenie Waszej Królewskiej Mości na ów ożenek będzie dowodem, iż Wasza Królewska Mość nie chowa w swem sercu żadnej

do mnie urazy za nieszczęśliwą katastrofę, zdarzoną na kwietnem podścielisku wiadomej doliny.

Cudzoziemiec Sindbad.

Nazajutrz po wysłaniu powyższego listu otrzymałem pergamin, własnoręcznem pismem królewskiem zapisany, który głosił, co następuje:

My, król Pawic, władyka wyspy, książę wszystkich na wyspie ogrodów, wódz wszystkich na wyspie jeźdźców, arcykapłan wszystkich na wyspie obrzędów, arcyznawca ugrzecznień i gościnności, arcymiłośnik bajek i jazdy konnej, niniejszem wiadomem czynim, iż cudzoziemiec Sindbad mocen jest - zgodnie z Naszem zezwoleniem - pojąć za żonę jedną z naszych poddanek, których niezwykła uroda zastanowiła jego uwagę, a których zbyt wielka liczba wzbrania mu dotąd stanowczego i poszczególnego wyboru.

Król Pawic.

Otrzymawszy ów cenny pergamin, przykleiłem go co prędzej do szyby mego okna w ten sposób, że pismem zwrócony był na ulicę. Urok pergaminu był zapewne znaczny, gdyż wkrótce tłum kobiet zgromadził się pod mojem oknem i odczytywał uważnie pismo królewskie.
Mogłem tedy dowoli przyglądać się pięknym mieszkankom wyspy, aby nareszcie uczynić swój wybór i jednej z nich - na mocy królewskiego zezwolenia - zaproponować ożenek.
Wszystkie jednak były tak piękne, żem w żaden sposób nie mógł przenieść jednej nad drugą, gdyż wybierając jedną, pominąłbym i pokrzywdził resztę. Przyglądałem się i namyślałem tak długo, aż wreszcie noc zapadła i ulica opustoszała. Wszystkie mieszkanki wyspy udały się do swych domów - wszystkie, prócz jednej, która - pomimo nocy - wciąż jeszcze trwała pod mem oknem i zapewne po raz setny odczytywała pismo królewskie.
Otworzyłem tedy okno i rzekłem:
»Piękna samotnico, jak możesz psuć swe błękitne źrenice odczytywaniem po nocy tego pergaminu?«

»Treść tego pergaminu - odparła dziewczyna - jest tak ciekawa i porywająca, że wolę raczej popsuć swe oczy, niż pozbawić się rozkoszy odczytywania słów, które się barwią na jego powierzchni. Nazywam się Kaskada«.

»Piękne to imię - zauważyłem - znaczy niemal tyle, co wodospad. Pasjami lubię wodospady«.

»Szczęśliwy jesteś!« - szepnęła dziewczyna.

»Dlaczego?« - spytałem.

»Dlatego, że król obdarzył cię tak zaszczytnem zezwoleniem«.

»A cóżbyś uczyniła ty, gdyby król ci pozwolił poślubić cudzoziemca?«

»Wybrałabym ciebie!« - zawołała dziewczyna.

»Niechże się stanie, jako rzekłaś! - szepnąłem przez okno dziewczynie.- Nie mogłem sam się zdobyć na wybór, ale za to potrafię być wybrańcem!

Nazajutrz poślubiłem Kaskadę.

Pożycie nasze małżeńskie było szeregiem cudów, zachwytów, uśmiechów, rozrywek, nieustannych spacerów, ciekawych pogadanek, pośpiesznych uderzeń serca, złotych snów, i nie mniej złotych ocknień. Nic nie mroczyło naszego szczęścia, prócz jednego tylko dziwacznego narowu, który miała piękna Kaskada, - mianowicie od urodzenia trawiła ją niepokonana żądza zrzucania się ze szczytów skał i gór - w przepaści i otchłanie. Starałem się nieustannie śledzić Kaskadę i towarzyszyć jej we wszelkich wycieczkach, aby nigdy nie zostawała samotna. Pomimo to, kilka razy udało się jej opuścić dom bez mojej wiedzy, i tylko dzięki mojej niespożytej czujności zjawiłem się u jej boku na czas - w chwili, gdy miała właśnie skoczyć ze szczytu urwistej skały do ziejącej pod jej stopami przepaści. Porwałem ją w ramiona i poniosłem zpowrotem do domu.

Próżno tłumaczyłem jej całą bezrozumność i niebezpieczeństwo podobnych skoków. Nie mogłem w żaden sposób oduczyć jej owej wrodzonej, a nieprzepartej żądzy, która widocznie była potężniejsza od żądzy życia.

Tymczasem stał się wypadek, który mną wstrząsnął do głębi. Żona mego przyjaciela Hassana - piękna Korybilla, kąpiąc się w jeziorze, pogrążyła się nagle w tak niepokonanej zadumie, że nie postrzegła nawet chwili, gdy zaczęła tonąć. Z owej osobliwej zadumy nie otrząsnęła się nawet wówczas, gdy fale zalały jej oczy i usta. Utonęła nie wie-

dząc prawdopodobnie o tem, iż staje się topielicą. Zdarzyło się to nad ranem i nad ranem właśnie zbudziły mię rozdzierające serce krzyki mego sąsiada. Wybiegłem z domu na ulicę i zastałem go stojącego pod oknami swego mieszkania z dłońmi, załamanemi nad czołem. Wyraz jego twarzy był niemal obłędny. Płakał tak rozpaczliwie, że płacz jego nie tyle wzruszał, ile przerażał.

»Biedny Hassanie, - rzekłem - wiem, jakie nieszczęście nawiedziło ciebie. Uspokój się jednak i nie rozpaczaj tak straszliwie! Rozpacz nic nie pomoże. Jesteś jeszcze młody i życie masz przed sobą«.

»Drwisz chyba! - zawołał Hassan. - Życie jest już poza mną! Dziś wieczorem opuszczę ten świat raz na zawsze. Czyż nie wiesz o tem, że według naszych obyczajów, w razie śmierci jednego z małżonków - żywcem grzebią drugiego. Toć istnieje u nas przysłowie: »Kogo żona opuści - tego śmierć nie wypuści«. Albo inne przysłowie: »Za życia jak głaz z głazem - po śmierci zato razem«.

Mówiąc to, Hassan zapłakiwał się beznadziejnie. Słowa jego wzbudziły we mnie rozmaite obawy.

»Jakto! - zawołałem. - Czyż być może, aby w kraju, gdzie panuje poczciwy i dobroduszny król Pawic, istniał taki okrutny obyczaj!«

»Istnieje, niestety! - odparł, płacząc Hassan. - Dziś jeszcze wieczorem żywcem mnie pogrzebią! Razem ze mną złożą do grobu całe moje mienie ruchome oraz siedem chlebów i siedem dzbanów wody - jako posiłek na cały tydzień pod ziemią«.

Hassan jeszcze coś mówił, ale go już nie słuchałem. Pobiegłem co tchu do domu. Chciałem przekonać się, czy Kaskada, zgodnie z danem mi przyrzeczeniem, trwa posłusznie w domu. Bałem się, że wbrew przyrzeczeniu - wymknęła się z mieszkania, aby się wdrapać na szczyt jakiejkolwiek skały i rzucić się stamtąd w przepaść.

Zastałem ją jednak w domu. Wziąłem od niej ponownie uroczystą przysięgę, iż nie wyjdzie bez mojej wiedzy z mieszkania, i udałem się co prędzej do pałacu króla Pawica. Król Pawic, jak zazwyczaj, siedział na tronie i czytał bajki p. t. »Opowiadania cudowne«.

»Królu! - wrzasnąłem odrazu tak głośno, że król natychmiast oderwał oczy od książki i przeniósł je na mnie z pewnego rodzaju mimowolnem przerażeniem.

»Słucham« - rzekł grzecznie po chwili.
»Królu! - wołałem dalej. - Dowiedziałem się dzisiaj o istnieniu w twem państwie tak nieludzkiego obyczaju, że włosy dęba stanęły i zapewne dotąd stoją mi jeszcze na głowie«.
»Stoją - potwierdził król, przyglądając się mojej głowie. - A zatem, czem ci mogę służyć?«
Opowiedziałem mu wszystko, com słyszał z ust biednego Hassana, a potem dodałem:
»Powiedz mi, królu, czy cudzoziemcy też podlegają przemocy tego okrutnego zwyczaju?«
»Też« - odrzekł król zwięźle.
»Bez wyjątku?«
»Bez« - odparł król krótko.
»Więc i ja w razie stosownego wypadku musiałbym poddać się - niestety - temu obyczajowi?«
»Niestety!« - potwierdził król.
»Czy, jako cudzoziemiec, nie mógłbym otrzymać w tym smutnym skądinąd kierunku jakichkolwiek przywilejów?«
»Naprzykład - jakich?« - spytał król.
»Naprzykład - przywilejów zwłoki, przewłoki lub odwłoki?«
»Nie« - odpowiedział król stanowczo.
»Dziwi mię - zauważyłem z goryczą - iż pod panowaniem tak dobrodusznego króla trwają w całej pełni tak okrutne zwyczaje«.
»A jednak - odrzekł król z uśmiechem - moja dobroduszność, która ci tak do serca przypada, jest też tylko zwyczajem, któremu muszę się poddać tak samo ślepo, jak ty - pogrzebaniu żywcem twej osoby. Czy jestem dobroduszny z natury - nie wiem. Wiem tylko, iż odwieczny obyczaj mojej krainy przypisuje każdemu królowi - dobroduszność. Korzystam z owej przypisywanej mi powszechnie dobroduszności tak skwapliwie, iż oddawna już pod tym względem zatraciłem wszelką miarę i wszelkie probierze. Czytam bajki, uśmiecham się, udaję człowieka roztargnionego, gadam częstokroć niedorzeczności i z każdym rokiem coraz pośpieszniej dziecinnieję. Tak każe obyczaj i jestem mu posłuszny. Spełniam w ten sposób obowiązek, zwany królowaniem, i nietyle jestem znużony, ile oczarowany owym obowiązkiem. To też
 oburzeniem mię napełnia niewdzięczny protest i bunt przeciwko ła-

skawie ofiarowanym ci przez nas obowiązkom. Pomyśl tylko, że twoja niechęć dla zwyczajowego pogrzebania żywcem twej osoby jest tem samem, czem byłby z mojej strony bunt przeciw własnemu tronowi i własnej osobie. Po raz pierwszy zdarza mi się słyszeć w mem państwie tego rodzaju utyskiwania. Przerwałeś mi na chwilę czytanie bajek i nieustanny postęp mej dobroduszności, zdążającej ze zdwojonym w ostatnich czasach pośpiechem do bezwzględnego zdziecinnienia. Pozostaw mię tedy w spokoju. Powracam do swej bajki, którą przerwałem w miejscu najciekawszem«.

Król znów spojrzał na mnie z dobrodusznym, dziecinnym niemal uśmiechem i pogrążył się w czytaniu, ja zaś ze smutkiem i rozpaczą opuściłem pałac.

Wieczorem tego dnia odbył się pogrzeb Hassana i Korybilli. Orszak pogrzebowy przesunął się przez całe miasto aż ku zamiejskim wzgórzom. Hassan według zwyczaju na własnych barach dźwigał szklaną trumnę z martwą Korybillą. Za nim - na olbrzymim rydwanie - dwa czarne rumaki wiozły cały jego dobytek ruchomy: stoły, krzesła, meble, szafy oraz olbrzymi zbiór albumów z przeróżnemi znaczkami pocztowymi, gdyż Hassan był słynnym i zapalonym zbieraczem znaczków pocztowych i posiadał okazy najrzadsze, których się nigdzie nie spotyka. Na szczycie jednego ze wzgórz znajdowały się drzwi potajemne, które prowadziły do podziemi, przeznaczonych na ogólny grobowiec dla wszystkich poddanych króla Pawica. Otworzono te drzwi uroczyście i przez ich ciemny otwór spuszczono na sznurach do otchłani podziemnej biednego Hassana, martwą Korybillę, meble, stoły, szafy i zbiory znaczków najrzadszych, zaś na końcu siedem bochenków chleba i siedem dzbanów wody. Poczem - drzwi zamknięto.

Uroczystość była skończona.

Wróciłem do domu bardzo wzruszony. Kaskada starała się rozproszyć mój smutek - pieszczotą i śmiechem, ale nadaremnie. Po raz pierwszy widziałem człowieka, żywcem grzebanego i po raz pierwszy zrozumiałem, że i mnie może spotkać los podobny.

Przez dni kilka Kaskada zaniechała swych dzikich zlotów ze skał w otchłanie. Nie opuszczała mnie ani na chwilę. Powziąłem więc nadzieję, iż małżonka moja pozbyła się swych chorobliwych nałogów.

 Pewnego wszakże dnia wymknęła się cichaczem z domu i nie wracała

zbyt długo. Zaniepokojony - wybiegłem na miasto, aby jej szukać, lecz nie znalazłem nigdzie. Spotkany przypadkowo pastuch, który z za miasta wracał, powiedział mi, iż ją widział na szczytach skał, biegnącą kędyś, jakby w obłąkaniu.

W towarzystwie kilkunastu przyjaciół pobiegłem ku owym skałom. Zanim zdołaliśmy zbliżyć się zupełnie do skał podnóża, ujrzeliśmy już zdala Kaskadę na szczycie najwyższej skały. Jej długie - rozwichrzone warkocze powiewały, spływając po ramionach. Źrenice płonęły dziwnym, obłędnym ogniem.

Dobiegłem do podnóża skały, na której tkwiła, i zawołałem:

»Kaskado!«

Schyliła głowę i spojrzała na mnie.

»Kaskado! - wołałem dalej. - Poniechaj swych obłędnych zamiarów! Powściągnij się, pohamuj! Okiełznaj żądzę zlotu ze szczytu tej skały w paszczę śmierci, która czyha na ciebie!«

»Sindbadzie! - odkrzyknęła Kaskada. - Mężu mój i kochanku jedyny! Przebacz mi moje nieposłuszeństwo i mój upór! Nie mogę okiełznać tej straszliwej żądzy zlotu! Nie mogę powściągnąć, ani pohamować! Coś mię wlecze, i ciągnie, i kusi, i pcha, i porywa i zniewala do tego, abym się ze szczytu skały rzuciła gdziekolwiek, byle wdół, byle w przepaść, byle w śmierć - choćby ot tam - do twoich stóp, na tę trawę niczyją.

»Co czynisz, bezrozumna! - wołałem znowu. - Jeśli mnie kochasz, znijdź żywa i ostrożna w me objęcia!«

»Nie mogę znijść - mogę się jeno rzucić ani żywa, ani ostrożna, tylko martwa i nieoględna!«

I, zanim zdołałem cokolwiek odpowiedzieć, Kaskada rzuciła się ze szczytu skały i z włosem rozwianym upadła do mych stóp - martwa i nieoględna!

Towarzysze moi ujęli na ramiona ciało Kaskady i ponieśli je milcząc, do domu.

Szedłem za nimi, zdziwiony tem, że płakać nie mogę. Śmierć Kaskady była tak niezwykła i tak przez nią samą przywołana i tak na szczycie skał wyśniona, że odebrała mi zdolność i możność płaczu.

Stało się to zrana, a już wieczorem, według zwyczaju, miano mię żywcem wraz z Kaskadą pogrzebać. Wieczór nadszedł. Na własnych barach poniosłem szklaną trumnę z martwą Kaskadą. Za mną sunął

rydwan, obładowany wszelkiemi sprzętami, meblami, zaś w ślad za nim sto innych rydwanów, na których piętrzyły się niewiarogodnie olbrzymie stosy siodeł, które mi zwrócono.
Przybyliśmy wreszcie na wiadome wzgórze, które już znałem dobrze. Otworzono drzwi potajemne i spuszczono mię żywcem do grobu wraz z cudowną Kaskadą i z całem ruchomem mieniem. Gdym już dotknął stopami wilgotnego gruntu mrocznych podziemi, - musiałem się co prędzej postronić, aby uniknąć spadku na głowę tysiąca wrzucanych do podziemi siodeł. Na końcu wreszcie spuszczono mi na sznurach siedem bochenków chleba i siedem dzbanów wody i zatrzaśnięto drzwi potajemne.
Ogarnęła mię ciemność i na chwilę straciłem zmysły.
Gdym je odzyskał - w pierwszej chwili nie mogłem nic dojrzeć dokoła w otaczających mię ciemnościach. Powoli wszakże i stopniowo oczy moje tak nawykły do mroku, żem wkońcu mógł zupełnie swobodnie rozróżniać kształty a nawet barwy wszystkich przedmiotów.
Znajdowałem się w jakimś dziwacznym labiryncie podziemnym, napełnionym szklanemi trumnami i bielejącymi w mroku szkieletami ludzkiemi. Ilość nagromadzonych w podziemiach stołów, krzeseł, szaf i wszelkiego rodzaju sprzętów była wprost niewiarogodna.
Usiadłem na jednem z krzeseł i, przysunąwszy stół, postawiłem na nim siedem dzbanów wody i siedem bochnów chleba. Zapewne bardzo długo trwałem w zemdleniu, gdyż głód mi już dokuczał, - głód tak wściekły i niepohamowany, żem pił i jadł dopóty, dopókim nie wypił wszystkiej wody z dzbanów i nie zjadł wszystkich siedmiu bochnów chleba. Posiliwszy się jako tako, wstałem i pobrnąłem przed się naoślep. Postanowiłem iść bez ustanku, bez przerwy, bez wytchnienia we wszelkich możliwych kierunkach w tej nadziei, iż traf lub przypadek przyjdą mi z pomocą, a zbieg okoliczności pozwoli mi nie w ten, to w inny sposób wydostać się z podziemi na słońce.
Trudno mi określić, jak długo wałęsałem się po krętych korytarzach podziemnych - wśród szklanych trumien, zapełnionych szczelnie i po brzegi zwłokami ludzkiemi. Zdaje mi się jednak, iż wędrówka moja trwała dni kilka. Wreszcie pewnego dnia trafiłem na olbrzymią, samotną niszę, w której stała jedna tylko trumna szklana większych,
 niż inne, rozmiarów. W trumnie tej leżała na atłasowych poduszkach

kobieta niezwykłej piękności ze złotą lutnią w dłoni. Wyglądała tak, niby żywa. Śmierć - czy też nie zdążyła rozkładem dotknąć jej ciała, czy też nie uczyniła jej nic złego, słowem, zdawała się spoczywać w trumnie bez śmierci.
Trumna stała na wielkim, zapleśniałym od wilgoci i liszajami pokrytym głazie. Widok zmarłej, czy też śpiącej tak mię oczarował, żem siadł u stóp trumny na głazie, aby jej przyjrzeć się zbliska i nieco wypocząć, gdyż dotąd ani na mgnienie nie przerywałem swej wędrówki. Machinalnie i bezwiednie zacząłem dłonią odgarniać z głazu pleśń i liszaje. Nagle uczułem pod palcami dotyk jakiegoś metalu. Przybliżyłem oczy i postrzegłem, że były to w złocie kute litery. Zerwałem natychmiast pleśń całkowicie i odsłoniłem napis, złotemi literami ryty w głazie. Z pośpiechem i ciekawością odczytałem napis, który brzmiał, jak następuje:
ROZBIJ SZKLANĄ TRUMNĘ UDERZENIEM PIĘŚCI,
A CO MA SIĘ SZCZĘŚCIĆ, TO CI SIĘ POSZCZĘŚCI.
Uniosłem pięść do góry i z całych sił uderzyłem w szklaną trumnę. Rozpadła się z jękiem i dzwonieniem na drobne kawałki. W tej samej chwili postać kobiety jakby ocknęła się ze snu. Jedną dłonią przetarła oczy, a drugą zmacała lutnię, jakby chcąc się przekonać, czy jej nie zgubiła. Wreszcie, przyciskając lutnię do piersi, powstała i zwolna zeszła z głazu na ziemię. Wówczas wzrok jej padł na mnie.
»Tyś rozbił trumnę?« - spytała głosem tak śpiewnym, żem nie śmiał narazie odpowiedzieć, wydało mi się bowiem, iż winienem w odpowiedzi zanucić jakąś pieśń cudowną. Otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia, odrzekłem:
»Tak - rozbiłem twą trumnę, odczytawszy napis na głazie«.
»Należę przeto do ciebie, bom przyrzekła, iż poślubię człowieka, który rozbiję moją trumnę i przywróci życie memu ciału«.
»Dawno temu umarłaś?« - spytałem.
»Nie umierałam nigdy« - odrzekła.
»Czy nigdy nie żyłaś na ziemi?«
»Nie żyłam nigdy«.
»Powiedz, kim jesteś?«
«Nie jestem. Niema mię wcale. Nie istnieję. Nie umiem istnieć. Umiem

się tylko śnić tym, którzy są snu spragnieni. I oto teraz śnię się tobie.

Śniłam się dawniej królowi Pawicowi, gdy był jeszcze młodzieńcem, lecz go tak męczył ów sen, że kazał mię jakiemuś czarownikowi przyłapać na gorącym uczynku zjawiania się we śnie i - przyłapaną - zamknął w szklanej trumnie, którą spuszczono w podziemia i utwierdzono w niszy na tym oto głazie. Wówczas wyśniłam napis, któryś na głazie odczytał, a dość mi wyśnić cokolwiek, aby się to spełniło. Napis się spełnił. Obiecałam sobie w duchu poślubić tego, kto ów napis odczyta i trumnę rozbije, aby mię znowu powołać do czynności sennych. Poślubić znaczy dla mnie tyle, co śnić się. Będę się tobie odtąd śniła wiernie, posłusznie i dozgonnie. Będę ci we śnie grała na mojej lutni pieśni rozmaite. A lutnia moja jest dziwna, - dość pieśnią wzruszyć jej struny, aby żarzyły się blaskiem rozmaitym, który wszelkie mroki rozwidnia«.

Mówiąc to, dotknęła palcami strun swej lutni i zaczęła grać. Struny jęły się żarzyć rozmaitym blaskiem stosownie do dźwięków, których z nich dobywała. Żarzyły się rozmaicie - to czerwonym, to błękitnym, to zielonym światłem rozwidniając podziemie.

»Czy dobrze ci się śnię?« - spytała, grając coraz czarowniej.

»Dobrze« - szepnąłem.

»Czy zapominasz, że jestem tylko snem?« - spytała znowu.

»Zapominam«.

»To znaczy, że śnię Ci się dobrze«.

»Śnij mi się jeszcze - graj mi jeszcze« - szepnąłem.

»Idź za mną, a wyprowadzę cię z podziemi, aby ci się wywdzięczyć za to, żeś mię z trumny wyzwolił«.

»Czy pójdziesz za mną do mojej ojczyzny? O ile mię bowiem wyprowadzisz z podziemi, wyruszę natychmiast do Bagdadu«.

»Będę ci się śniła i w Bagdadzie, ale zniknę ci z przed oczu w chwili, gdy się wydostaniemy na powierzchnię ziemi. Powinieneś zarówno kochać moje zjawienia, jak i moje zniknięcia«.

»Powiedz mi, jak ci na imię, abym mógł cię we śnie przywołać, ilekroć tego zapragnę«.

»Nazywam się Urgela«.

Powtórzyłem kilkakroć jej imię, aby je zapamiętać, ona zaś, grając, prowadziła mię dalej po korytarzach podziemnych. Struny, pod do-

tykiem jej smukłych palców, rozbłyskiwały tysiącem rozmaitych świateł. Posuwaliśmy się naprzód to w szkarłatnem, to w zielonem, to w błękitnem oświetleniu, aż wreszcie zatrzymaliśmy się w miejscu, gdziem ujrzał skaliste wschody, prowadzące do otworu, przez który przenikało światło słoneczne. Pod wpływem promieni słonecznych postać Urgeli zbladła, a dźwięki jej lutni stały się stłumione i jakby dalekie. Wspiąłem się po wschodach ku górze. Urgela szła za mną. Po chwili wydostałem się przez otwór na powierzchnię ziemi i radośnie stanąłem w słońcu, gdyż było właśnie południe. Obejrzałem się za siebie. Urgela stała przede mną zaledwo widzialna, zaledwo zarysowana na błękitnem powietrzu. Dźwięki jej lutni były już tak dalekie, żem nie mógł ich dosłyszeć.

Wyciągnąłem ku niej dłonie, lecz Urgela znikła.

Znajdowałem się na pustynnym i niezamieszkałym brzegu wyspy, zdala od państwa króla Pawica. Ponieważ właśnie w pobliżu brzegu płynął okręt, zacząłem tedy okrzykami nawoływać go ku sobie. Okręt po chwili zbliżył się do brzegu. Wbiegłem natychmiast na pokład i z radością dowiedziałem się, iż okręt ów płynie do Balsory.

Płynęliśmy przez trzydzieści dni i trzydzieści nocy i przez całe trzydzieści nocy śniła mi się Urgela i grała mi we śnie na swej złotej lutni. Kapitan i marynarze dziwili się i nie mogli zrozumieć, jakim sposobem okręt po nocach pełni się cudnemi dźwiękami niepochwytnych pieśni. Urgela grała z takim zapałem i tak głośno, że dźwięki z mego snu przedostawały się do świata poza mną i napełniały cały okręt, który kołysał się śpiewnie pod ich czarowną przemocą.

Po trzydziestu dniach i nocach okręt przybił do portu balsorskiego. Niezwłocznie udałem się z Balsory do Bagdadu.

PRZYGODA PIĄTA

WONNY, słoneczny poranek jaśniał w czystych niebiosach, gdym konno mknął po ulicach Bagdadu, zdążając pośpiesznie do mego pałacu. Zastanowił mię niezwykły ruch i zgiełk, który wzmagał się i wzrastał w miarę, jak się zbliżałem do placu, który się znajdował w pobliżu mego gniazda rodzinnego. Wjechawszy na plac, doznałem zdumienia bez granic. Niezliczone tłumy rojnie i zgiełkliwie tłoczyły się wokół jakiegoś przedmiotu, którego dojrzeć nie mogłem. Słyszałem dziwne okrzyki i wywrzaski, które napełniały powietrze dzikim zamętem.

»Warjat, warjat!« - krzyczeli jedni.

»Szaleniec, szaleniec!« - wołali drudzy.

»Obłąkaniec, obłąkaniec !«- wrzeszczeli inni.

»Niespełna rozumu, niespełna rozumu!« - mruczeli dość głośno ci, którzy stali w mojem pobliżu.

Zestawiając te okrzyki i wywrzaski, bez zbytniego trudu doszedłem do wniosku, że mimo pewnych różnic w poglądzie na stopień szaleństwa, wszystkie zgodnie i jednomyślnie przyznają komuś jakieś braki, niedobory i zwichnięcia na umyśle.

Wstrzymałem konia i zwracając się do pierwszego z brzegu widza nieznanej mi katastrofy, spytałem, co się stało?

»Stało się coś, czego nikt nie rozumie! - odpowiedział spytany. - Jestem zbyt daleko od miejsca wypadku, abym ci mógł opowiedzieć, co się tam dzieje w tej chwili«.

»A gdzież jest miejsce wypadku?«

»Tam - na środku placu, gdzie ścisk i tłok największy. Tam właśnie tkwi ów dziwny jegomość, którego nikt nie może zrozumieć. Bądź jednak cierpliwy, a dowiesz się ciekawszych szczegółów, niż te, któremi cię narazie uraczyć mogłem. Ci, którzy stoją w bezpośredniem nie-
129 ~ mal zetknięciu z owym jegomościem, podają wieści sąsiadom, sąsie-

dzi - dalszym szeregom, aż wreszcie wieść, przechodząc z ust do ust, przedostaje się i do nas, co na szarym stoimy końcu«.

W tej chwili właśnie ujrzałem, jak wiadomość z miejsca wypadku, idąc z ust do ust, zbliżała się szybko do mojego sąsiada, który po chwili zwrócił się do mnie, aby mi jej zkolei udzielić.

»Uciekają, wciąż uciekają!« - wrzasnął mi wreszcie do ucha.

»Kto ucieka i przed kim?« - spytałem.

»Nie wiemy jeszcze - kto, ani też nie wiemy - przed kim. Wiemy tylko, że uciekają. To - wszystko, co z owej wieści przedostało się do nas, stojących na szarym końcu. Uciekają! Rozumiesz? Uciekają! Bądź zresztą cierpliwy, a dowiesz się wkrótce innych, ciekawszych szczegółów«.

Jakaś nowa, a widocznie niecierpiąca zwłoki wiadomość szła właśnie z ust do ust.

»Cóż tam słychać nowego? - spytałem sąsiada, który już stał się posiadaczem nowej wiadomości!

»Wciąż jeszcze uciekają! - odwrzasnął sąsiad. - Już mię przestała dziwić ta okoliczność, że uciekają, dziwię się tylko, że wciąż jeszcze! Rozumiesz? Wciąż jeszcze!«

»Czy dotychczas niewiadomo, kto i przed kim?«

»Mniejsza o to, kto i przed kim! - zawołał sąsiad. - Dość, że wciąż jeszcze!«

W tej chwili do uszu mego sąsiada doszła wiadomość następna.

»Jest ich tysiąc! - wrzasnął gwałtownie, udzielając mi nowej wiadomości. - Ni mniej, ni więcej jeno - tysiąc!«

»Co oznacza ta liczba?« - spytałem.

»Dziękuj Bogu, że wiesz liczbę, i nie dopytuj się o przedmioty, które oznacza - odrzekł sąsiad. - Poprzestań na tej wiadomości, iż przedmiotów, tą liczbą oznaczonych, jest aż tysiąc! Rozumiesz? - Poprostu uszom własnym nie chcę wierzyć, że tego czy też owego jest aż tysiąc!«

Po chwili sąsiad mój otrzymał nową wiadomość, którą niezwłocznie podzielił się ze mną.

»Dziewcząt! - wrzasnął. - Tysiąc dziewcząt! Rozumiesz?«

Słowa te zbudziły we mnie pewne uzasadnione obawy. Zadrżałem na myśl, że bohaterem nieznanego mi dokładnie »wypadku« jest wuj Tarabuk wraz z tysiącem swoich dziewcząt.

Ponieważ niecierpliwiły mnie dorywcze i zbyt luźne wieści, które dochodziły do przedstawicieli szarego końca i ponieważ wzmożony krzyk

i zgiełk tłumu świadczył o jakimś opłakanym stanie wspomnianego bohatera, postanowiłem przeto przedrzeć się przemocą przez tłumy aż do samego »miejsca wypadku«, aby w danym razie przyjść z pomocą memu wujowi.

Spiąłem konia ostrogami i, piersią końską torując sobie drogę, dotarłem do środka placu. Nie omyliły mnie moje przeczucia! Na samym środku placu z czupryną, rozwianą w cztery strony świata, z twarzą boleściwie pokurczoną i miejscami pobladłą, z dłońmi, nakształt dwojga rozszalałych pomioteł, wzniesionemi ku najdalszym przestworom niebieskim - stał, a raczej tkwił, a raczej sterczał męczeńsko wuj Tarabuk, jak posąg boleści, a raczej - jako przesadnie wyolbrzymiały w swej męczarni postrach na wróble! Oczy utkwił przed siebie - wdal, w nieskończoność - w bezbrzeż! Usta rozwarł tak szeroko, że chwilami robiły wrażenie bramy zajezdnej, a czasem - przeciwnie - wrażenie jakiejś zgoła samotnej, zbytecznej i niewiarogodnych rozmiarów litery O, jakgdyby ta litera była główną, a nawet jedyną literą alfabetu! Z wnętrza owej litery, a raczej z rozwartych ust wuja Tarabuka wyłaniały się dźwięki, podobne do tych, które wydają głuchoniemi w chwili, gdy chcąc podzielić się z kimkolwiek jakąś straszliwą, a wymagającą niezwykłego pośpiechu wiadomością. Zauważyłem nadomiar, iż czerwonoskóry nos wuja Tarabuka podrygiwał konwulsyjnie, jakby przerażony wyrazem reszty oblicza, z którem go tak ścisłe łączyły węzły pokrewieństwa!

Zeskoczyłem z konia i chwyciłem nieszczęsnego wuja za jedną z wyciągniętych ku niebiosom dłoni.

»Co się stało? - krzyknąłem z mocą. - Mów prędzej, co się stało?«

Te same, co uprzednio, dźwięki bezładnie i gromadnie wyrwały się z gardła nieszczęsnego wuja. Nabiegłe krwią gały jego oczu zwróciły się ku mnie, lecz nie poznały mojej osoby.

Rozejrzałem się dokoła, aby stwierdzić naocznie, jaki rodzaj klęski przytrafił się memu wujowi?

Na placu, który był miejscem tajemniczego wypadku, krzyżowały się cztery ulice, zdążające w cztery strony świata. W progu tych ulic ujrzałem kilka dziewcząt i poznałem w nich natychmiast - powiernice natchnień mego wuja. Obok każdej dziewczyny stał młodzieniec i rumak.

 W chwili, gdym to zobaczył, młodzieńcy dosiedli właśnie rumaków

i, porwawszy wpół każdy swoją dziewczynę, zmykali co tchu w cztery strony świata: jedni - na północ, drudzy - na południe, inni - na wschód, a inni wreszcie - na zachód.
Obłąkane oczy wuja Tarabuka tężyły się wślad za zbiegami. Dłonie jego wyciągnęły się teraz kolejno w kierunku wszystkich czterech ulic.
»Chwytajcie je! Chwytajcie! - zawołał z rozpaczą nieludzką. - To utwory moje! Moje utwory!«
»Warjat! warjat! - zawołano znowu w tłumie - szaleniec! Obłąkaniec! O jakich on utworach gada?«
»Utwory moje, utwory! - wrzeszczał wuj Tarabuk. - Było ich tysiąc i wszystkie uciekły! Uciekły i uniosły ze sobą wszystek skarb mego ducha! Znalazły sobie jakichś młokosów, urwipołciów, wisusów z pod ciemnej gwiazdy i uciekły z nimi na wschód i zachód, północ i południe!«
Rzuciłem znowu okiem na cztery z placu wychodzące ulice i ze smutkiem stwierdziłem, że resztki wiadomego »tysiąca« zmykały co tchu po wspomnianych ulicach, ginąc mi z oczu na zakrętach.
Wuj Tarabuk znieruchomiał, zesztywniał, stracił chwilowo czucie, rozum i wolę. Ująłem go pod ramię i skierowałem jego kroki ku pałacowi. Szedł posłusznie i bezwiednie, chociaż z widocznym trudem. Tłum gapiów towarzyszył nam aż do samego domu.
Gdym wszedł z wujem do pokoju, szepnął głosem doszczętnie złamanym:
»Ktokolwiek jesteś - zły duch czy przyjaciel - posadź mię w fotelu, gdyż jestem bezwzględnie zmęczony, a nie mam siły woli, której nakaz potrafiłby doprowadzić mię do postawy siedzącej«.
Usadowiłem wuja w fotelu i stanąłem tuż obok.
»Wuju - rzekłem - opamiętaj się i uspokój. Czy nie poznajesz mnie? To - ja, twój siostrzeniec, Sindbad!«
»Wierzę ci na słowo - odparł wuj - aczkolwiek stokroć wolę własnemi oczyma sprawdzić tożsamość twej osoby«.
I wuj podniósł na mnie swe oczy, dotąd nieruchome i nic nie widzące.
»Poznaję cię - szepnął głosem słabym i wątłym - poznaję cię, mój drogi Sindbadzie. Przybywasz właśnie w chwili, gdy, nauczony gorzkiem doświadczeniem, mogę ci dać dobre i cenne na przyszłość rady. Trwalszy jest pergamin, trwalszy jest papier, niźli pamięć płochej dziewczyny. Jeśli kiedykolwiek będziesz wiersze pisywał, notuj je na pergaminie lub na papierze, kreśl je kciukiem lub małym palcem na piasku,

lecz nie karbuj ich nigdy w pamięci dziewczęcej! Tysiącu dziewcząt powierzyłem swe utwory i ani jedna z tego tysiąca nie dotrzymała mi codzień ponownie składanej przysięgi! W ostatnich czasach spłodziłem tyle wierszy, że na każdą dziewczynę przypadło dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć cudownie rymowanych utworów. Czyliż mogłem świeżej i młodej pamięci dziewczęcej udzielić wspanialszego i wdzięczniejszego brzemienia? A jednak spotkała mię niewdzięczność, wołająca o pomstę do nieba! Wprawdzie zauważyłem, iż od pewnego czasu wszystkie tysiąc przybladły nieco i zmizerniały. Nie zauważyłem wszakże, iż wszystkie tysiąc knuły przeciwko mnie spisek potworny i zbrodniczy! Nie wiem doprawdy - jak i gdzie, i kiedy - wszystkie tysiąc zaręczyły się z jakimiś urwisami, pędziwiatrami, oczajduszami i wspólnie ze zgrają swych narzeczonych umyśliły gromadną ucieczkę. Dzień dzisiejszy był właśnie umówionym dniem owej ucieczki. Skoro świt - posłyszałem w pałacu jakiś szmer i szelest i, pełną śmieszków krzątaninę. Byłem jednak tak znużony nocą bezsenną, że mi się nie chciało wstać z łóżka i zbadać przyczyny owych szmerów i szelestów. Przymknąłem oczy i zdrzemnąłem się najsmakowitszą drzemką poranną, która, nie wchodząc w zakres obowiązkowego snu, stanowi tem milszą, że niespodzianą gratkę. Nigdym jeszcze tak smacznie, tak głęboko i tak zapamiętale nie drzemał. Drzemka, aczkolwiek wyjątkowo pokrzepiająca, trwała krótko, jak każde wogóle szczęście. Ocknąłem się dość rześko i, przypomniawszy sobie owe szmery i szelesty, jąłem bacznie nasłuchiwać. W pałacu jednak tym razem trwała cisza tak doskonała i tak nieskalana, jakby go ktoś wyludnił. Pośpiesznie tedy wdziałem na się ubranie i przebiegłem cały pałac, aby wykryć przyczynę wspomnianych szmerów i szelestów. Zajrzałem też i do komnat, w których mieszkały dziewczęta. Komnaty były puste. Złe przeczucie ścisnęło mi serce, a w gardle doznałem czegoś w rodzaju wielce nieznośnej dławicy. Tknięty złem w sercu przeczuciem i udręczony nieznośną w gardle dławicą, wybiegłem z pałacu. Widok tłumu, zgromadzonego na ulicach, potwierdził moje obawy. Biegłem dalej i, o ile pamiętam, przytomność umysłu malała we mnie z każdym krokiem. Trudno mi obecnie powiedzieć, z jak wielkim zasobem pilnie malejącej przytomności dotarłem wreszcie do placu. Tam zdybałem moje dziewczęta.
 Brak mi słów, drogi Sindbadzie, aby ci opisać rozpacz, która mię ogar-

nęła na widok tego, jak niewierne dziewczęta wraz ze swymi narzeczonymi zmykały konno z przed moich przerażonych oczu! Nadaremniem wołał, nadaremniem groził, nadaremniem wstydził je, przypominając dane mi wczoraj jeszcze przysięgi! Nic nie pomogło! Nic ich nie odwróciło, nie powściągnęło od zamierzonej ucieczki!

Własnemi oczyma musiałem patrzeć na to, jak znikały kolejno na zakrętach ulic, raz na zawsze pozbawiając mię moich utworów, które z pewnością wyrzucą ze swej pamięci w chwili, gdy poślubią owych urwipołciów! Tłum wziął mię zapewne za warjata i bronił mi dostępu do dziewcząt, sądząc, że zamierzam je zabić w napadzie jakiegoś szaleństwa lub obłędu. Pouciekały wszystkie! Straciłem bezpowrotnie mój kilkoletni dobytek poetycki! Zostałem oto sam - bez tysiąca dziewcząt i bez dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu tysięcy moich arcydzieł!«

Wymówiwszy to słowo: arcydzieł, wuj Tarabuk załamał dłonie i rozpłakał się, jak dziecko. Pocieszałem go, jak mogłem i jak umiałem, ale cóż znaczyły słowa pociechy wobec tak nieodpartej a tak rozpaczliwej rzeczywistości? Wuj płakał dopóty, dopóki mu łez całkiem nie zbrakło. Wówczas sam stwierdził swój stan wewnętrzny.

»Przed chwilą - na placu, - rzekł smutnie - zbrakło mi słów, aby swą rozpacz wypowiedzieć. Obecnie zbrakło mi łez, aby swój ból wypłakać. Tedy pozostaje mi jedno - spać póty, póki się nie wyśpię i nie odzyskam sił do nowej pracy«.

Sam własnoręcznie ułożyłem wuja do snu. Zasnął snem tak kamiennym, że obudził się dopiero nazajutrz wieczorem. Sen go niezwykle pokrzepił, a nawet odmłodził. Nie zdradzał tym razem żadnych na umyśle uszkodzeń. O niedawnej klęsce napomykał chyba ten jeden nowonabyty nałóg, iż wuj bardzo często używał w rozmowie słowa tysiąc, co jednak nietylko nie robiło złego wrażenia, lecz nawet wzmacniało liczebnie poniektóre, wspomniane przez wuja, przedmioty.

»Jakże się spało?« - spytałem ockniętego.

»Do tysiąca piorunów, niezgorzej! - zawołał wuj, przecierając oczy. - Czemuż tak patrzysz na mnie, jakbyś miał tysiąc oczu we łbie? Jestem tak głodny, że chętniebym pożarł tysiąc wołów. Przy obiedzie opowiesz mi swoje przygody. Wiem zgóry, że masz nie byle co do opowiedzenia, bo tysiączny z ciebie chłop. A opowiedz mi wszystko dokładnie, boś ostatnim razem jeno tysiączne przez tysiączne opowie-

dział. O ile pamiętam, powracasz z czwartej podróży. Nie martw się, jeśli ci się niezupełnie udała, bowiem, jak mówi przysłowie: do tysiąca razy sztuka«.

Wuj, zamiast: setny chłop, mawiał obecnie: tysiączny chłop, zamiast: piąte przez dziesiąte, używał wielce niefortunnego wyrażenia: tysiączne przez tysiączne, zaś zawartość przysłowia do trzech razy sztuka pomnożył i rozwlekł aż do tysiąca.

Przy obiedzie opowiedziałem mu wszystko, co mi się zdarzyło. Wuj słuchał z ciekawością, lecz przy końcu opowiadania twarz mu się wydłużyła a w oczach zjawił się dość przykry wyraz goryczy.

»Widzę, żeś - pomimo obietnicy - żadnej ze spotkanych królewien nie ofiarował mego wiersza«-rzekł wreszcie z bezdennym smutkiem w głosie.

»Miałem tyle kłopotów, nieszczęść, zdarzeń i wrażeń, żem zupełnie o tej obietnicy zapomniał«.

Wuj nic na to nie odpowiedział, ale czułem, że na dnie serca ma do mnie urazę.

Dzień cały aż do nocy spędziliśmy na rozmowach. Noc przyszła jasna, wonna, gwiaździsta. Zasnąłem snem mocnym. Nawiedziła mię we śnie Urgela i przez noc całą grała mi na złotej lutni. Gdym się zbudził nad ranem, ujrzałem wuja, który stał przy mnie i wsłuchiwał się w cudowne dźwięki, z mego snu na świat wybiegłe.

»Trzeba przyznać tej twojej Urgeli, że gra pięknie, jak z nut!« - zauważył, przyglądając mi się uważnie.

»Odwiedza mię co noc we śnie, a ma w dłoni lutnię złotą« - odrzekłem.

»Czybyś jej nie mógł poprosić, aby mi się tej nocy przyśniła?« - spytał wuj nieśmiało.

»Nie mogę - odrzekłem - ponieważ dla niej przyśnić się znaczy tyle, co poślubić. Trudno mi ją prosić o to, aby poślubiła wuja, gdyż mnie właśnie jest poślubiona«.

Wuj westchnął głęboko i nic nie odpowiedział.

Od czasu przyjazdu mego do Bagdadu Djabeł Morski nie przyśnił mi się ani razu, nie znalazł bowiem miejsca dla siebie we wnętrzu mego snu, który całkowicie zapełniała Urgela. Dźwięki jej lutni odstraszały Djabła Morskiego, a prócz tego trudno było takiemu, jak wspomniany djabeł, potworowi przedostać się do snu, na którego straży stała cudowna wróżka. Przypuszczam też, iż nie chciał objawić mi się w jakiej-

kolwiek postaci ludzkiej, gdyż wiedział, że go poznam tym razem po pysku djabelskim, który od czasu do czasu będzie mi musiał ukazać. Postanowił więc użyć innego fortelu, aby mię skusić do nowej podróży i obarczyć mię w ten lub inny sposób wiadomym listem.

Pewnego razu, gdym spacerował za miastem, zjawił mi się we własnej swojej postaci. Zdziwiła mnie jego zuchwałość i bezczelność.

»Jak śmiesz na oczy mi się pokazywać? - zawołałem gniewnie. - Natręctwo twoje niema granic, ani miary!«

»Nie gniewaj się na mnie - odpowiedział Djabeł Morski - postanowiłem nigdy nie kusić cię do podróży, lecz do innych zgoła czynów«.

»Do jakich?« - spytałem, marszcząc brwi.

»Do błahych - odrzekł Djabeł spokojnie - mianowicie pragnę cię zniewolić do tego, abyś, po pierwsze - zabił we śnie Urgelę, powtóre - zamordował na jawie wuja Tarabuka i po trzecie - śmiał się z tych dwóch czynów i we śnie i na jawie«.

Słowa te oburzyły mię tak, żem w pierwszej chwili osłupiał z nadmiaru oburzenia. Potem wpadłem w taką wściekłość, jakiej z pewnością nikt pod słońcem nie doznał.

»Zabiję cię, potworze przeklęty! - wrzasnąłem, wyciągając i tężąc pięście. - Zabiję cię, zanim zdążysz raz jeszcze powtórzyć te słowa zbrodnicze!«

Z zaciśniętemi pięściami rzuciłem się na Djabła. Lecz ten ostatni, udając przerażenie, zaczął co tchu przede mną uciekać. Wściekłość moja wzrastała coraz bardziej, gdyż potwór, uciekając, odwracał ku mniej swój łeb i powtarzał wciąż te wyrazy:

»Musisz zabić we śnie Urgelę, zamordować na jawie wuja Tarabuka i śmiać się z tych dwóch czynów i we śnie i na jawie!«

Ścigałem go niestrudzenie, lecz uchodził tak chyżo, że wymykał mi się z rąk w chwili, gdym był już pewien swego zwycięstwa. Wściekłość moja była tak wielka, że postanowiłem ścigać go dzień i dwa i trzy, dopóty, dopóki nie pochwycę go i nie ukaram! Oślepłem w tej chwili na wszelkie inne uczucia, prócz gniewu i zemsty. Nie widziałem wokół i przed sobą nic, prócz Djabła Morskiego, którego chciałem, którego musiałem pochwycić. Któż mi uwierzy, gdy powiem, żeśmy biegli dwa dni i dwie noce bez ustanku! A jednak tak było! Dwa dni i dwie noce - bez wytchnienia, bez spocznienia! Djabeł uciekał w stronę Balsory,

i na trzeci dzień goniłem go już po ulicach tego miasta. Nie zauważyłem jednak, że się znajdujemy w Balsorze. Oślepiony wściekłością, nie widziałem miasta, widziałem tylko Djabła, którego chciałem, którego musiałem pochwycić. Potwór tymczasem skierował swój bieg w stronę portu Balsorskiego. Biegłem za nim. Dotarliśmy w ten sposób do samego portu, gdzie stał okręt, który w tej chwili właśnie miał odbić od brzegu. Lecz nie widziałem okrętu, ani portu - widziałem tylko Djabła, którego musiałem pochwycić. Odwrócił właśnie ku mnie swój łeb i po raz ostatni zawołał:

»Musisz zabić we śnie Urgelę, zamordować na jawie wuja Tarabuka i śmiać się z tych dwóch czynów i we śnie i na jawie«.

Powtórzył te słowa po raz ostatni i wbiegł na pokład odchodzącego okrętu. Wbiegłem za nim. Nie zauważyłem, że okręt odbił już od brzegu i kołysał się na falach wezbranego morza. Nie mogłem tego zauważyć, gdyż właśnie w tej chwili postrzegłem, że na karku Djabła Morskiego sterczy rąbek jakiegoś białego przedmiotu, za który łacniej go mogłem pochwycić. Szybko więc wyciągnąłem dłoń i schwyciłem ów rąbek, który został mi w dłoni, podczas gdy Djabeł Morski jednym susem przesadził burtę okrętu i zniknął w głębinie morza. Zostałem na pokładzie płynącego kędyś okrętu z owym białym przedmiotem w dłoni, który to przedmiot był ni mniej, ni więcej - tylko znanym mi już oddawna listem Djabła Morskiego.

Ma się rozumieć, iż moje nagłe i niezwykłe wraz z Djabłem Morskim wtargnięcie na pokład nie uszło uwagi kapitana i załogi. W pierwszej chwili na widok ściganego przeze mnie potwora kapitan osłupiał, a załoga skamieniała ze zdziwienia. Dzięki tym dwom okolicznościom - osłupienia i skamienienia - nie stawiano nam żadnych przeszkód i pozwolono wbiec na pokład odpływającego okrętu. Obecnie wszakże i kapitan i załoga otrząsnęła się z pierwszych, zbyt gwałtownych wrażeń i postanowili zapewne w ten lub inny sposób zaznaczyć swe odrębne stanowisko w sprawie mego samozwańczego włączenia swej osoby do liczby legalnych pasażerów.

Skupiono się wokół mnie w chwili, gdym stanął w miejscu, dzierżąc w dłoni list Djabła Morskiego, który właśnie, przeskoczywszy krawędź okrętu, zniknął w głębinie spienionego morza. Wielki zgiełk i tumult uczynił się dokoła mej nieszczęśliwej osoby. Jeden ze starych

i wytrawnych marynarzy zbliżył się wręcz do mnie i jął mię pilnie i badawczo od stóp do głów oglądać. Zastygłem w miejscu bez ruchu - z rozwartemi naoścież oczyma i z wyciągniętą przed się dłonią, w której tkwił list przeklęty. Zrozumiałem, że byłem igraszką djabelskiego fortelu, z którego pomocą natrętny potwór po raz już piąty zmusił mię do podróży.

Pochłonięty ową myślą, nie zauważyłem nawet, że stary i wytrawny marynarz dotknął zlekka mej przed się wyciągniętej dłoni, a następnie ujął dwoma palcami list, który w niej sterczał. Wówczas opuściłem dłoń, pozbawioną listu, i zbladłem. Stary i wytrawny marynarz zbliżył list do oczu i zaczął go starannie odczytywać. Poczem znów spojrzał na mnie, ale tym razem tak groźnie, żem struchlał. Stary i wytrawny marynarz zauważył natychmiast moje struchlenie i zapewne był upojony potęgą własnego wzroku, gdyż w milczeniu począł raz po raz miotać na mnie błyskawice nieodpartych i nieuniknionych spojrzeń. Czynność owa trwała chwil kilka i przyprawiła mnie o szczególny rodzaj nieznośnych, a nieznanych mi dotychczas cierpień, które się przejawiały nazewnątrz uporczywą drgawką całego ciała, tudzież wielce przykrym brakiem tchu w piersiach. Nauczony gorzkiem doświadczeniem wiedziałem, że czeka mnie zatarg z całą załogą - zatarg, który może zakończyć się bardzo smutnym dla mnie wyrokiem. Wolałem jednak jak najgorsze, byle natychmiastowe rozstrzygnięcie moich losów, niźli owo milczące miotanie spojrzeń starego i wytrawnego marynarza. Nie mogłem ich znosić dłużej, to też drżącym i przerywanym głosem zawołałem, a raczej zaszeptałem, błagalnie wyciągając ku niemu dłonie:

»Nie dręcz mię bezpotrzebnie pociskami swych spojrzeń, stary i wytrawny marynarzu! Mów wprost, co masz do powiedzenia! Szczerze i dokładnie odpowiem na każde twoje pytanie, choćby odpowiedź moja miała pociągnąć za sobą karę śmierci! Wolę śmierć szybką, niż twoje długotrwałe spojrzenia! Nikt nigdy jeszcze dotąd nie patrzył na mnie w ten sposób!«

»Znam potęgę mego wzroku, - odparł stary i wytrawny marynarz - wypróbowałem jej na niejednym zbrodniarzu, lecz każda nowa próba sprawia mi nową przyjemność. Nikt i nic nie ukryje się przed mym wzrokiem. Widzę cię - nawskroś, nawylot, naprzestrzał i docna. List,

który wczas udało mi się wyrwać z twej dłoni, jest listem Djabła Morskiego, - ty zaś jesteś jednym z jego najbliższych krewniaków. Obecność tego listu na okręcie wróży klęski i nieszczęścia. Jedynym dla nas, aczkolwiek niezupełnym ratunkiem - jest jak najrychlejsze pozbycie się tego listu oraz twojej osoby, która bezprawnie wbiegła na pokład, poprzedzona z tych lub innych powodów przez samego Djabła Morskiego. Nie moją jest rzeczą wybór środków i sposobów pozbycia się ciebie i listu. Wybór ten należy do naszego kapitana, który jest obecny i który słyszał z pewnością moje powyższe sprawozdanie«.

Kapitan spojrzał na mnie zpodełba i po chwili rzekł głosem surowym:

»Czy chcesz i czy możesz odeprzeć zarzuty, któremi cię obarczył stary i wytrawny marynarz?«

»Chcę i mogę! - odparłem. - Nie jestem bowiem krewnym Djabła Morskiego, lecz ślepem narzędziem jego przebiegłych i natrętnych knowań«.

Nabrałem tchu, odchrząknąłem głośno i opowiedziałem kapitanowi wszystkie moje z Djabłem Morskim przygody, nie wyłączając ostatniej, która mię przeciw woli i wbrew zamiarom wpędziła na pokład okrętu.

»Tak! - dorzuciłem na końcu. - Przysięgam na miłość, jaką czuję dla wuja mego Tarabuka, że Djabeł Morski usidlił mię w swych sieciach i z pomocą umyślnej obelgi oraz udanej ucieczki - uprowadził mię z Bagdadu do Balsory, a z Balsory - na pokład waszego okrętu w chwili jego odjazdu«.

»Czy masz jakiekolwiek dowody na potwierdzenie prawdy tych słów?« - spytał kapitan.

»Mam!« - zawołałem radośnie.

»Słuchamy tedy« - rzekł kapitan.

»Mam wprawdzie jeden tylko dowód, ale zato niezbity!« - zawołałem znowu w uniesieniu.

»Cóż to za dowód?« - spytał stary i wytrawny marynarz, ironicznie mrużąc oczy.

Pod wpływem nadmiernych wrażeń, a szczególniej pod przemocą spojrzeń starego i wytrawnego marynarza wszystkie myśli zmąciły mi się w głowie, i ani przypuszczałem, iż dowód, który na poparcie mych wyznań przytoczę, narazi mię na to, na co mię właśnie naraził. Spojrzałem prosto w oczy kapitanowi i rzekłem:

»Jedynym, ale niezbitym dowodem mej prawdomówności jest ten, żem, goniąc, wślad za bezczelnym Djabłem, nie zdążył się nawet pożegnać z wujem Tarabukiem dla tej właśnie przyczyny, iż nie zamierzałem zgoła udać się w jakąkolwiek podróż«.

Cała załoga wybuchnęła głośnym śmiechem, któremu wtórował sam kapitan.

»Koszałki - opałki! - zawołał stary i wytrawny marynarz. - Kręty - węty! Tere - fere -kuku! A masz-że tam jeszcze w zapasie choćby kilkoro takich cacanych dowodów? Dowody tego rodzaju w naszych oczach mają wartość opowiadań babuni dla grzecznych dzieci, z tą tylko różnicą, żeś zgoła niepodobny do babuni, my zasię nie jesteśmy grzecznemi dziećmi! Jesteś krewnym Djabła Morskiego i - basta! Poznaję to po wyrazie twych oczu, po rysach twarzy, po głosie i po tem, żeś nie mógł zbyt długo znosić mych potężnych i wypróbowanych spojrzeń! Starego wróbla nie weźmiesz na plewy! Zanadto jestem stary i zanadto wytrawny, aby zaufać byle wybiegom takiego, jak ty, djabelskiego gagatka. Powtarzam więc, iż wybór sposobów pozbycia się raz na zawsze ciebie i owego listu należy nie do mnie, lecz do kapitana«.

»Rozkazuję - rzekł kapitan - rozkazuję staremu marynarzowi, aby list niezwłocznie rzucił do morza. Ciebie zaś, krewniaku djabelski, wysadzimy na pierwszym lądzie, który po drodze spotkamy. Przypuszczam iż będzie to ląd, a raczej wyspa bezludna, na której albo zginiesz z głodu, albo umrzesz z nadmiaru samotności, albo skonasz z powodu zbyt wyłącznego przebywania sam na sam ze sobą, ile że jesteś nasieniem djabelskiem i obecnością swoją nietylko innym, lecz i sobie samemu możesz, jak myślę, śmiertelnie dokuczyć«.

Nic na to nie odrzekłem. Czułem, że wszelkie z mej strony tłumaczenia spełzłyby na niczem. Przez dwa dni żeglugi nie zoczyliśmy naokół ani lądu, ani wyspy. Przez te dwa dni karmiłem się tylko chlebem i wodą, które mi podawano z rozkazu kapitana.

Nocą, jak zazwyczaj, piękna Urgela grywała mi na złotej lutni i dźwięki jej pieśni, przelewając się swym nadmiarem przez brzegi snu, napełniały czarownem echem wnętrze całego okrętu, który kołysał się w takt ich melodji.

Zauważył to kapitan i załoga, a przedewszystkiem stary i wytrawny marynarz.

Nie pytano mnie jednak o przyczyny i źródła owych dźwięków, ustalił się bowiem na okręcie taki obyczaj, że nikt do mnie się nie zbliżał i nikt ze mną nie rozmawiał. Słyszałem tylko zdala, jak stary i wytrawny marynarz tłumaczył kapitanowi pochodzenie owych dźwięków.

»Krewni Djabła Morskiego - mówił, znacząco marszcząc brwi - krewni Djabła Morskiego lubują się czasem w połykaniu rozmaitych przedmiotów, sprzętów i narzędzi, gdyż żołądki ich trawią nawet kamienie. Ten, który na naszym przebywa pokładzie, pewnikiem okradł jakiegoś muzykanta wędrownego, aby skradzionym instrumentem nasycić swój wiecznie głodny żołądek. Może połknął harfę, albo skrzypkę, albo wiolonczelę, albo basetlę, albo cytrę, albo gitarę, albo drumlę jakowąś, która, zamiast burczeć, będzie mu grała w brzuchu dopóty, dopóki jej docna nie strawi«.

Kapitan wielce podziwiał zasoby wiedzy starego i wytrawnego marynarza, ten zaś smutnie głową kiwał, jakby bolejąc nad połkniętą przeze mnie drumlą lub gitarą. Wreszcie na trzeci dzień mitrężnej żeglugi ujrzeliśmy przed sobą wyspę samotną, bezludną i skalistą. Na tej właśnie wyspie wysadzono mnie, a raczej kazano wysiąść. Zaledwom stopą dotknął lądu wyspy, okręt odpłynął i wkrótce znikł mi z oczu. Zostałem sam, nie wiedząc, gdzie się znajduję. Wyspa pokryta była skałami. Zresztą - ani drzew, ani ptaków, ani strumieni, ani nawet źdźbła trawy. Skały, skały i skały. Pomiędzy skałami wiły się ścieżki zawiłe. Zacząłem się błąkać po tych ścieżkach, rozmyślając o bliskiej śmierci głodowej, która mię czekała.

Nagle na zakręcie jednej ścieżki ujrzałem pałac, kuty w skale. Miał olbrzymie drzwi z szarego kamienia, które stały otworem. Natychmiast wszedłem do wnętrza pałacu. Wbiegłem po pustych schodach na piętro, a stamtąd do obszernych, złocistych komnat, w których unosił się smaczny zapach rozmaitych potraw. Komnaty jednak były puste, bezludne, samotne. Węsząc zapachy smażonego, pieczonego i duszonego mięsiwa, szedłem dalej - z komnaty w komnatę, aż wreszcie w ostatniej komnacie ujrzałem postać ludzką. Był to ani zbyt młody, ani zbyt stary tłuścioch, ubrany w szaty jaskrawo żółte i tak lśniące, że mimowoli przesłoniłem dłonią urażone oczy. Pulchna jego twarz posiadała aż trzy pulchne podbródki, które co chwila głaskał nie

 mniej pulchną dłonią. W zadumie i w skupieniu poruszał pulchnemi

wargami i pomlaskiwał pulchnym językiem tak, jakby rozważał smak zjedzonych przed chwilą potraw, których woń gęsta, tłustawa i jeszcze ciepła obficie przesycała i urozmaicała powietrze komnaty. Nie spojrzał nawet na mnie, zbyt zajęty rozsmakowywaniem swych świeżych i wonnych wspomnień podniebieniowych.

Każdy jego ruch i każdy wyraz twarzy budził we mnie tak nieznośny i tak zapalczywy apetyt, żem nie mógł ani na mgnienie oderwać swych oczu od owych ruchów i wyrazów. Trwaliśmy tak w milczeniu przez chwil kilka.

Wreszcie tłuścioch raczył zwrócić uwagę na moją obecność i, nie zdziwiony nią zgoła, głosem tłustawym i smakowitym rzekł, niby odniechcenia:

»A - bardzo mi przyjemnie ujrzeć znienacka w mym własnym pałacu gościa poniekąd nieproszonego«.

»Jestem podróżnikiem, zbłąkanym wśród skał tej wyspy - odrzekłem, wsłuchując się w jego nieustanne mlaskanie językiem. - Przypuszczam, iż na całej kuli ziemskiej niema człowieka głodniejszego ode mnie, któryby jednocześnie wdychał nozdrzami tyle smakowitych a uroczych zapachów!«

»Jakto! - zawołał tłuścioch z wielkim niepokojem. - Jesteś głodny i nikt cię dotąd nie nakarmił! Bój się Boga, człowieku marudny, czemuś wcześniej do mnie nie przyszedł? Byłbyś sobie podjadł świeży i wonny obiadek, a teraz, niestety, będziesz musiał zadowolić się odgrzanemi resztkami. Zgóry cię za to przepraszam, ale Bóg widzi, że nie moja w tem wina! Jak mogłeś tak się spóźnić na obiad? Wyrządziłeś mi, człowieku niedobry, wielką krzywdę i większą jeszcze przykrość. Powiedz-że mi co prędzej, człowieku uparty, czy masz dostateczny apetyt, gdyż w razie braku apetytu dam ci ziółek gorzkich, które apetyt natychmiast pobudzą«.

»Ziółka mi są zgoła niepotrzebne! - zawołałem niecierpliwie. - Mam wprost wilczy apetyt i każda chwila zwłoki jest dla mnie męczarnią nie do zniesienia!«

»Cierpliwości, cierpliwości, człowieku gwałtowny! - rzekł tłuścioch z uśmiechem dobrotliwym. - Musimy przedewszystkiem zasiąść do tego oto stołu, który tkwi niemal w pośrodku komnaty«.

 Usiadłem na wskazanem mi krześle.

»Więc powiadasz tedy, iż masz apetyt dostateczny ? - spytał znów tłuścioch, siadając naprzeciwko i zacierając swe pulchne dłonie.
»Dostateczny, najzupełniej dostateczny ! - zawołałem z mocą. - Nic mi nie brak, prócz jedzenia ! Każda chwila zwłoki przyprawia mię o mdłości nieludzkie !«
»Cierpliwości, cierpliwości, człowieku w gorącej wodzie kąpany ! - rzekł znowu tłuścioch, dobrodusznie pogłaskując swój potrójny podbródek. - Wszakże musimy uprzednio obmyśleć zespół oraz następstwo potraw. Chciałbym wiedzieć, co pragniesz spożyć najpierw, a co - potem ? Przedewszystkiem jednak zawołam lokaja, aby nam co tchu nakrył do stołu«.
Mówiąc to, klasnął w dłonie tak, jakby na lokaja, a chociaż nikt się na owo klaśnięcie nie zjawił - zwrócił ku drzwiom swą pulchną twarz z takim wyrazem, jakby właśnie we drzwiach stał przywołany lokaj.
»Mój drogi Kalebasie - rzekł do urojonego w drzwiach lokaja - nakryj co prędzej do stołu, bo mamy gościa, którego pragnę uraczyć doskonałym obiadem tem bardziej, że mu nic nie brak, prócz jedzenia«.
W pierwszej chwili wydało mi się, że dobroduszny z pozoru tłuścioch jest warjatem, lecz natychmiast przyszło mi do głowy, iż jest poprostu miłośnikiem figlów, i postanowiłem, gwoli pozyskania na przyszłość jego względów i gościnności, przytakiwać owym figlom i wraz z nim udawać, iż wierzę najzupełniej w rzeczywistość urojonych przedmiotów.
»Bardzo mi się podobał z twarzy ów Kalebas - rzekłem poważnie - przypomina mi ogromnie pewnego starego i wytrawnego marynarza, którego spotkałem na okręcie podczas mej ostatniej podróży«.
»Jest to stary i wierny sługa - odpowiedział zarówno poważnie tłuścioch. - Cenię go i lubię za pośpiech, z jakim spełnia każde zlecenie. Czy nie uważasz, jak szybko nakrywa do stołu ?«
»Podziwiam twą szybkość i usłużność, poczciwy Kalebasie - rzekłem, zwracając się do nieistniejącego lokaja i niezwłocznie, czyniąc w powietrzu dłonią taki ruch, jakim zazwyczaj wręcza się napiwki, dodałem głosem skromnym a uprzejmym: - Masz tu, mój drogi, tysiąc dukatów na rozgrzewkę. Jest to drobnostka, która ci się wszakże przyda«.
»Nie psuj mi służby zbytnią hojnością« - szepnął ukradkiem tłuścioch, pochylając się ku mnie i grożąc mi palcem na nosie.
»Stół już nakryty ! - zawołałem, udając radość niezmierną. - Możemy
 teraz śmiało zażądać najwybredniejszych potraw ! Nieprawdaż ?«

»Od czego zaczniemy? - spytał tłuścioch, mrużąc oczy i udając głęboką zadumę. - Myślę, że najlepiej byłoby zacząć od jakiejś niewinnej przekąski w rodzaju sardynek w oliwie, które, ubłożywszy zlekka podniebienie, nie odebrałyby apetytu do dań następnych«.
»Zgoda!« - rzekłem, udając wesołość i zadowolenie. Tłuścioch znów klasnął w dłonie.
»Czy nie widzisz tam we drzwiach Kalebasa?« - spytał po chwili.
»Stoi tam już od minuty w oczekiwaniu twych zleceń« - odparłem.
Tłuścioch zwrócił głowę ku drzwiom.
»Poczciwy Kalebasie - rzekł z dobrodusznym uśmiechem - przynieś nam pudełko sardynek w oliwie, jeno duchem, bo gość ma apetyt wilczy i śpieszno mu do przekąski«.
»Nie jestem znów tak głodny, abym nie mógł chwili jednej zaczekać« - zauważyłem głosem niezwykle ugrzecznionym, udając pewnego rodzaju wstydliwość i zakłopotanie człowieka, który nie chce wyzyskiwać zbytniej gościnności gospodarza.
»Nie krępuj się, człowieku wstydliwy! - zawołał tłuścioch. - Żądaj czego tylko dusza twoja zapragnie! Uważaj mój dom za swój własny. Gościnność jest jedynym moim nałogiem. Ale otóż i sardynki zjawiły się już na stole. Błagam cię, człowieku wstrzemięźliwy, jedz, ile się zmieści! Czem chata bogata, tem rada!«
I, mówiąc to, tłuścioch swoją pulchną dłonią przysunął mi zręcznie i usłużnie nieistniejące zgoła pudło urojonych sardynek w niemniej urojonej oliwie.
Jąłem je wywlekać z pudła niewidzialnym widelcem i kłaść na niewidzialnym talerzu. Tłuścioch też, idąc za moim przykładem, wyciągnął widelcem jedną sardynkę, wsunął ją szybko do rozwartych zawczasu ust, przełknął, oblizał się i rzekł:
»Świeżuteńkie! Takich sardynek z pewnością nigdzie nie jadłeś. Każę je zaprawiać bobkowemi liśćmi i goździkami, aby w ten sposób ożywić i zaostrzyć mdły smak oliwy«.
»Przewyborne!« - zawołałem, udając, że przełykam - jedną po drugiej - urojone sardynki.
»Nie krępuj się, człowieku niedobry, i weź jeszcze - choćby kilka«.
»Już nie mogę, - doprawdy nie mogę!« - odmawiałem się z niezwykłem ugrzecznieniem.

»Wyrządzasz mi krzywdę i przykrość! - zawołał tłuścioch. - Weź choćby tę jedną, co leży nauboczu, najsuciej wykąpana w oliwie i najsrebrniej połyskująca spasionym brzuszkiem, w którym obecnie utkwił samotny a wielce nadobny goździk, jakby na znak, iż od owego właśnie miejsca warto tej rozkoszy napocząć«.

»Wezmę tedy jeszcze tę jedną, pod warunkiem, że będzie - ostatnia«.

Podczas gdy jadłem wskazaną mi przez tłuściocha sardynkę, ten ostatni znów klasnął w dłonie i zwrócił głowę do drzwi.

»Kalebasie - zawołał - podaj nam co tchu dwie filiżanki rosołu z pasztecikami«.

»Pasjami lubię rosół« - zauważyłem.

»A więc pij, póki gorący, ale ostrożnie, abyś nie oparzył warg«.

»Paszteciki - znakomite!« - rzekłem, udając zachwyt.

»Nieprawdaż? - zawołał tłuścioch, chuchając i poruszając kolisto rozwartemi wargami, tak, jakby smakowicie się borykał ze zbyt gorącym pasztecikiem. - Są to paszteciki mego własnego pomysłu. W ich wonnem i parnem wnętrzu tkwi odrobina jarząbka, źdźbło kapłona, naparstek móżdżku i złotawa krztyna szpiku wołowego. Piękna to zaiste chwila, gdy owe z rozmaitej dziedziny mięsiwa i tłuszczyki wejdą pomiędzy sobą w milczące porozumienie, ażeby wspólnie utworzyć jednolity i niepodzielny smakołyk! Jarząbek zapożyczy smaku od kapłona, kapłon - od móżdżku, aż wreszcie wszystko troje przesiąknie nawskroś wnikliwym szpikiem, aby napęcznieć, wyprzejrzyścieć i przysposobić się do ostatecznego roztajania na szlachetnem podniebieniu pożądanego gościa!«

Każde słowo tłuściocha aż do bólu podniecało mój głód i apetyt. Postanowiłem jednak aż do końca grać powziętą rolę w tej nadziei, iż tłuścioch zlituje się wreszcie nade mną i uraczy mię choćby jedną rzeczywistą potrawą.

Tymczasem wszakże musiałem zjadać potrawy urojone, które nam podawał urojony Kalebas. Było tych potraw bezliku tak, że wkońcu straciłem wszelką rachubę.

Przyszła wreszcie chwila, gdy tłuścioch kazał podać wino i desery. Urojony Kalebas natychmiast spełnił jego zlecenie.

»Stół ugina się pod butlami wina - rzekł tłuścioch, wskazując pustą
145 ~ powierzchnię stołu. - Czy jesteś znawcą win?«

»I owszem« - odrzekłem.
»Pozwól więc, człowieku wybredny, że ci po brzegi wypełnię puhar tem oto wińskiem z wysp Papuzich, które to wyspy odznaczają się tem, iż niema na nich ani jednej papugi, lecz same co najprzedniejsze winogrona«.
Udałem, żem pochwycił w dłonie napełniony puhar i przywarłem go do ust.
»Widzę, żeś jednym tchem całą zawartość wychylił? Pozwól, że ci doleję«.
»Nie chcę przebrać miary w piciu - odrzekłem z uśmiechem - bo, chociaż łeb mam mocny, wszakże wino może mi w głowie zaszumieć, a wówczas - nie odpowiadam za własne postępki«.
»Nie uchylaj się od picia, człowieku oględny! - zawołał tłuścioch. - Ile wina w głowie, tyle prawdy w słowie! Albo - jeśli wolisz: ile wina w brzuchu, tyle mocy w duchu. Pij i żłop, jeśliś chłop! Póki dech w tobie dycha, nie odsuwaj kielicha!«
I znowu podał mi nieistniejący kielich, napełniony winem, którego nie było.
Zacząłem wychylać kielich po kielichu, aż wkońcu przybrałem wyraz taki, jakbym się upił. Wstałem z krzesła i chwiejnym krokiem, słaniając się na strony, zbliżyłem się do tłuściocha. Głód i wściekłość wstrząsały mojem ciałem. Postanowiłem ukarać dziwacznego a nielitościwego gospodarza.
»Nazwałbym cię osłem, gdybyś nie był podobny do wieprza« - rzekłem, udając bełkot pijanego i trzepiąc go płazem dłoni po pulchnych podbródkach.
Tłuścioch pośpiesznie usunął się ode mnie.
»Widzę, żeś się spił nie na żarty, człowieku nieobliczalny!« - zawołał z udanym uśmiechem.
»Nalej mi jeszcze puhar wina!«-wrzasnąłem, zataczając się po pijanemu.
»Dość już wina, dość!- zawołał tłuścioch. - Wypiłeś stanowczo za wiele«.
»W takim razie sam sobie kielich winem napełnię! - odrzekłem tonem urażonym i zrobiłem dłonią nad stołem ruch taki, jakbym kielich napełniał. Poczem w ten sposób napełniony kielich wychyliłem do dna.
»Człowieku niepoprawny! - zawołał tłuścioch. - Toć miarkuję, że ledwo na nogach się trzymasz! Uprzedź mię przynajmniej, jakich zazwyczaj wybryków imasz się po pijanemu?«

»Bijam!« - odrzekłem.
»Bijasz?« - spytał tłuścioch, najwidoczniej truchlejąc.
»Bijam!« - powtórzyłem z mocą.
»Kogo?« - spytał tłuścioch.
Zamiast odpowiedzi porwałem go za kark, obaliłem na ziemię i jąłem raz po raz okładać go pięścią. Przerażenie jego było tak wielkie, że nawet nie krzyknął. Obdarzywszy go odpowiednią ilością razów, podniosłem z ziemi, chwyciłem za gardło i przyparłem do muru.
»Puść mię, puść! - zawołał, blednąc ze strachu. - Każę ci podać najprawdziwsze, najrzeczywistsze potrawy! Oddam ci za żonę moją córkę jedynaczkę wraz z połową mego majątku! Nie pozbawiaj mię życia, które spędzam tak cudownie na doskonałej bezczynności i na spożywaniu nieporównanych smakołyków!«
Wypuściłem z dłoni jego pulchne gardło i zajrzałem mu w oczy z wyrzutem, z bólem i z gniewem.
»Jak mogłeś tak się znęcać nad moim głodem?« - rzekłem z mocą.
»Przebacz mi mój wybryk okrutny, przyszedłeś wszakże w chwili, gdym nie mógł postąpić inaczej. Ukończyłem właśnie obiad, złożony wyłącznie ze smakołyków mego własnego wynalazku, gdyż jestem nieporównanym smakoszem i żarłokiem i zamieszkałem z moją córką umyślnie na tej wyspie samotnej, aby w tej samotności skupić wszystkie władze mej duszy w jedność i ową jedność zastosować jedynie do wczuwania się w najtajniejsze posmaki najrozmaitszych potraw. Otóż przybyłeś w chwili, gdym, po zjedzeniu osobliwie udanego obiadu, rozpaczał, że nie mogę tego obiadu powtórzyć od początku do końca z powodu, iż przeładowany żołądek odmawiał mi wszelkiego posłuszeństwa. Obydwaj tedy jednakie znosiliśmy męczarnie, gdyż zarówno - pomimo żądzy jedzenia - nie mogliśmy jeść, ty - z powodu braku jadła, ja zaś - z powodu jego nadużycia. To też rozzłościł mnie a nawet do głębi uraził twój wilczy apetyt i możność pożerania potraw, które dla mnie chwilowo przynajmniej stały się niedostępne. Umyśliłem więc zadrwić z ciebie w sposób - zaiste - nieludzki. Spotkała mię za to z twej ręki słuszna kara, za którą nie mam do ciebie żalu najmniejszego, obawiałem się tylko zbytniego przedłużenia owej kary, gdyż takie przedłużenie mogłoby sprowadzić dla mnie skutki wielce
 smutne. Podobasz mi się jednak tak bardzo, że chętnie uczynię cię

moim zięciem. Przedewszystkiem wszakże muszę cię tym razem naprawdę nakarmić, bo gotów jesteś skonać z głodu przed ślubem z moją córką, której uroda z pewnością ciebie oczaruje«.

Tłuścioch przyjaźnie uścisnął mi obydwie dłonie i, porwawszy wiszący na ścianie kołatek, uderzył nim w gong ponad drzwiami.

Na przeciągły, melodyjny i echami nasycony dźwięk gongu zjawił się we drzwiach rzeczywisty Kalebas.

Tłuścioch szeptem dał mu odpowiednie zlecenia - i po chwili stół uginał się pod brzemieniem rzeczywistych, namacalnych, dotykalnych potraw.

Podczas, gdym pożerał potrawę, zda się, dwudziestą czwartą, weszła do pokoju cudowna Stella, córka tłuściocha. Była piękna bez zarzutu, lecz miała jedną wadę, mianowicie zbytnią otyłość, którą po ojcu odziedziczyła. Otyłość ta wszakże nie koślawiła jej urody, ponieważ ruchy miała niezwykle zręczne i zwinne, ruchy wiotkiej i smukłej dziewczyny. W jedzeniu lubowała się tak samo jak ojciec i posiadała podniebienie tak samo wytrawne.

»Jest to cudzoziemiec, któremu z powodu rozmaitych okoliczności przyobiecałem twoją rękę - rzekł tłuścioch, wskazując mię swej córce.- Czy nie masz nic przeciwko temu«.

»Nie mam nic przeciwko temu« - odrzekła, rumieniąc się i spuszczając oczy.

»Pragnę, aby ślub wasz odbył się jutro. Czy zgadza się to z twoją wolą« ?

»Niezupełnie... - zauważyła nieśmiało Stella. - Wolałabym, aby ślub nasz odbył się dziś jeszcze«.

»Nie mam nic przeciwko temu« - odpowiedział zkolei tłuścioch.

»Chciałabym jednak wiedzieć, jak się na mój pośpiech zapatruje ów miły zewszechmiar cudzoziemiec ?« - szepnęła Stella, zerkając na mnie.

»Nie mam nic przeciwko pośpiechowi« - odparłem, pożerając gwałtownie potrawę, którą mi przed chwilą właśnie podał Kalebas.

Po zjedzonym obiedzie, nie zwlekając ani chwili, poślubiłem piękną, aczkolwiek zbyt otyłą Stellę i zamieszkałem w pałacu dobrodusznego tłuściocha.

Stella, prócz otyłości, miała, jak się okazało, jeszcze jedną wadę, mianowicie cierpiała na bezsenność.

Dzięki owej bezsenności, posłyszała dźwięki złotej lutni, na której grała mi we śnie Urgela.

»Cóż to za dźwięki dobywają się z twego snu? - spytała mię pewnego razu. - Oddawna już chciałam cię o to zapytać, ale jakoś zapominałam«.
Opowiedziałem jej całą przygodę z Urgelą.
»O! - zawołała, czerwieniejąc z gniewu. - Nie mogę pozwolić na to, aby twój sen zapełniała jakaś obca istota!«
»Urgela nie jest właściwie - istotą - odparłem nieśmiało - jest snem tylko. Nie istnieje, lecz śni się... Rozumiesz?«
»Nie rozumiem i nie chcę rozumieć! - wrzasnęła Stella. - Ciekawa jestem, cobyś ty na to powiedział, gdybym się komuś co noc śniła i w dodatku grywała mu na lutni złotej? Nienawidzę tej Urgeli i muszę ją wypędzić z twego snu na wszystkie cztery wiatry!«
»Bój się Boga, Stello, jak możesz być zazdrosna o sen?«
»Jestem zazdrosna o sen, gdyż sama cierpię na bezsenność«.
Mówiąc to, Stella tupnęła nogą i wyszła z pokoju.
Od tego czasu życie moje stało się nieprzerwaną męczarnią. Stella, chcąc mi wzbronić zamieszkałego przez Urgelę snu, po całych nocach nieustannie szarpała mię za ramię, aby mi sen przerywać. Na chwilę nawet nie mogłem zmrużyć oka. Wychudłem, wynędzniałem, osłabłem i chodziłem po pokoju krokiem chwiejnym i obłędnym, nie mogąc zaznać upragnionego spoczynku.
»Ja spać nie mogę, więc i ty nie śpij!« - mówiła Stella, której zbytnia otyłość zaczęła mię razić od pewnego czasu.
»Stello błagam cię, pozwól mi się zdrzemnąć choćby na okamgnienie!«
»Nie pozwolę!«
»Dlaczego?«
»Dlatego, że nie chcę, abyś widział we śnie Urgelę. Pragnę sama rządzić i opiekować się twym snem«.
»Czyż opieka żony na tem polega, aby mężowi odbierać sen i przyprawiać go o męczarnie nieznośne?«
Stella nie dała mi żadnej odpowiedzi.
Zapomniałem nadmienić, iż Urgela, której pewnego razu udało się na chwilę wkroczyć do mego snu, powiedziała mi wręcz, że nienawidzi Stelli i że pragnie zemścić się na niej za to, że mi sen przerywa. Wreszcie stało się to, czegom się najbardziej obawiał.
Stella z pewnej księgi czarodziejskiej dowiedziała się, jakich sposobów trzeba użyć w celu wywleczenia Urgeli z głębiny snów - na jawę.

Pewnej nocy, gdym zasnął, pokropiła mię wywarem odpowiednich ziół i wymówiła odpowiednie zaklęcie. Pod wpływem owych ziół i zaklęcia Urgela, która właśnie grała w mym śnie na lutni, straciła nagle swoją równowagę senną i wychyliwszy się poza obręb snu - w rzeczywistość, znalazła się nagle - drżąca i wylękła - na środku komnaty, przed obliczem gniewnej Stelli.

Zbudziłem się natychmiast i ujrzałem scenę, której nigdy nie zapomnę. Żona moja otyłemi dłońmi wpiła się w widmowe, złociste warkocze przerażonej Urgeli. Widziałem, jak dłonie Stelli, nie mogąc rozszarpać zbyt nikłych i niepochwytnych warkoczy, ześliznęły się na piersi wróżki i wpiły się paznokciami w jej widmowe, niepochwytne ciało, które było jeno snem zlęknionym.

Smukła, powiewna postać Urgeli przepełniła się dreszczem, pod którego przemocą ciało jej tak wyprzejrzyściało, że obicia przeświecały przez nie. Wreszcie dłonie Stelli, nie mogąc wyczuć kształtów Urgeli, podążyły ku lutni złotej, którą w ręku trzymała, wyrwały tę lutnię i poszarpały ją w złote strzępy, które spłonęły, jak jęzory ognia, i zgasły raz na zawsze.

Wówczas jęk i płacz melodyjny wyrwał się z piersi Urgeli.

»Zabiła mnie, pozbawiając lutni! - jęczała Urgela. - Nie dano mi umrzeć, bom nie żyła, tylko śniłam się ludziom, ale już odtąd nigdy nikomu przyśnić mi się nie wolno!«

I z temi słowy na ustach Urgela znikła, aby już nigdy nie odwiedzić mnie we śnie.

Zbrodnia mojej nieco zbyt otyłej małżonki napełniła mię takim wstrętem i oburzeniem, żem natychmiast opuścił pałac i, pędząc co tchu przed siebie, skierowałem swój bieg ku morzu. W pierwszej chwili chciałem się utopić i byłbym to z pewnością uczynił, gdyby nie ten przypadek szczęśliwy, iż, dobiegłszy do brzegu, ujrzałem okręt, który płynął wpobliżu. Na krzyk mój okręt zbliżył się do brzegu. Wbiegłem na pokład, błagając kapitana, aby co prędzej odbił od brzegu, gdyż bałem się pogoni mej małżonki. Okazało się, iż okręt płynął w stronę Balsory. Żegluga nasza trwała kilka miesięcy. Po upływie wspomnianych miesięcy, wylądowałem w porcie balsorskim.

* *

P R Z Y G O D A S Z Ó S T A

ZMĘCZONY trudami podróży, z radością wstąpiłem w znajome progi rodzinnego pałacu. Przedewszystkiem postanowiłem przeprosić wuja Tarabuka za to, żem się z nim nie pożegnał przed wyruszeniem w ostatnią, zgoła niespodzianą i niezamierzoną przeze mnie podróż. Wyznam, iż stęskniłem się nieco do mego wuja i śpieszno mi było zobaczyć go i powitać. Ostatniemi czasy śnił mi się kilka razy i za każdym razem jawił się we śnie jakiś wielce dziwny i zmieniony. Miał twarz z prawego profilu podobną do orangutanga, a z lewego - do kakadu. Takie zespolenie dwóch zgoła rozmaitych profilów możliwe jest, ma się rozumieć, tylko we śnie. Przykre wszakże wrażenie wywarła na mnie owa dwoistość profilu. Nie wierzę, iż sen spełnia się dosłownie, ale wierzę w to, iż spełnia się w przybliżeniu i z przeróżnemi odmianami, których wymaga rzeczywistość i jej niezłomne prawa.

Bałem się, że sen ów był jakąś - niezrozumiałą dla mnie przepowiednią. Pobiegłem tedy wprost do pokoju wuja, aby się przekonać, jakie znaczenie miał mój sen dziwaczny. Biegnąc, miałem na myśli naprzemian to orangutanga, to kakadu, lecz i orangutang i kakadu pierzchły z mych myśli wobec rzeczywistości, którą ujrzałem. Postać, którą zastałem w pokoju wuja Tarabuka, prześcignęła wszelkie sny, wszelkie oczekiwania i wszelkie obawy! Stanąłem, jak wryty, nie wiedząc, co mam czynić - czy trwać na miejscu, czy zmykać co tchu przed potworem, który patrzył na mnie wzrokiem mego wuja, lecz nie posiadał zresztą żadnej innej z nim wspólnoty. Im mniej był do niego podobny, tem bardziej przerażały mnie tu i ówdzie luźne i dorywcze cechy niezaprzeczonego podobieństwa. W pierwszej chwili wydało mi się, iż widzę jakąś zmorę, w której dopiero po pewnym czasie rozpoznałem - istotę ludzką.

Twarz owej istoty nie była zupełnie czarna. Powiedziałbym, iż pokrywały ją szczelnie drobne, czarne centki, nakształt maku. Te same

centki przesłaniały powierzchnie dłoni. Tym samym drobnym makiem upstrzona była szyja. Całość robiła wrażenie tak niezwykłe, żem osłupiał. Gdym nieco przyszedł do siebie, szepnąłem głosem lękliwym: »Kim jesteś, człowieku o nieludzkim wyglądzie?«

»Jestem twoim rodzonym wujem« - odparła dziwaczna istota.

»Nie wierzę« - odrzekłem nieśmiało.

»Powinszuj mi - odpowiedział wuj Tarabuk, gdyż on to był bezwątpienia - powinszuj mi nowego wynalazku. Wpadłem na zgoła nowy pomysł utrwalenia mych utworów. Nie mogę ich bowiem powierzyć ani papierom, ani pergaminom, ani zawodnej pamięci zdradliwych dziewcząt. Jedynym człowiekiem, któremu mogę je powierzyć, jestem - ja sam, we własnej osobie. Spójrz na mnie - czyliż nie wyglądam, jak przystoi wielkiemu poecie? Cały mój dobytek duchowy mam - na własnem ciele. Skóra moja to - notes, który tylko śmierć zniszczyć może. Widzę po twych oczach, że jesteś ciekawy mego pomysłu, otóż natychmiast zaspokoję twoją ciekawość. Dzięki szczęśliwemu trafowi, spotkałem w Bagdadzie Chińczyka, który posiada sztukę tatuowania. Zaprzyjaźniłem się z nim i zwierzyłem się ze wszystkich moich trosk i utrapień. Po wysłuchaniu moich zwierzeń Chińczyk pogrążył się w głębokiej zadumie, która trwała trzy dni i trzy noce. Wreszcie po trzech dniach i trzech nocach poradził mi, abym wszystkie moje utwory z pomocą sztuki tatuowania utrwalił na własnej swojej skórze. Byłem oczarowany radą Chińczyka. Prosiłem go, aby natychmiast swój pomysł wykonał. Chińczyk z usłużną radością zabrał się do żmudnej roboty. W przeciągu krótkiego czasu upstrzył mi skórę tak drobnemi literami, że tylko przez lupę można je odczytać. Nikt mię teraz nie pozbawi mych utworów. Dreszcz niewymownej rozkoszy przenikał mię w miarę, jak powierzchnia mego ciała pełniła się z każdą godziną cudownem brzemieniem mych upajających wierszy. Stałem się oto w jednej osobie - autorem i książką. Jestem - jedynem wydaniem mych własnych dzieł, - jedynym na świecie człowiekiem, którego duszę można każdej chwili odczytać, ma się rozumieć, przez lupę«.

»O! - zawołałem ze łzami w oczach. - Czyżem przypuszczał, że mam takiego wuja, który zbliska jest - wspaniałą księgą, a zdaleka doskonałym murzynem!«

Nie mogąc powstrzymać łez, rzuciłem się w objęcia wuja Tarabuka i jąłem całować jeden z jego czarno nakrapianych policzków.
»Ostrożnie, ostrożnie! - zawołał wuj, usuwając mię od siebie. - Wyrzekłbym się ciebie na wieki, gdybyś mi starł wargami choćby jedną literkę! Policzki moje, które zaniepokoiłeś pocałunkami, są miejscem spełnionego cudu. Na prawym policzku mam poemat p. t. »Zaloty«, a na lewym - dramat p. t. »Cios dotkliwy«. Na jednej z mych dłoni tkwi wiersz ulotny p. t. »Dzieńdobry«, a na drugiej - elegja wieczorna p. t. »Dowidzenia«. Piersi moje roją się od najtkliwszych sonetów, a szyja pokryta jest szczelnie najśpiewniejszemi rondami. Jedne tylko plecy czekają na nowe arcydzieło, nad którem obecnie pracuję. Czuję się, niby żywa księga, i łóżko moje uważam za bibljotekę. Jeśli jesteś ciekaw zawartości owej księgi - weź do rąk lupę i czytaj!«
Wuj podał mi lupę, lecz byłem zbyt zmęczony podróżą i nie miałem chęci odczytywania czerniejących na skórze wuja utworów.
»Jeśli wuj pozwoli - rzekłem nieśmiało - odłożę czytanie na potem, tymczasem wszakże muszę zauważyć, iż utrwalenie własnych utworów na własnej skórze, pomimo wielu przewag i zalet, ma jedną niezaprzeczoną wadę, mianowicie - utwory te giną dla potomności z chwilą śmierci samego autora«.
»Pomyślałem już o tem - odpowiedział spokojnie wuj Tarabuk - pomyślałem i znalazłem sposób uniknięcia tak bolesnej dla potomności straty. Oto postanowiłem przekazać ci w testamencie prawo przedruku na twojej własnej skórze«.
»Co? - zawołałem przerażony. - Na mojej własnej skórze? Mogę uznać tatuowanego wuja, ale nie mogę i nie chcę być tatuowanym siostrzeńcem!«
Na czarno nakrapianej twarzy wuja Tarabuka zjawiła się jakaś plama dziwaczna, która napewno była rumieńcem gniewu lub oburzenia. Niewiadomo, jakby się wuj w tej chwili względem mnie zachował, gdyby nagłe wejście uczonego Chińczyka nie przerwało naszej rozmowy.
»Oto jest mój zbawca i dobrodziej!« - zawołał wuj, wskazując wchodzącego.
Chińczyk skłonił się poważnie.
Wuj zbliżył się do niego i zaczął szeptem prowadzić z nim jakąś tajemniczą rozmowę. Przez długą chwilę szeptali nawzajem do siebie, ba-

dawczo przyglądając mi się od czasu do czasu. Posłyszałem tylko ostatnie słowa, które Chińczyk szepnął wujowi do ucha: »Zdatny, najzupełniej zdatny... Z przyjemnością będę go tatuował... Nie mogłeś wpaść na lepszy pomysł przekazania potomności swych utworów. Jest to godny ciebie spadkobierca«.

Domyśliłem się, że mowa była o mnie, lecz udawałem, że nie słyszę. Postanowiłem w duszy nie przyjmować «prawa przedruku«, które mi wuj chciał w testamencie ofiarować. Nie mogłem się jednak pozbyć myśli, że w sercu wuja i w duszy Chińczyka tkwi nieustannie potworny zamiar wykonania w przyszłości owego »przedruku«. - Drażniły mię ich tkliwe i czułe spojrzenia. Okazywali mi przesadny szacunek, jako przyszłemu spadkobiercy, który kiedyś ma się stać »drugiem wydaniem« nieśmiertelnych dzieł wielkiego poety. Czułem się nieswojo i nieco posmutniałem. Stosunek mój z wujem stał się mniej przyjazny i zlekka natężony. Unikałem jego obecności i pobyt w domu rodzinnym zaczął mi ciążyć. Z tych »natężonych stosunków« nie omieszkał skorzystać Djabeł Morski. Urgela już nie nawiedzała mię we śnie, więc Djabeł Morski miał dostęp do moich snów. Pewnej nocy wszedł do głębi mego snu, który był właśnie snem o nieznanych wybrzeżach. Na niebiosach tego snu jaśniał olbrzymi księżyc i Djabeł od stóp do głów srebrzyściał w oświetleniu księżycowem. Zdala - na widnokresie snu majaczyły nieznane wybrzeża - a wpobliżu - nad moją głową, latały ptaki, które zamiast dziobów miały - tycie złote flety. Powietrze mego snu rozbrzmiewało muzyką owych fletów. Tak śpiewnie i tak pięknie było w moim śnie, że nawet potworna postać Djabła Morskiego nabrała czaru i powabu. Widok jego ucieszył mię, zamiast przerazić. Djabeł Morski zauważył natychmiast mój osobliwy stan ducha i przyjaźnie uśmiechnął się do mnie. W oczach jego jarzyły się cudowne błyski księżycowe, a ptaki siadały mu na ramionach i, wściubiwszy mu do uszu swe złote flety, śpiewały poufnie o krainach zaklętych.

»Witaj mi w moim śnie! - zawołałem wesoło. - Domyślam się, iż przybywasz tu po to, aby mię kusić do podróży. Nie chcę się w tej chwili opierać żadnym pokusom. Sen mój stoi otworem dla wszystkich, którzy pragną wnijść do jego wnętrza. Proszę cię, bądź tu, jak u siebie. Upajaj się dosyta śpiewem mych ptaków i srebrzyj się dowoli blaskiem mego księżyca. Ogarnęła mię dzisiaj we śnie miłość dla wszelkich stwo-

rzeń - rzeczywistych i urojonych. Sprawia mi nawet przyjemność widok takiego, jak ty, potwora, który mi w życiu tyle klęsk przysporzył. Kocham nawet klęskę za to, że się stała cudownem, pełnem przygód wspomnieniem. Kocham wszystko, cokolwiek śnić się może i umie. Ty zaś umiesz śnić się doskonale, więc nie chcę się opierać twym pokusom. Kuś mię do nowych podróży. Czaruj mię nowemi obietnicami. Nie będę się przeciwił czarom. Nie będę unikał klęsk i niebezpieczeństw. We wszystkiem potrafię odnaleźć - szczęście, choćby przybrało na się postać potwornego karła, bezludnej wyspy, straszliwej burzy na morzu, rozbitego okrętu, lub samego Djabła Morskiego. Dręczy mię jedna tylko myśl, mianowicie ta, że mam wuja tatuowanego, który chce w testamencie przekazać mi okrutne prawo przedruku swych utworów na mojej własnej skórze«.

»Niestety! - zawołał Djabeł Morski, srebrząc się coraz rzęsiściej w świetle księżyca. - Niestety! wuj Tarabuk jest, mojem zdaniem, głównem źródłem twych smutków. Przechodząc koło pałacu, wstąpiłem po drodze do twego snu tylko w tym celu, aby pomówić z tobą o wuju Tarabuku i o jego chińskim przyjacielu. Mam dla ciebie więcej przyjaźni, niż sądzisz. Chcę cię ostrzec przed grożącem ci niebezpieczeństwem. Wuj Tarabuk i jego Chińczyk uknuli przeciw tobie spisek potajemny. Wuj Tarabuk boi się, że śmierć nagła i niespodziana zgładzi go ze świata i że po jego śmierci nie zechcesz skorzystać z przekazanego ci prawa przedruku. Byłby to cios dla starego dziwaka, gdyby jego utwory nie przeszły do potomności. To też wraz z Chińczykiem postanowił jeszcze za życia wypuścić w świat drugie wydanie swych dzieł. Domyślasz się chyba, co to znaczy? Otóż chce on za poradą Chińczyka upoić cię sennemi ziołami i - obezwładnionego w ten sposób - odpowiednio utatuować. O, biedny Sindbadzie! O, nieszczęśliwy Sindbadzie! O, wyjątkowo upośledzony losem Sindbadzie! Zmykaj co tchu ze swego pałacu! Wierzaj mi, iż stokroć lepsza jest wszelka klęska na morzu, niźli nagła strata ludzkiego wyglądu, do którego już nawykłeś i z którym zbyt już zżyłeś się przez cały szereg lat, spędzonych na ziemi«.

Słowa Djabła Morskiego napełniły mię przerażeniem. Przenikliwy dreszcz strachu wstrząsnął mem ciałem, pogrążonem we śnie. Wydało mi się nagle, iż największym moim wrogiem jest - wuj Tarabuk, a najlepszym przyjacielem - Djabeł Morski. Ton jego głosu był tak łagodny,

a treść każdego zdania tak przekonywająca, że byłem wkońcu wzruszony jego życzliwością.
»Kochany i wielce czcigodny potworze - rzekłem doń poufnie - będę posłuszny twym radom. Niechno tylko srebrny sen pierzchnie z mych powiek, a natychmiast wyruszę w podróż do krajów nieznanych«.
»Nie wymagam posłuszeństwa - odrzekł skromnie Djabeł Morski - ale w każdym razie jestem ci za nie wdzięczny. Muszę cię tylko uprzedzić, abyś, uchodząc z pałacu, zachował wszelkie ostrożności, albowiem wuj Tarabuk wraz ze swym straszliwym Chińczykiem będą śledzili twe kroki. Na wszelki przypadek daruję ci tę oto szkatułkę zaklętą. W razie pogoni i w chwili największego ze strony Chińczyka niebezpieczeństwa, otwórz ją, a znajdziesz na dnie zbawienną radę. Strzeż się jednak otwierać szkatułkę przed czasem, gdyż ciekowość twoja będzie ukarana«.
Wziąłem do rąk podaną mi przez Djabła szkatułkę i przycisnąłem ją mocno do piersi.
»Muszę cię pożegnać i opuścić gościnne wnętrze twego snu - mówił dalej Djabeł Morski - zbliża się bowiem godzina połowu drobnych ryb, a jestem zapalonym rybakiem. A więc - dowidzenia!«
I Djabeł, skłoniwszy się, wybiegł z mego snu z wielkim pośpiechem, jak się wybiega z pokoju przez drzwi, lub z dziedzińca przez bramę. Sen mój zaczął zwolna i kolejno rozwiewać się, zanikać, aż wreszcie pierzchnął całkowicie. Jedna tylko szkatułka zaklęta nie rozwiała się i nie zanikła, lecz trwała nadal w mych dłoniach, gdym się ocknął. Patrzyłem na nią, jak na chwilowo zapóźnioną resztę snu, która nie zdążyła jeszcze, lub zapomniała zniknąć, i zdawało mi się, że lada mgnienie rozwieje się w nic, przypomniawszy sobie swą przynależność do snu. Wszakże szkatułka trwała nadal w mych dłoniach, na jawie, zdradząjąc wszelkie cechy rzeczywistości. Pośpiesznie wdziałem na się ubranie, schowałem szkatułkę do kieszeni i udałem się do pokoju mego wuja. Wuj Tarabuk siedział w fotelu. Obok stał Chińczyk i przez lupę odczytywał na głos wujowi poemat p. t. »Zaloty«, wydrukowany na prawym policzku. Wuj lubił w ten sposób spędzać czas, wolny od innych zajęć. Z natężoną uwagą, z niekłamanym zachwytem i z żarliwą ciekawością słuchał własnego poematu, który Chińczyk odczytywał pilnie, głosem dobitnym i uroczystym.

Pod wpływem rady Djabła Morskiego postanowiłem dziś jeszcze opuścić mój pałac i wyruszyć w podróż do krajów nieznanych. Bałem się jednak pogoni Chińczyka i wuja, i nie wiedziałem, czy mam uprzedzić wuja o moim wyjeździe, czy też wyjechać potajemnie i bez pożegnania. Po krótkim namyśle postanowiłem wyznać wujowi mój zamiar.
»Przepraszam - rzekłem - iż przerwę na chwilę czytanie. Chętniebym wysłuchał do końca tak pięknego poematu, ale nie mam czasu, gdyż wyjeżdżam niezwłocznie«.
»Dokąd?« - spytał wuj, nieco zdziwiony.
»Sam jeszcze nie wiem, dokąd. Cel mej podróży jest, jak zawsze, niewiadomy. Jadę tam, dokąd mię wicher poniesie i dokąd skieruje mię wola niepokonanych czarów«.
»Bardzo mi przykro, że, zaledwo powróciwszy do domu, już odjeżdżasz, - rzekł wuj z przekąsem. - Wnoszę z tego, iż towarzystwo moje i mego przyjaciela Chińczyka nie jest ci dostatecznie miłą rozrywką«.
»Przeciwnie! - zawołałem. - Chętniebym w tak miłem towarzystwie spędził całe moje życie, ale gna mnie w świat po pierwsze - żądza podróży, a powtóre ta okoliczność, żem dotąd nie miał sposobności wręczenia zaklętej królewnie owego cudownego wiersza, który wuj ongi napisał na cześć Piruzy. Uczyniłem w ten sposób krzywdę i wujowi i jednej z tych królewien, które w podróży spotkałem. Tym razem chcę ową podwójną krzywdę wynagrodzić«.
»Cieszy mię niezmiernie twoje chwalebne postanowienie - odpowiedział wuj z radością. - Daję ci moje błogosławieństwo na drogę. Rad jestem, iż tym razem przy wręczeniu mego wiersza możesz śmiało obwieścić pięknej królewnie, że, poślubiając mnie, posiędzie w jednej osobie i męża i książkę do czytania... Nie zwlekaj więc ani chwili, gdyż czas nagli. Z niecierpliwością będę wyczekiwał twego powrotu. A teraz - dowidzenia!«
»Dowidzenia!« - zawołałem radośnie i rzuciłem się wujowi na szyję, aby go ucałować w obydwa policzki.
»Ostrożnie, ostrożnie! - krzyknął wuj przerażony. - Toć zapominasz, że mam na jednym policzku »Zaloty«, a na drugim - »Cios dotkliwy«. Każda litera tych utworów jest mi droższa nad życie! Nie ściskaj też zbytnio mej dłoni, bo mi bez potrzeby miętosisz elegję wieczorną p. t.
 »Dowidzenia«

»Dowidzenia!« - zawołałem znowu, tym razem zwracając się do straszliwego Chińczyka.
»Dowidzenia, młodzieńcze! - odpowiedział Chińczyk z dziwnym uśmiechem na twarzy. - Szanuję w tobie śmiałego podróżnika i poszukiwacza cudów, lecz przedewszystkiem - jedynego spadkobiercę wielkiego poety, który obdarzył cię zaszczytnem prawem przedruku«.
Na wspomnienie »prawa przedruku« dreszcz lęku i wstrętu przeniknął mię od stóp do głów. Szybko wybiegłem z pokoju i tegoż jeszcze dnia wieczorem byłem już w Balsorze. Nad ranem wsiadłem na okręt i, gdy okręt odbił od brzegu, poczułem radosną ulgę na myśl, że się coraz bardziej oddalam od straszliwego Chińczyka.
Wprawdzie ani wuj Tarabuk, ani Chińczyk nie ścigali mię wcale, gdym do Balsory przed nimi uchodził. Tłumaczyłem to sobie tem, że wuj Tarabuk zbyt się przejął moją obietnicą wręczenia zaklętej królewnie wiadomego wiersza.
Nie przyszło mi nawet do głowy, iż Djabeł Morski znów mię w swych sieciach usidlił. Szkatułkę zaklętą miałem wciąż w kieszeni, ponieważ jednak dotąd ze strony Chińczyka i wuja nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo, więc nie zajrzałem do jej wnętrza. Pamiętałem, iż grozi mi jakaś tajemnicza kara, jeśli ją bez potrzeby otworzę. Teraz wszakże - na pokładzie okrętu zaczęła mię dręczyć ciekawość, która z każdą chwilą wzrastała.
Okręt płynął chyżo. Zawiązałem rozmowę z marynarzami, którzy odrazu poczuli dla mnie przyjaźń wielką. Opowiadaliśmy sobie nazwajem swoje przygody na morzu, lecz byłem nieco roztargniony, gdyż korciła mię wciąż obecność w kieszeni owej szkatułki zaklętej. Nie wytrzymałem wreszcie i rzekłem do jednego ze starych i wytrawnych marynarzy:
»Ciekawy jestem, cobyś na mojem miejscu uczynił? Znajduję się bowiem w położeniu bardzo trudnem, a nawet dwuznacznem. Jeden z przyjaciół dał mi na drogę szkatułkę zaklętą. Tai ona w sobie radę zbawienną, lecz wolno mi ją otworzyć tylko w chwili wyraźnie określonego przezeń niebezpieczeństwa. Jeśli ją otworzę w innej chwili, czeka mię podobno jakaś kara, której mój przyjaciel nie nazwał po imieniu. Niebezpieczeństwo, o którem mowa, już minęło, a szkatułka tkwi wciąż w mojej kieszeni. Pożera mię poprostu taka ciekawość, że oddał-

bym połowę mego życia za możność zajrzenia do jej wnętrza. Ponieważ jesteś starym i wytrawnym marynarzem, więc chyba znasz się na tego rodzaju sprawach. Otóż poradź mi, jak mam postąpić? Czy otworzyć, czy nie otworzyć?«

Stary marynarz zamyślił się głęboko, zaś inni jego towarzysze dawali mi naprzemian rozmaite rady.

»Otworzyć!« - wołali jedni.

»Nie otwiera!« - krzyczeli drudzy.

Nie zwracałem uwagi na ich krzyki i czekałem cierpliwie na to, co mi powie stary i wytrawny marynarz.

Ten jednak godzinę całą trwał w zadumie i milczeniu, aż wreszcie spojrzał na mnie i otworzył usta.

»Kto się długo namyśla - ten nigdy nie błądzi - rzekł poważnie, gładząc dłonią przestronną brodę. - Przysłowie mówi: Myśl dowoli, czyń powoli. A drugie przysłowie twierdzi: Pustej szkatuły dźwigać nie warto. Otóż po głębokim namyśle przychodzę do przekonania, iż pustą dźwigasz szkatułę. Nie rozumiem bowiem, czemu twój przyjaciel nie określił kary, która cię czeka w razie otwarcia szkatuły przed czasem lub po czasie? Gdyby naprawdę był twoim przyjacielem nazwałby po imieniu karę, której masz unikać. Nie nazwał jej po imieniu dlatego właśnie, że ją zmyślił i skłamał. Jest tedy zwyczajnym kłamcą i wszystko, co ci powiedział, było kłamstwem. Ani cię kara żadna nie czeka, ani też rady zbawiennej niema we wnętrzu szkatuły. Możesz ją śmiało otworzyć, aby zaspokoić swoją i moją ciekawość. Zresztą przyjaciel twój nie groził ci karą w razie, jeśli tę szkatułę otworzy ktoś inny. Otóż - ja sam własnoręcznie gotów jestem ją otworzyć«.

Słowa starego i wytrawnego marynarza przekonały mię najzupełniej. Wyjąłem szkatułę z kieszeni i podałem mu ją natychmiast.

Stary marynarz z łatwością otworzył szkatułę, zajrzał do wnętrza i wyjął stamtąd świstek papieru, którego widok napełnił mię przerażeniem. Poznałem odrazu ów świstek! Był to list Djabła Morskiego! Zrozumiałem, że jestem znów ofiarą jego wybiegów! Stary i wytrawny marynarz rozwinął list, wdział na nos okulary i zaczął w milczeniu odczytywać pismo djabelskie.

Zbladłem. Nogi zachwiały się pode mną. Zdawało mi się, że za chwilę stracę przytomność.

»Oho! - zawołał stary i wytrawny marynarz. - Nie wiedziałem, że mamy na pokładzie takiego ptaszka, do którego sam Djabeł Morski pisuje listy poufne! Jak ci na imię, czcigodny podróżniku?«
»Sindbad« - odrzekłem głosem drżącym.
»Właśnie do Sindbada pisany jest ten list«.
»Nie zaprzeczam zgoła, że jest pisany do mnie«.
W tej chwili zbliżył się do nas kapitan i stary marynarz zwrócił się do niego.
»Niestety, kapitanie! - zawołał głosem grobowo złowieszczym. - Ów podróżnik, któremu na imię Sindbad, obarczył nasz pokład listem Djabła Morskiego. Obecność tego listu na okręcie wróży klęski i nieszczęścia. Musimy się co prędzej pozbyć i listu i jego właściciela. Ten ostatni mojem zdaniem jest narzeczonym córki Djabła Morskiego.
Kapitan zrozpaczony chwycił się za głowę.
»Na rany Boskie! - zawołał. - Za co tak wygórowane nieszczęście spada na mnie i mój okręt! Wrzućcie natychmiast list do morza, zaś temu podróżnikowi dajcie łódź, aby niezwłocznie odpłynął, kędy zechce, byleby opuścił nasz okręt«.
Stary i wytrawny marynarz wrzucił list do morza. List, jak zazwyczaj, pokurczył się, zamienił się w pianę i zniknął. Poczem spuszczono łódź na morze i dano mi do rąk dwa wiosła.
Zszedłem do łodzi po drabinie i powiosłowałem przed siebie, nie wiedząc, dokąd mam płynąć.
Okręt wkrótce zniknął mi z oczu. Zostałem sam w łodzi, na pełnem morzu, zdala od wszelkich lądów.
Nie mając kompasu, nie mogłem zgadnąć, w jakim płynę kierunku. Płynąłem na chybił - trafił w tej nadziei, iż natrafię wkońcu na jakiś ląd stały. Płynąłem w ten sposób trzy dni i trzy noce, aż dnia czwartego ukazały się mym oczom brzegi nieznanej wyspy.
Widok tych brzegów napełnił mię radością. Jąłem wiosłować pośpieszniej i wkrótce łódź moja uderzyła o zielone brzegi wyspy. Wyskoczyłem na brzeg. Stopy moje, stęsknione do lądu, z rozkoszą dotykały stałego gruntu. Wyspa była pokryta bujną roślinnością. Tysiące barwnych ptaków napełniało powietrze swym śpiewem.
Pobiegłem wesoło w gęstwę leśną w tej myśli, iż znajdę tam poddostatkiem owoców, którymi zaspokoję głód i pragnienie.

I rzeczywiście, znalazłem mnóstwo kokosów, bananów, drzew chlebowych oraz winogron.
Nasyciwszy głód owocami, postanowiłem zwiedzić wyspę, aby się przekonać, gdzie jestem.
Z początku zdawało mi się, że wyspa jest zgoła bezludna. Wniosek ten napełnił mię rozpaczą. Czułbym się szczęśliwy, gdybym spotkał choć jedną istotę ludzką!
Błądziłem po lasach dzień cały, aż do wieczora.
Wieczorem, przechodząc koło jednej gęstwiny, posłyszałem słabe jęki w pobliżu. Pobiegłem natychmiast w stronę głosu.
Radość moja nie miała granic, gdym pod jednem drzewem ujrzał człowieka, który leżał na miękkiej, bujnej trawie i jęczał. Był to wątły, chudy staruszek, z koźlą bródką. Nogi miał cienkie, jak badyle. Dłonie suche i drżące. Chociaż wieczór był ciepły, zdawał się dygotać od zimna.
»O-o-o! - jęczał żałośnie. - Nie mogę wstać, nie mogę wstać! Szedłem do strumienia, aby w nim pragnienie ugasić, i upadłem w pół drogi. Nie mam sił! Nogi mi odmówiły posłuszeństwa! Ręce mi odmówiły pomocy! Któż się nade mną zlituje? Już wieczór nadszedł, wkrótce noc zapadnie, a ja - niebogi - nie ugaszę mego pragnienia!«
Żal mi się zrobiło staruszka.
»Chętnie ci pomogę - rzekłem - ale nie wiem, jak ci mam dopomóc? W czem ci ze strumienia wody przynieść?«
»Nie mam żadnego naczynia, litościwy młodzieńcze - odpowiedział staruszek - wszakże, jeśli chcesz naprawdę mi dopomóc, dam ci radę, jak to masz uczynić. Nachyl się ku mnie i weź mię na barana. Jestem lekki, jak piórko, więc ci nie zaciążę. Z łatwością mię podźwigniesz i zaniesiesz do strumienia. Będę ci za to wdzięczny do grobu«.
»I owszem - odrzekłem - dość jestem silny, abym podołał takiemu brzemieniu. Chętnie ci udzielę mego grzbietu«.
Pochyliłem się ku staruszkowi, który natychmiast - ku mojemu zdziwieniu - ze zręcznością kota wskoczył mi na grzbiet. Zdawało mi się, że słaby i wątły staruszek nie utrzyma się na moim grzbiecie, lecz moje obawy były płonne. Staruszek krzepko i chwacko trwał na moich plecach. Miałem nawet wrażenie, że nieznacznie uderza mię nogą w bok,
 jakby chciał do biegu przynaglić.

»Biegnij wprost przed siebie - zawołał - będę ci wskazywał drogę do strumienia«.
Poszedłem wprost przed siebie. Przedzierałem się przez krzewy i gęstwy w tej nadziei, iż wkrótce zbliżę się do celu naszej podróży i pozbędę się przygodnego ciężaru. Nadzieja jednak zawiodła. Całą godzinę szedłem bez spoczynku, lecz nie ujrzałem przed sobą żadnego strumienia. Znudziła mię ta nieco dziwaczna wycieczka, więc dla urozmaicenia drogi zagaiłem rozmowę z chwilowym mieszkańcem mego grzbietu.
»Co tu robisz na tej wyspie, miły staruszku?« - spytałem uprzejmie.
»Robię właściwie to, co mi się podoba« - odparł dość surowo.
»Piękna to odpowiedź, aczkolwiek niezupełnie określona«.
»Dziękuj Bogu, żeś nie otrzymał gorszej« - odpowiedział staruszek.
»Ktoby tam Panu Bogu za takie błahostki dziękował - zauważyłem zlekka uszczypliwie. - Dziękuję mu raczej za to, iż tak nieuprzejmego rozmówcę mam za sobą, nie zaś przed sobą. Z takim, jak ty, niewdzięcznikiem wolę rozmawiać na niewidziane. Nie umiesz ocenić przysługi, którą ci wyświadczam. Ofiarowałem ci mój grzbiet, a ty wzamian za to nie chcesz nawet uprzyjemnić mi żmudnej drogi przyjazną rozmową«.
»A któżby to za grzbiet płacił rozmową? Nietylko nie jestem ci wdzięczny, ale nawet mam pewną urazę i nie mogę ukryć słusznego niezadowolenia«.
»Niezadowolenia? - spytałem zdziwiony. - Czy dałem ci powód do jakichkolwiek niezadowoleń?«
»Ma się rozumieć! - zawołał gniewnie staruszek. - Idziesz dotąd stępa, nie umiesz widocznie kłusować, a nadomiar złego trzęsiesz tak, jak stara szkapa żołnierska, która na jedną nogę jest kulawa, drugą ma zwichniętą, trzecią - zwarjowaną, a czwartej wcale nie posiada«.
»Opis twój - odrzekłem - nie jest trafny choćby dla tej przyczyny, że mam tylko dwie nogi«.
»Nie wiem, ile masz nóg - odpowiedział staruszek ze złością - wiem to jedno tylko, żem miewał lepszych i ognistszych, niźli ty, wierzchowców«.
»Wierzchowców? - zawołałem oburzony, czyniąc przytem nogą ruch, wielce pokrewny wierzgnięciu. - Uważam tę nazwę za obrazę osobistą, a podróż naszą - za skończoną. Złaź natychmiast z grzbietu i o własnych
 siłach wlecz się dalej do strumienia, gdyż odmawiam ci mojej pomocy«.

»Wiedziałem, że jesteś znarowiony - zawołał staruszek. - Uspokój się jednak i bądź posłuszny. Wybij też sobie z głowy ów strumień, który zmyśliłem w celu owładnięcia twoim grzbietem. Jesteś moim koniem, rozumiesz?«

»Koniem? - krzyknąłem z najwyższem oburzeniem. - Precz natychmiast z mego grzbietu, nikczemny niewdzięczniku!«

Z całych sił wstrząsnąłem plecami, aby z nich zrzucić starucha. Zdawało mi się, że słaby i chudy staruch spadnie na ziemię pod wpływem pierwszego wstrząśnięcia. Omyliłem się jednak w mych rachubach! Staruch nagle z taką mocą ścisnął mię kościstemi kolanami za szyję, żem zdrętwiał w obawie, iż mię zadusi.

»Spokojnie, mój kosiu, spokojnie! - zawołał, ściskając mię co raz mocniej. - Nie brykaj i nie wierzgaj! Na nic się nie przydadzą twoje dąsy i narowy. Nie takich, jak ty, rumaków potrafiłem już w swem życiu okiełznać! Bądź posłuszny, mój kosiu, i bądź nieco bystrzejszy, bo dotąd uparcie unikasz kłusa i myślisz, że się zadowolę bylejakim truchtem«.

Podczas, gdy staruch zrzędził na mym grzbiecie, głęboko rozmyślałem o tem, co mam czynić? Czy próbować nowych wysiłków ku pozbyciu się natrętnego brzemienia, czy też udać spokój, a nawet zadowolenie ze swego niespodzianego stanowiska i wyczekiwać chwili, gdy odpowiedni zbieg okoliczności przyjdzie mi z pomocą. Wybrałem to ostatnie, gdyż bałem się, iż staruch na śmierć mię zadławi potwornym uściskiem swych kolan.

»Nie zwracaj uwagi na moje narowy - rzekłem z udaną łagodnością - są to resztki owej samowoli, do której nawykłem z powodu, żem przez czas dłuższy biegał samopas - bez żadnego jeźdźca. Nie jestem znów tak leniwy i uparty, jak ci się wydaje. Dobry kłus, a nawet bystry galop, był zawsze jedynem mojem marzeniem. Pragnąłbym jednak wiedzieć, czy rzeczywiście uważasz mię za konia i czy nie masz chwilami wrażenia, iż jestem człowiekiem?«

»Wio, wio! - zawołał staruch, uderzając mię piętami po biodrach. - Co mi to za człowiek, który się pozwolił dosiąść w tej myśli, iż spełnia czyn miłosierny. Jesteś koniem i basta. Wio, wio, szkapo leniwa!«

»Byłbym ci niezmiernie wdzięczny - odrzekłem, kłusując pilnie po murawie leśnej - byłbym ci niezmiernie wdzięczny, gdybyś mi wyznał, ja-

kie uczucia masz w chwili, gdy mię uderzasz piętami po biodrach?«
»Mam uczucia jeźdźca, który się niecierpliwi - odpowiedział staruch. - Lubię jazdę dla samej jazdy - bieg dla samego biegu, a przedewszystkiem lubię spadać komukolwiek na kark i ciążyć... Przyszedłem na świat po to, by ciążyć, być brzemieniem, i sprawia mi rozkosz chwila, gdy komuś zaciążę«.
»Czy lubisz ciążyć długo i bez miary, czy też umiarkowanie?« - spytałem, przeskakując zwinnie jakiś rów, spotkany na drodze.
»Długo i bez miary - odpowiedział staruch i, uderzając mię mocniej piętą po biodrach, dodał: - Galopem, mój kosiu, galopem, bo spragniony jestem lotu!«
»Przypuszczam - zauważyłem, galopując dość niedołężnie - przypuszczam, że prócz mnie posiadałeś w swem życiu jeszcze inne rumaki?«
»Posiadałem, mój kosiu, posiadałem! - odpowiedział staruch. - A właściwie nietyle posiadałem, ile dosiadałem w swem życiu ognistszych, rasowszych i krzepszych, niźli ty, bachmatów. Żaden z nich jednak nie mógł służyć mi dłużej nad trzy dni. Po trzech dniach każdy konał ze znużenia i przepracowania. Strata rumaka napełnia mię zawsze żalem i goryczą. Leżę wówczas bezsilny i schorzały na ziemi w oczekiwaniu nowego przybysza, który się zlituje nad moją starością bezradną. Natura bowiem tak mię stworzyła, że odzyskuję siły, wesołość i otuchę do życia tylko wtedy, gdy spadnę komukolwiek na kark«.
»Powiedz mi przynajmniej, dokąd teraz jedziesz? - spytałem, czując znużenie i lęk na myśl o owych rumakach, które po trzech dniach usilnej pracy zazwyczaj konały. - Mam nadzieję, iż wkrótce skierujesz mój bieg do swego domu i wypocznę w jakiejkolwiek stajni u jakiegokolwiek żłobu«.
»Pozbądź się co prędzej tego rodzaju nadziei - odparł staruch. - Nie mam żadnego domu, a tembardziej stajni i żłobu. Mieszkam pod gołem niebem i o ile uda mi się dosiąść czyjegokolwiek karku, nie znam wytchnienia. Najwłaściwszym trybem mego życia jest jazda, nieustanna, nieprzerwalna jazda. Nie zatrzymuję się nigdzie i nigdy, nie zatrzymuję się dopóty, dopóki sama śmierć nie zatrzyma mego rumaka«.
Słowa te sprawiły, iż posmutniałem znacznie. Nie poniechałem jednak swego galopu. Biegłem wciąż, udając dobrego i bystrego konia.
Wszakże przyszła chwila, gdy się coś we mnie zaczęło buntować tak dalece, że uczyniłem w galopie kilka odruchów bezwiednych, a wielce

podobnych do wierzgnięć. Wreszcie uczułem, że zęby moje zaczynają zgrzytać, nogi - miotać się ze wściekłością, a pięści - zaciskać się coraz mocniej.

»Nie brykaj, kosiu, nie brykaj!« - zawołał staruch.

Słowa te powiększyły moją wściekłość. Skoczyłem nagle wbok i potrząsłem staruchem z taką mocą, że gnaty jego wydały jakiś suchy i ostry pochrzęst. Ścisnął mię natychmiast kolanami za gardło. Czułem, że żyły wszystkie nabrzmiały mi na skroniach, a oczy nabiegły krwią. Jąłem się miotać na wszystkie strony, jak opętany. Dawałem takie susy i poskoki, jakich żaden koń nie potrafiłby wykonać. Szalałem! Wszakże wysiłki moje były daremne. Staruch trzymał się mocno na mym grzbiecie i coraz silniej dławił mi gardło kościstemi kolanami. Zabrakło mi tchu i czułem, że za chwilę skonam od uduszenia.

»Nie brykaj, kosiu, nie brykaj! - zawołał znowu staruch, czując, że siły mię opuszczają i że muszę mu ulec.

Uległem.

Przynaglony do biegu uderzeniem potwornej pięty okrutnego starucha, pobiegłem przed siebie ociężałym truchtem, gdyż byłem aż nazbyt zmęczony.

Przez dwa dni i dwie noce biegałem po wyspie bez spoczynku, bez wytchnienia.

Na trzeci dzień zaczęło mię męczyć nieznośne pragnienie, bo dzień był słoneczny i upalny. Ponieważ na wyspie rosły olbrzymie, puste wewnątrz tykwy, zerwałem jedną z nich, napełniłem ją po brzegi sokiem winogron i wychyliłem do dna.

Wino wkrótce uderzyło mi do głowy i dzięki upojeniu odzyskałem dawną wesołość. Zacząłem śmiać się, skakać i śpiewać rozmaite pieśni.

»Skądże ta wesołość w tobie, kosiu mój smutny?« - spytał staruch. - Zazdroszczę ci tej wesołości. Nigdy jeszcze w życiu nie śmiałem się i nie śpiewałem. Pragnąłbym nauczyć się śmiechu i śpiewu«.

»Nauka to łatwa i niedługa - odpowiedziałem, napełniając znowu tykwę winem. - Wypij jeno do dna zawartość tej tykwy, a natychmiast pozyskasz zdolność śmiechu i śpiewu«.

Staruch chciwie pochwycił podaną mu tykwę i wychylił do dna jej zawartość. Wino natychmiast zaszumiało mu w głowie. Zaczął wykrzykiwać jakieś słowa bez związku i bez treści. Próbował nawet śmiać się

i śpiewać, lecz zamiast śmiechu wykrztuszał z gardła wstrętne i ochrypłe rzężenia, a zamiast śpiewu - wydawał dziwne dźwięki, podobne w części do poryków bawolich, a w części do wronich krakań. Wreszcie stracił przytomność i spadł z mego karku na ziemię - pijany i bezwładny. Pozbywszy się nagle potwornego brzemienia, uczułem ulgę radosną. Odskoczyłem wbok od leżącego na ziemi starca i wesoło pobiegłem w głąb lasu. Dzięki winu, którem udało mi się upoić potwornego starucha, uszedłem czyhającej na mnie śmierci.

Szybko biegłem po lesie, aby co prędzej oddalić się od wstrętnego starucha.

Przebiegając koło gęstwiny nieznanych mi krzewów, postrzegłem ukosem kwiat tak dziwny i niezwykły, żem przystanął, zwabiony jego widokiem. Był to kwiat drobny lecz utkany ze złotego płomienia, który jarzył się tak mocno i rzęsiście, że dłonią przesłoniłem oczy, oślepione cudownym blaskiem.

Zerwałem kwiat ostrożnie, bojąc się, że mię sparzy swym płomiennym kielichem. Przekonałem się jednak, że płomień tego kwiecia wcale nie parzy, lecz nieci swym dotykiem siły żywotne i budzi ze wszelkiej ospałości. Natychmiast opuściło mię znużenie i uczułem się, niby ockniony z ciężkiego snu.

Schowałem kwiat w zanadrze, aby go mieć bliżej serca, które pod wpływem jego ciepła zabiło mocniej i radośniej. Zdawało mi się, że wciąż i nieustannie ocykam się z rozmaitych przykrych snów. Pełen tych ocknień, pobiegłem dalej.

Na jednej z polan leśnych ujrzałem nagle pięknego młodzieńca. Miał na sobie szaty królewskie. Chodził tam i sam po polanie i co chwila pochylał się ku ziemi, jakby czegoś szukał.

Zbliżyłem się doń i posłyszałem, że młodzieniec, który mię nie zauważył, mówił sam do siebie:

»Szukam ciebie, kwiecie płomienny, kwiecie ocknienia! Szukam ciebie, ale znaleźć nie mogę! Wiem, że kwitniesz tu - na tej wyspie, gdzie przebywa potworny Staruch Morski, słynny ujeżdżacz ludzi, którego jedyną rozkoszą jest - nużenie i wycieńczanie ofiar z pomocą nieustannej jazdy. Gdzie jesteś, kwiecie płomienny, kwiecie ocknienia? Jakże mi sennie bez ciebie, jakże mi sennie! Jakże mi drętwo bez ciebie, jakże mi drętwo! Jakże mi straszno bez ciebie, jakże mi straszno!

Lecz nadaremnie cię szukam! Oczy moje nic nie widzą, więc nie mogę cię zobaczyć! Mogę tylko poomacku dłonią trafić na twój kielich płomienny, lub uchem pochwycić szelest twego płomienia! Sen - we mnie, sen - poza mną, sen - po nade mną! Sen - w pobliżu, sen - zdala, sen - wokół, sen - wszędy!

Słuchałem uważnie, lecz nie rozumiałem dziwnych narzekań młodzieńca. Był tak piękny i tak niezwykły, że poczułem dlań przyjaźń serdeczną. Prócz tego domyśliłem się, że szuka kwiecia, które mam właśnie w zanadrzu.

Zbliżyłem się doń jeszcze o krok jeden, on zaś podniósł wzwyż olbrzymie, błękitne oczy i zdawał się patrzeć niemi na mnie. Lecz było to dziwne, senne patrzenie... Czułem, że patrząc, nie widzi. Postać moja nie odbiła się w jego błękitnych źrenicach, w których nie było nic, prócz ślepego błękitu.

Postanowiłem tedy przemówić do młodzieńca, aby w ten sposób oznajmić mu moją obecność.

»Czy słyszysz mój głos?« - spytałem po chwili namysłu.

Młodzieniec szeroko rozwarł swe oczy błękitne.

»Słyszę twój głos, choć nie widzę twej postaci - szepnął nieśmiało. - Czy jesteś wrogiem, czy przyjacielem tych, którzy są smutni?«

»Przyjacielem - odrzekłem pośpiesznie. - Nie bój się mnie, bo jestem ci życzliwy. Słyszałem twe narzekania, lecz nie mogłem ich zrozumieć. Widzę twą postać, słyszę twój głos, lecz nie wiem, kim jesteś«.

»Sen - we mnie, sen - poza mną, sen - po nade mną! - odpowiedział młodzieniec. - Jestem tym, który nie zaznał na ziemi nic, prócz snu. Nadaremnie co rok odwiedzam tę wyspę! Nadaremnie szukam płomiennego kwiecia, którego dotyk obdarza ocknieniem! Sen - w pobliżu, sen - zdala, sen - wokół, sen - wszędy! Oczy moje nigdy dotąd nie widziały jawy, - jeno dźwięki, i szumy, i szelesty i głosy dolatują mię z tego świata, który jest rzeczywistością. Na północnym brzegu tej wyspy znajduje się gród zaklęty. Król tego grodu nazywa się Mirakles. Tysiące miljonów lat temu Mirakles przybył na tę wyspę bezludną i znużony podróżą, położył się na jej brzegu zielonym, aby się snem pokrzepić. Położył się i zasnął. I przyśnił mu się gród olbrzymi, i tysiące poddanych, i piękna królewna Chryzeida, i pałace, i ogrody,
 i góry, i rzeki, i strumienie, i ptaki, i kwiaty i drzewa. A cokolwiek śnił

w sobie, to poza nim działo się na wyspie i dzieje się dotąd. Nie istnieje naprawdę, jeno dzieje się i dzieje bez końca! Od tysiąca miljonów lat król się nie zbudził i wciąż leży na północnym brzegu wyspy i śni swój sen odwieczny. Możesz własnemi oczyma oglądać jego gród olbrzymi, i jego poddanych, i piękną królewnę Chryzeidę, i pałace i ogrody... Wszystko to - wyśnione i znużone snem i spragnione od wieków gromadnego ocknienia! Wszystko to zniknie bez śladu w chwili, gdy król się obudzi. Wszakże król się obudzić nie może, i poddani jego nadaremnie zakłócają jego sen wielmożny - głośną skargą i lamentem! Oczy ich są błękitne i ślepe, jak moje. Nie widzą nic, prócz wyśnionych przez króla przedmiotów. Nie widzą nic, tylko słyszą... I znużeni są wieczną ślepotą, i zmęczeni są wiecznem nasłuchiwaniem szumów, szelestów, i odgłosów. Trzy tysiące lat temu królewna Chryzeida posłyszała szelest płomiennego kwiecia, które rośnie na tej wyspie, a którego dotyk budzi z najcięższych snów. Od owego czasu - ja, poddany króla Miraklesa i ulubiony paź królewny Chryzeidy, co rok udaję się w głąb wyspy, aby błądzić poomacku i szukać zbawiennego kwiecia. Lecz poszukiwania moje pełzną na niczem. O, kiedyż nareszcie obudzi się Mirakles! O, kiedyż nareszcie my - jego poddani - odpoczniemy od jego odwiecznych snów i rozwiejemy się w nic, jak czynią sny innych ludzi!
»Bądź dobrej myśli, młodzieńcze wyśniony! - zawołałem ze współczuciem. - Zbliża się chwila ocknienia króla Miraklesa. Posiadam właśnie kwiat płomienny, którego szukasz. Zerwałem go przed chwilą i schowałem w zanadrze. Prowadź mię wprost do waszego grodu, abym mógł tym kwiatem dotknąć śpiącego króla i uwolnić was wszystkich od jego męczących snów«.
Niewidome oczy młodzieńca napełniły się radością.
»Błogosławiony dzień, w którym spotkałem się z tobą, niewidzialny przyjacielu! - zawołał, wyciągając ku mnie obydwie dłonie.
»O, czemuż nie dano mi nigdy ujrzeć tego, który nam wszystkim niesie zbawienie! Zawsze pozostaniesz dla mnie - tajemniczy i niewidzialny, jak cała niedostępna mi rzeczywistość. Znam tylko twój głos i w obszarach świata rzeczywistego mogę cię rozpoznać i wyróżnić tylko po głosie. Idź za mną - zaprowadzę cię do zaklętego grodu, bo zgaduję drogę na niewidziane. Tam, w obrębie naszego państwa, oczy moje odzyskają zdolność widzenia wszelkich przedmiotów, które są tylko

snami króla Miraklesa. Tam pozbędę się mojej ślepoty. Śpieszmy się, gdyż ludność grodu zbyt jest zmęczona odwiecznem trwaniem we śnie, i każda chwila zwłoki przysparza bólów pięknej królewnie Chryzeidzie i wszystkim jej sennym współrodakom«.

Młodzieniec skrzydlatym krokiem udał się ku północnym brzegom wyspy. Szedłem za nim i czułem, że w miarę zbliżania się do celu naszej podróży, kwiat płomienny coraz mocniej żarzy się w mem zanadrzu, jakby przeczuwał, iż wkrótce dotknie swym płomieniem śpiącego króla.

Gdyśmy wreszcie przez rozwartą naoścież bramę zaklętego grodu wstąpili do jego wnętrza, cudowny i niespodziany widok uderzył moje oczy. Cały gród był błękitny, bowiem król Mirakles od tysiąca miljonów lat śnił sen nieustannie i nieprzerwalnie błękitny.

Ujrzałem błękitne pałace, błękitne mosty, błękitne drzewa, i kwiaty i ptaki, nawet bruk na ulicach był - błękitny. Cała ludność przyodziana była w błękitne szaty, zaś uczeni i mędrcy mieli na nosach błękitne okulary.

»Opuściła mię już ślepota - rzekł młodzieniec - widzę wszystko, prócz ciebie, gdyż nie jesteś snem króla Miraklesa, ale istotą ze świata rzeczywistego. Zatrzymamy się wkrótce na placu publicznym, przed zamkiem królewny Chryzeidy, i tam wobec całej ludności, ogłoszę wieść radosną«.

Plac, o którym mówił młodzieniec, znajdował się tuż - w pobliżu. Przystanęliśmy obok zamku Chryzeidy, gdzie piętrzyła się wysoka dzwonnica. Młodzieniec pochwycił oburącz sznur od dzwonu i, targając nim usilnie, zadzwonił, aby zwołać ludność grodu.

Plac natychmiast napełnił się tłumem błękitno ubranych postaci z królewną Chryzeidą na czele.

Dzwon zamilkł. Wówczas wśród ciszy usłyszałem szmer śpiewny, który się dobywał z ust obecnych. Usta te nieustannie i nieprzerwalnie szeptały:

»Smutno nam - tęskno nam - dziwno nam!«

Młodzieniec głosem donośnym zawołał:

»Cieszcie się, i weselcie i radujcie, albowiem wpośród nas znajduje się człowiek, który ma w zanadrzu kwiat płomienny, kwiat ocknienia! Człowiek ten przyszedł tu w tym celu, aby zbudzić króla Miraklesa i obdarzyć nas możnością rozwiania się i zniknięcia z powierzchni tej ziemi, jak to czynią sny innych ludzi«.

»Niech przemówi do nas! - zawołały tłumy. - Nie mogąc ujrzeć jego postaci, pragniemy posłyszeć jego głos! Niech powie nam, jak mu na imię?«

»Nazywam się Sindbad! - zawołałem. - Kwiat ocknienia żarzy mi się na piersi, w zanadrzu. Namyślam się jednak nad tem, czy mam tym kwiatem dotknąć śpiącego króla i obudzić go z cudownego snu! Jesteście zbyt piękni, abym chciał przyczynić się do waszego zniknięcia!«

»Smutno nam - tęskno nam - dziwno nam!« - szeptał boleśnie tłum wyśnionych istot. Szept tłumu wzruszył mię do głębi serca.

»Ludzie zaklęci, ludzie wyśnieni! - zawołałem znowu. - Chętnie spełnię wasze odwieczne życzenie, o ile potwierdzi je piękna królewna Chryzeida. Czy słyszycie mnie?«

»Słyszymy - słyszymy - słyszymy!« - zaszeptał tłum.

Królewna Chryzeida wyciągnęła dłonie w stronę mego głosu:

»Sindbadzie - rzekła - uczyń to, o co cię błaga ludność tego grodu. Jesteśmy zbyt zmęczeni długim snem króla Miraklesa i naszą ślepotą na wszelką rzeczywistość. Pragniemy zniknąć i rozwiać się i przestać śnić się naszemu królowi! Nie widzę ciebie, Sindbadzie, lecz słyszę głos twój śpiewny i kocham cię za śpiewność twego głosu. Chętniebym poślubiła ciebie - niewidzialnego, lecz śpieszno mi do rozwiania się w nic i do zniknięcia i do spoczynku!«

»Śpieszno nam - śpieszno nam - śpieszno nam!« - szeptały tłumy.

Stałem - oczarowany pięknością królewny Chryzeidy. Zbliżyłem się do niej, ująłem ją za rękę i rzekłem:

»Opamiętaj się, piękna królewno! Czemuż chcesz się pozbyć swego trwania na ziemi? O, pozwól królowi Miraklesowi, aby śnił nadal swój cudny sen!«

»Poniechaj swych próśb, niewidzialny cudzoziemcze! - odrzekła królewna. - Spełnij życzenie moje i mego narodu. Idź za mną - na brzeg morza, gdzie śpi od wieków król Mirakles, i dotknij go kwiatem płomiennym!«

Królewna zwiewnym krokiem pobiegła naprzód, wlokąc mię za rękę, której nie wypuszczała ze swej dłoni. Tłum, falując błękitnemi szatami, sunął wślad za nią i za mną.

Dotarliśmy do północnego brzegu wyspy. Na brzegu owym leżał, pogrążony we śnie, król Mirakles. Był tak olbrzymi, że robił wrażenie

żywego wzgórza, które przez sen poruszało się zlekka od westchnień. Tłumy, przezeń wyśnione, wzdychały, gdy wzdychał - przecierały oczy, gdy on je dłonią przecierał - płakały, gdy on przez sen płakał.
»Wyjmij kwiat z zanadrza!« - rzekła królewna.
Wyjąłem kwiat, który płomienił się na swej łodydze.
»Zbliż się do króla!« - rzekła znowu królewna.
»Zbudź go - zbudź go - zbudź go!« - zawołały tłumy.
»Królewno! - zawołałem. - Pomyśl, co cię czeka? Przestaniesz istnieć i już cię nigdy nie będzie! Kocham cię i chcę cię poślubić! Wprowadzę cię do świata rzeczywistego, do rzeczywistych pałaców, do prawdziwych ogrodów, gdzie kwitną prawdziwe kwiaty i śpiewają prawdziwe ptaki!!«
»Oczy moje są ślepe na wszelką rzeczywistość, - odparła królewna - nie zobaczę tych cudów, które mi obiecujesz. Czyż nie rozumiesz, co to za męka - płakać w chwili, gdy król Mirakles przez sen płacze, i wzdychać, gdy on wzdycha, i uśmiechać się, gdy on się na widok swych zmór uśmiecha! O, pozwól nam rozwiać się - i zniknąć - i przestać być snem tego króla!«
»Zbudź go - zbudź go - zbudź go!« - zaszeptały znowu tłumy.
W tej chwili właśnie król Mirakles przez sen zapłakał. Gromadny płacz wstrząsnął całym tłumem i zwiewnem ciałem królewny. Nigdy nie słyszałem takiego płaczu! Dopiero teraz pojąłem całą rozpacz i mękę tych istot dziwacznych. Postanowiłem raz na zawsze przerwać ten płacz i tę mękę. Zbliżyłem się wręcz do olbrzymiego króla i uderzyłem go w twarz - płomiennym kwiatem, który znikł w tej chwili z mej dłoni. Jednocześnie - królewna Chryzeida - i tłumy - i cały gród zaklęty - rozwiały się w nic i znikły z oblicza ziemi.
Król Mirakles poruszył się, przetarł oczy i powstał na nogi.
Był tak olbrzymi i wysoki, że nie zauważył nawet mojej obecności.
»Jakże długo spałem! - rzekł sam do siebie. - Śnił mi się jakiś sen błękitny, lecz kędyś się podział ów sen? Gdzie jest królewna Chryzeida? Gdzie są pałace błękitne? Wszystko znikło bez śladu!«
Pośpiesznie oddaliłem się od ocknionego olbrzyma, gdyż właśnie spostrzegłem okręt, który płynął tuż koło brzegu. Dałem znak dłonią, i okręt zatrzymał się natychmiast.
Wbiegłem szybko na pokład i poradziłem kapitanowi, aby niezwłocznie odbił od brzegu, bałem się bowiem olbrzymiego króla.

Odpłynęliśmy już dość daleko, gdym posłyszał nagle głos króla Miraklesa, który znów mówił sam do siebie:

»Położę się na brzegu swej wyspy i zasnę innym snem. Po śnie błękitnym, chcę mieć sen purpurowy!«

Król Mirakles ziewnął i znowu położył się na brzegu wyspy. Zapewne zasnął natychmiast, gdyż z pokładu okrętu i ja i kapitan i marynarze ujrzeliśmy nagle, że na wyspie powstaje kolejno i stopniowo cudowny gród, pełen purpurowych pałaców, purpurowych drzew, i kwiatów i ptaków. Po chwili gród ten zapełnił się ludnością w purpurowych szatach, i zdawało mi się, żem wyróżnił wśród tłumów nowopowstałą królewnę zarówno piękną, jak znikniona Chryzeida.

Wkrótce jednak okręt nasz oddalił się tak, że purpurowy gród, wyśniony przez króla Miraklesa, znikł nam z oczu.

Po trzech miesiącach żeglugi przybyłem do Balsory, a stamtąd pośpiesznie udałem się do Bagdadu.

PRZYGODA SIÓDMA

WRÓCIŁEM do Bagdadu nie bez przykrego poczucia własnej samotności. Zazwyczaj widok wuja Tarabuka po długiej niebytności w domu sprawiał mi przyjemność. Od czasu jednak, gdy wuj Tarabuk odmienił swą postać pod wpływem i namową Chińczyka, nie mogłem już na jego widok doznawać uczuć rodzinnych. Nie wydawał mi się po dawnemu - wujem, lecz dziwacznym potworem. Nadomiar złego nie pozbyłem się moich obaw i podejrzeń. Wciąż jeszcze tkwiła mi w głowie nieznośna i uparta myśl, że wuj pragnie jeszcze za życia przedrukować swe utwory na powierzchni mego ciała.

Niespokojnie i nieufnie wszedłem do pałacu.

Wuj Tarabuk powitał mię radośnie. Chińczyk, który stał tuż obok niego, skłonił mi się życzliwie.

»Drogi mój Sindbadzie! - zawołał wuj. - Cieszę się, że wracasz zdrów i wesół. Wiedz o tem, że dzień dzisiejszy jest dla mnie dniem uroczystym. Pamiętasz chyba, że w czasie ostatniego twego pobytu w Bagdadzie, plecy moje nie były jeszcze uświetnione żadnym drukiem. Miałem właśnie w pomyśle cudowny poemat i czekałem na jego wykonanie. Ukończyłem go właśnie wczoraj, a dzisiaj mój przyjaciel - Chińczyk - wydrukował mi go na plecach. Upajam się tą myślą, że mam na plecach prawdziwe arcydzieło, wspaniały poemat p. t. »Naprzód!« Jest to utwór buńczuczny, czupurny, zawadjacki i zuchwały! Utwór pełen wykrzykników! Utwór wzbierający męstwem i odwagą! Mam go na plecach! Wprawdzie skazany jestem na to, iż nigdy własnemi oczami nie będę go mógł odczytywać, lecz mój chiński przyjaciel codzień zrana odczytuje mi głośno ów poemat«.

Chińczyk uśmiechnął się i zlekka poklepał wuja po plecach.

Stwierdziłem z zadowoleniem, że wuj zapomniał jakoś o przekazanem mi prawie przedruku, a w każdym razie nie poruszał tej drażliwej sprawy.

Zmęczony długą podróżą, udałem się wkrótce na spoczynek. Nazajutrz wuj spytał mnie, czy tym razem wręczyłem jego wiersz jakiejkolwiek królewnie?
»Przebacz mi, wuju, moje karygodne zapomnienie! - zawołałem nieco zawstydzony. - Miałem tyle kłopotów i nieszczęść, że zapomniałem zupełnie o swej obietnicy«.
»Widzę, że nie mogę polegać na tobie - odpowiedział wuj Tarabuk. - Każesz mi zbyt długo czekać na sposobność, a tymczasem starzeję się z dniem każdym i boję się owej chwili, gdy piękna królewna, oczarowana moim wierszem, dozna poniekąd zawodu, ujrzawszy samego autora zbyt leciwego i zbyt wiekowego. Zamiast mię nazwać swym mężem, nazwie starym dziadem. Postanowiłem tedy wyruszyć w podróż razem z tobą. Uczony Chińczyk będzie nam towarzyszył. Chciałbym to uczynić jak najprędzej. Kiedy zamierzasz opuścić Bagdad?«
»Jestem gotów odjechać choćby dziś jeszcze - odrzekłem. - Żądza podróży stała się moim nałogiem. W Bagdadzie nie widuję nikogo, prócz ciebie i Chińczyka. Tam zaś w krajach nieznanych oglądam takie dziwy i cuda, o jakich wy obydwaj nie macie pojęcia. Wszystko tam jest zaklęte i zaczarowane. Na każdej wyspie rozkwita inna baśń. W każdej baśni przebywa inna królewna«.
»A więc skierujemy bieg okrętu wprost ku baśni! - zawołał z zapałem wuj Tarabuk. - Poślubię najpiękniejszą królewnę i zostanę królem zaklętej wyspy. Co myślisz o tem, Sindbadzie?«
»Myślę, że królowanie na wyspie zaklętej byłoby dla wuja najodpowiedniejszem zajęciem«.
»Siadłbym sobie na tronie i nicbym nie robił, jeno bym królował i królował! Pomyśl tylko: poeta na tronie! Co za cudowny zbieg okoliczności! Od czasu do czasu mój Chińczyk wobec zgromadzonego narodu odczytywałby na głos z mych pleców poemat p. t. »Naprzód!«, a piękna królewna, oczarowana moim poematem, mdlałaby ze wzruszenia i prosiłaby obecnych: »nie cućcie mnie i nie pozbawiajcie zemdlenia, bo chcę zemdleniem uczcić poemat mego męża Tarabuka! Co myślisz o tem, Sindbadzie?«
»Myślę, że obecność wuja na wyspie zaklętej jest konieczna i niezbędna«.
»A więc jutro opuszczamy Bagdad!« - zawyrokował wuj głosem stanowczym.

Stanowczość wuja bardzo mi się podobała. Obawiałem się tylko, że dziwaczny jego wygląd zbudzi pewne podejrzenia w mieszkańcach wysp zaklętych. Może właśnie z tego powodu miałem noc bardzo niespokojną.

Przyśnił mi się, jak zazwyczaj, Djabeł Morski. Drwiąco patrzył na mnie swemi ślepiami i śmiał się do rozpuku.

»Czemu się śmiejesz?« - spytałem.

»Śmieję się dlatego, że mi jest wesoło, a jest mi wesoło z tej przyczyny, że wuj Tarabuk wybrał się nareszcie w podróż. Właśnie jego tylko osoby brakowało na wyspach zaklętych!«

»Nie obrażaj mego wuja! - zawołałem. - Jest on w każdym razie poetą«.

»Nie lubię go - odpowiedział Djabeł Morski - jest on za nudny i za śmieszny. Lubię za to ciebie, Sindbadzie, bo chętnie zwiedzasz kraje nieznane i masz duszę, pełną rozmaitych baśni. Pozwól, że na dowód przyjaźni uścisnę cię z całych sił!«

Zanim zdołałem cokolwiek odpowiedzieć, Djabeł Morski przedzierzgnął się w olbrzymiego węża, który jednym skokiem rzucił mi się na piersi i oplótł mą szyję swem zimnem cielskiem. Chciałem krzyknąć, lecz nie mogłem, gdyż wąż dławił mi gardło swym uściskiem. Daremnie się przez sen miotałem i jęczałem, wąż przez noc całą trzymał mię w swym uścisku. Nad ranem dopiero zniknął w chwili, gdym się zaczął budzić.

Zbudziłem się - zmęczony potwornym uściskiem węża. Wuj Tarabuk stał już nade mną i potrząsał moją dłoń, aby mnie zbudzić:

»Wstawaj prędzej! - wołał. - Jedziemy! Już czas!«

Przetarłem oczy.

»Jedziemy! - powtórzył wuj. - Już od godziny budzę ciebie i dobudzić się nie mogę. Jęczysz i stękasz przez sen, jakby ci się przyśniła kara cielesna. Wstawaj! Nie mamy ani chwili czasu do stracenia. Wyobrażam sobie, z jaką niecierpliwością zaklęta królewna wyczekuje mego przyjazdu! Im prędzej z nią się spotkam, tem lepiej dla niej i dla mnie. Jedziemy natychmiast!«

Pomimo zmęczenia, żwawo wstałem z łóżka.

Trzy rumaki czekały już na podwórzu.

Wesoło wskoczyliśmy na ich grzbiety i pokłusowaliśmy w stronę Balsory. Chińczyk do swego siodła przytroczył olbrzymi kufer, po brzegi na-

pełniony lupami. Kufer ten tamował bieg konia i z tego powodu przy-

byliśmy do Balsory dopiero wieczorem, na pięć minut przed odejściem okrętu, który właśnie stał w porcie. Pierwszy zeskoczyłem z konia i wbiegłem na pokład. Za mną wygramolił się Chińczyk z kufrem na plecach. Wuj Tarabuk zwlekał z niewiadomej mi przyczyny. Ponieważ okręt lada chwila mógł odbić od brzegu, obejrzałem się niespokojnie, aby zobaczyć, co się dzieje z wujem Tarabukiem?
Wuj stał na brzegu i przyglądał się falom, z których wyłonił się nagle Djabeł Morski.
Djabeł trzymał w pysku nieszczęsny list i podawał go wujowi. Czytelnik zapewne przypomina sobie, iż list ów był pisany na świstku papieru, którego jedna strona zawierała jakiś dawny wiersz wuja Tarabuka. Przebiegły Djabeł podał wujowi list tą właśnie stroną, gdzie świetniał wspomniany wiersz. Wuj poznał charakter swego pisma i wyciągnął radośnie dłoń, aby pochwycić rękopis.
»Wuju! - krzyknąłem z rozpaczą. - Nie bierz tego rękopisu!«
»To mój rękopis! - odpowiedział wuj. - Mój cudowny wiersz, który niegdyś w morzu zatonął! Błogosławiony potwór, który mi zwraca tak drogocenną zgubę!«
Wuj pochwycił rękopis i wbiegł na pokład, zwycięsko potrząsając li stem djabelskim.
Djabeł tymczasem zniknął w falach morskich. Rozpacz moja nie miała granic! Przeklęty Djabeł znów obarczył okręt swym listem, wróżącym klęskę i nieszczęście! Marynarze nie spostrzegli tego, co się stało. Okręt już odbijał od brzegu. Na wuja nikt tymczasem nie zwrócił uwagi. Zmierzch wieczorny przesłaniał jego postać, oraz list, którym zwycięsko potrząsał.
Co tchu pobiegłem do wuja i szepnąłem:
»Wrzuć ten list zpowrotem do morza!«
»Nie głupim! - odpowiedział wuj. - Jedyna to pamiątka z owych czasów, gdym nad morzem, na składanym stoliku wiersze pisywał«.
»Wuju - szepnąłem znowu głosem zrozpaczonym - błagam cię, schowaj przynajmniej ten list do kieszeni, ponieważ jest to list Djabła Morskiego. Nie wiesz nawet, jaka odpowiedzialność spada na ciebie za ów świstek papieru!«
Pomimo moich błagań i nalegań, wuj triumfująco wzniósł ku górze
 ów nieszczęsny świstek i zawołał:

»Nie schowam go do kieszeni dopóty, dopóki nie odczytam mego utworu, który już zapomniałem. Największą dla mnie rozkoszą jest przypomnienie zapomnianego wiersza«.

I wuj zaczął powoli odczytywać swój dawny wiersz. Przerażenie przenikało nawskroś całą moją istotę. Załoga z łatwością mogła postrzec w ręku wuja - list djabelski. Przerażenie moje wzmogło się w chwili, gdym nagle ujrzał, że jeden ze starych i wytrawnych marynarzy, przechodząc obok wuja, rzucił badawcze spojrzenie na świstek papieru. Znienawidziłem w tej chwili wuja Tarabuka za jego obłędny upór, który stał się źródłem naszych nieszczęść.

Stary i wytrawny marynarz poznał odrazu charakter pisma djabelskiego, ponieważ wuj, zaczytany w swym wierszu, wystawił na widok publiczny tę stronę świstka, na której znajdował się list Djabła Morskiego.

»A to co? - zawołał stary i wytrawny marynarz, dotykając listu palcem wskazującym. - List Djabła Morskiego na naszym okręcie?« Wuj Tarabuk dumnie spojrzał na marynarza.

»Nie przeszkadzaj mi czytać, stary marynarzu« - rzekł głosem uroczystym.

Zmierzch wieczorny przesłaniał oblicze wuja tak, że marynarz w pierwszej chwili nie zauważył jego dziwacznych pozorów. Chcąc jednak dokładniej przyjrzeć się nieszczęsnemu właścicielowi djabelskiego listu, wyjął z kieszeni latarkę, zapalił ją i, uniósłszy wzwyż, rzucił snop światła na twarz wuja Tarabuka.

Rozwidniona latarką twarz ukazała swą czarnym drukiem szczelnie pokrytą powierzchnię. Widok ten wywarł na starym marynarzu tak silne wrażenie, że znieruchomiał, osłupiał z latarnią w dłoni. Usta rozwarł naoścież, oczy wywrócił we łbie i przez chwilę trwał bez ruchu. Zapewne głos zamarł mu w piersi, bo nie uronił ani jednego słowa.

Struchlałem, patrząc na tę scenę.

Chińczyk, który nie rozumiał grożącego nam niebezpieczeństwa, szepnął mi do ucha:

»Spójrz Sindbadzie, jak uroczyście i cudownie wygląda nasz poeta w świetle latarni!«

»Orangutang!« - krzyknął nagle stary marynarz głosem zdławionym.

177 ~ Ten okrzyk wielce obraził mego wuja.

»Jak śmiesz, zwykły śmiertelniku, nazywać mnie orangutangiem! - zawołał, zgóry spoglądając na marynarza. - Jestem poetą!«
»Jesteś synem djablicy i orangutanga! - odpowiedział marynarz z oburzeniem. - Znam ja się na takich mieszańcach!«
W tej samej chwili kapitan i reszta marynarzy otoczyli kołem wuja, oświetlonego latarnią. Zadrukowana wierszami twarz wuja górowała nad przerażonym tłumem, który mu się uważnie przyglądał.
»Syn djablicy i orangutanga! - wrzeszczał stary i wytrawny marynarz. - Jak śmiał potomek tak nikczemnej rasy wtargnąć na nasz pokład? Biada nam! W jego dłoni tkwi przeklęty list Djabła Morskiego! Obecność tego listu na okręcie wróży klęski i nieszczęścia. Kapitanie, radzę ci tego potwora wraz z listem wrzucić natychmiast do morza!«
»Do morza! Do morza!« - wrzasnęła chórem załoga.
»Nie jestem synem djablicy i orangutanga, ale poetą! - zawołał dumnie wuj Tarabuk. - Precz z moich oczu, marny tłumie, który nie umiesz uczcić i ocenić wielkiego poety! Zamiast na klęczkach dziękować mi za moją obecność na okręcie, chcesz mnie, marny tłumie, wrzucić do morza?«
»Do morza, do morza!« - powtórzyła chórem załoga.
Kilku marynarzy rzuciło się na wuja Tarabuka i, pochwyciwszy za dłonie, znieruchomiło w miejscu.
»Nie pozwolę temu człowiekowi nic złego uczynić! - zawołałem nagle, podbiegając do nieszczęsnego wuja. - Jest to mój wuj, którego żadne węzły pokrewieństwa nie łączą z djablicą lub orangutangiem!«
»Jest to wielki poeta i mój przyjaciel!« - zawołał zkolei Chińczyk, zbliżając się też do wuja.
»Tem gorzej dla was obydwóch! - odpowiedział stary i wytrawny marynarz. - Wrzucimy was z nim razem do morza!«
»Do morza z nimi, do morza!« - krzyknęła znowu załoga.
Nie wiadomo, czemby się skończyło to smutne nieporozumienie, gdyby nagły a niespodziany wypadek nie odwrócił od nas uwagi kapitana i marynarzy. Odpłynęliśmy już na kilka mil od lądu, i okręt nasz bujał na pełnem morzu.
Otaczał nas zmierzch wieczorny, który co chwila gęstniał, zapowiadając noc ciemną.
W tym zmierzchu znienacka błysnęło jakieś światło purpurowe, kołyszące się na miarowo rozechwianych falach.

Światło zdawało się piętrzyć na morzu i coraz zbliżało się do naszego okrętu.

Kapitan pochwycił lunetę i spojrzał przez nią w ową purpurę.

»Baczność! - zawołał po chwili. - Widzę okręt, zwany Purpurowcem. Załoga jego składa się z okrutnych kobiet - olbrzymek, które zajmują się rozbojem na morzu. Warkocze ich są purpurowe, a twarze piękne i straszne zarazem. Kobiety owe napadają na zbłąkane okręty, biorą w niewolę załogę i sprzedają swych niewolników czarodziejom, którzy zamieszkują wyspy zaklęte. Trudno im stawić opór, gdyż są nadzwyczaj silne. Nic nam wszakże nie pozostaje, jak tylko - walczyć do ostatniej kropli krwi! Bądźmy mężni i odważni! Nie ulęknijmy się przemocy tych olbrzymek! Wstyd bowiem okazać się tchórzem - wobec kobiet!«

Słowa kapitana wywarły na wszystkich znaczne wrażenie. Marynarze zapomnieli o wuju Tarabuku i o liście Djabelskim. Nowe niebezpieczeństwo skupiło uwagę całej załogi. Dzięki zgrozie niespodzianego wypadku - wuj Tarabuk nie został wrzucony do morza.

Pomimo ciemnoty wieczoru, widzieliśmy wyraźnie kołyszący się na falach Purpurowiec. Czerwone drzewo, z którego był zbudowany, jaśniało dziwnym, szkarłatnym blaskiem, niby łuna pożarna. Szkarłatne żagle gęstwiły się na wysokich masztach.

Na pokładzie Purpurowca widniały groźne postacie olbrzymek, które właśnie zaplatały swe purpurowe warkocze, aby im nie przeszkadzały w boju.

Zaplatały szybkim ruchem białych, cudownych dłoni. Oczy olbrzymek płonęły, niby gwiazdy.

Wkrótce Purpurowiec zbliżył się do nas o tyle, żeśmy mogli dosłyszeć śpiew strasznych olbrzymek.

»Morze, głębokie morze, bezbrzeżne morze! - śpiewały olbrzymki. - Bystry Purpurowiec unosi nas na wzburzonych falach. W świetle czerwonych latarni płoną nasze warkocze szkarłatne. Zaplatajmy je co prędzej, aby nam nie przeszkadzały w bitwie. Morze, głębokie morze, bezbrzeżne morze! Dziwaczny Purpurowiec kołysze się na grzbietach fal. Noc nadchodzi. Światło czerwonych latarni zabarwia ciemność dokolną. Zaplatajmy co prędzej nasze warkocze szkarłatne. Zbliża się godzina bitwy. Zwycięski Purpurowiec piętrzy się w ciemnościach nocnych. Biada naszym wrogom!«

Śpiew olbrzymek napełnił nam piersi uczuciem lęku. Śpiew ten co raz wzmagał się i potężniał. Purpurowiec wciąż zbliżał się do naszego okrętu »Panowie! - zawołał kapitan. - Za chwilę - czeka nas walka z olbrzymkami. Zapomniałem wam powiedzieć, że wzrok tych olbrzymek jest straszliwy. Rzadko kto może znieść płomienne pociski ich groźnych spojrzeń. Biada temu, kto stchórzy i, nie zniósłszy owych spojrzeń odwróci się tyłem do okrutnych posiadaczek Purpurowca! Olbrzymki bowiem w takiej chwili natychmiast wbiegają na pokład upatrzonego okrętu. Nie będą wszakże mogły opanować naszego okrętu, jeżeli nikt z załogi nie zdradzi lęku i nie odwróci oczu od ich straszliwych spojrzeń!«
»Słyszysz? - szepnąłem do ucha wujowi. - Słyszysz, drogi wuju? Cała sztuka walczenia z temi olbrzymkami polega na tem, aby patrzeć im prosto w oczy i nie odwracać się do nich plecami. Czy wytrzymasz ich wzrok?«
»Mam nadzieję, iż wytrzymam« - odpowiedział wuj Tarabuk.
»Panowie! - zawołał znowu kapitan. - Jestem pewien, że nikt z was nie stchórzy! W przeciwnym razie olbrzymki wezmą nas wszystkich do niewoli i sprzedadzą czarownikom na wyspie zaklętej!«
Purpurowiec wciąż się zbliżał. Olbrzymki już zaplotły swe warkocze i stanęły szeregiem na pokładzie Purpurowca. Oczy ich zaczęły błyskać, niby diamenty.
»Bardzo piękne mają oczy - zauważył szeptem wuj Tarabuk. - Dziwię się tym, którzy nie mogą znieść ich spojrzeń.
»Nie można ufać ich oczom - odrzekłem pośpiesznie. - Nie wiadomo, jakie czary i uroki kryją się w tych oczach napozór pięknych. Bardzo być może, iż z tych oczu wynikną nagle jakieś węże lub żmije jadowite. Zaledwom tych słów domówił, wuj Tarabuk chwycił mię mocno za rękę i głosem zdławionym szepnął:
»Litości! już widzę złote żmije i węże, które wynikają z oczu tych wiedźm! O, spójrz, Sindbadzie! Żmije te pełzną po powietrzu wprost ku nam!«
W pierwszej chwili wydało mi się, że wuj Tarabuk majaczy. Lecz - niestety - nie było to majaczenie! Oczy olbrzymek rozwarły się naoścież i z ich tajemniczej głębi wynikały rzeczywiście jakieś ruchliwe i lotne żmije złocistej barwy. Wynikały wciąż - jedna za drugą i, kłębiąc się w powietrzu nocnem, płynęły ku nam. Wkrótce całe powietrze zaroiło

się od złotych żmij. Ich płomieniste, cienkie jak igły żądła jarzyły się w ciemnościach. Każda z tych żmij trwała tylko jedno okamgnienie i marła, znikając bez śladu. Wszakże na jej miejscu zjawiały się inne tak, że tysiące złotych, cienkich smug żarzyło się wokół.
»Panowie! - zawołał znowu kapitan. - Stójcie odważnie w miejscu i nie odwracajcie się tyłem do Purpurowca! Ktokolwiek się odwróci - ten cały okręt odda w ręce tych wiedźm!«
Purpurowiec zbliżył się jeszcze o krok jeden. W oczach naszych migały złote żmijki, których liczba niezmiernie urosła. Źrenice olbrzymek rozszerzały się coraz bardziej.
»Sindbadzie! - szepnął mi do ucha wuj Tarabuk. - Nie masz pojęcia, do jakiego stopnia chce mi się plecyma odwrócić do Purpurowca, aby nie widzieć tych złotych żmij o płomienistych żądłach!«
»Na Boga! - zawołałem. - Bądź mężny, wuju! Patrz prosto w oczy tym wiedźmom! Jeśli nie wytrzymasz i tyłem się do nich odwrócisz, czeka nas zguba i hańba!«
»Zdaje mi się, że nie wytrzymam«... - zauważył szeptem wuj Tarabuk.
Byłem zrozpaczony.
Tymczasem kapitan, stanąwszy na przedzie całej załogi, dał znak ręką, aby gromadnie posunięto się ku przodowi okrętu.
»Wuju! - szepnąłem. - Uzbrój się w odwagę!«
»Zbroję się!« - szepnął wuj głosem złamanym.
»Naprzód!« - zawołał kapitan.
Marynarze jednoczesnym krokiem posunęli się naprzód. Ja i Chińczyk też niezwłocznie wykonaliśmy rozkaz kapitana. Atoli wuj Tarabuk nie ruszył się z miejsca.
»Wuju! - szepnąłem znowu. - Na litość Boga - zrób krok naprzód«.
»O, niedomyślny! - odrzekł wuj. - Nie rozumiesz komendy kapitana! Naprzód? - Wszakże to tytuł poematu, który mam właśnie na plecach To też pojmuję komendę kapitana w ten sposób, iż powinienem do straszliwych olbrzymek odwrócić się plecami, ile że na nich właśnie świetnieje ów tytuł«...
»Na miłość Boską, wuju! - szepnąłem, chwytając go za rękę. - Nie czyń tego! Zgubisz nas wszystkich i nadomiar złego zniesławisz swe imię, gdyż cię potępią, jako tchórza!«

»Trudno! - odpowiedział wuj głosem bezsilnym. - Nie mogę dłużej wytrzymać wzroku tych potwornych kobiet! Widok jadowitych żmij i wężów, które wypełzają z ich oczu, odbiera mi spokój, odwagę i wszelki humor. Jestem pewien, że nie zniesławię swego imienia, gdyż jest ono zbyt znane i znakomite. Nawet kapitan obcego okrętu wykrzykuje tytuł mego poematu. Jest to niezbity dowód mojej poczytności«.

»Naprzód!« - zawołał znów kapitan.

Tym razem wuj Tarabuk nie wytrzymał i błyskawicznie odwrócił się tyłem do Purpurowca.

Zaledwo to uczynił, a jedna z olbrzymek tygrysim susem przeskoczyła z Purpurowca na pokład naszego okrętu i, spadłszy na kark wujowi, obaliła go na ziemię. W tej chwili reszta jej towarzyszek, skacząc wślad za nią, przedostała się na nasz okręt.

W okamgnieniu niezwalczone olbrzymki skrępowały sznurami kapitana i całą załogę.

Znieruchomieni marynarze z wściekłością spoglądali na wuja Tarabuka.

»Tchórz!« - wołali jedni.

»Potwór!« - wrzeszczeli drudzy.

»Zdrajca! Djabeł!« - krzyczeli inni.

Bardzo być może, iż na twarzy wuja Tarabuka zakwitł w tej chwili bolesny rumieniec wstydu, lecz nie można go było dojrzeć z powodu zbyt gęstego druku, który pokrywał tę twarz czarną zasłoną.

»Moja to wina i przyznaję się do niej - szepnął nieszczęsny wuj, spuszczając oczy. - Chętniebym teraz stawił czoło tysiącom najstraszliwszych olbrzymek, ale niestety - chęć moja jest spóźniona, gdyż krępują mię więzy, których zerwać nie mogę. Mam wszakże nadzieję, iż w inny sposób potrafię nas wszystkich wyratować«.

To mówiąc, ściskał w dłoni jakiś papier, szczelnie zapisany. Poznałem ów papier. Był to - wiersz, który wuj Tarabuk niegdyś napisał na cześć Piruzy, a który tyle razy polecał mi wręczyć jakiejkolwiek spotkanej w drodze królewnie.

»Pani! - rzekł wuj Tarabuk, zwracając się nagle do olbrzymki, która stała tuż obok. - Pani! Domyślam się, że jesteś królową olbrzymek, bo górujesz nad niemi wzrostem. Pozwól tedy, królowo, iż ofiaruję ci wiersz, pisany na cześć kobiety, która potrafi ocenić wartość autora tego wiersza. Przeczytaj go, a jestem pewien, że wiersz ten oczaruje

ciebie. Uwielbisz poetę, który go stworzył, i pozbawisz więzów jego i całą załogę!«

»Nie umiem czytać - odrzekła olbrzymka - i nie mam czasu na czytanie. Musimy natychmiast przenieść was na pokład Purpurowca i płynąć dalej - do brzegów wyspy Szmaragdowej«.

Wuj chciał jej coś odpowiedzieć, ale nie zdążył. Olbrzymka dała znak ręką - i natychmiast jej towarzyszki pochwyciły kolejno jeńców i przeniosły ich na pokład Purpurowca. Po chwili Purpurowiec płynął już ku wyspie Szmaragdowej.

Leżeliśmy na dnie okrętu pokotem - bezsilni i bezwładni. Płynęliśmy w ten sposób dni kilka, aż wreszcie przybiliśmy do brzegu wyspy Szmaragdowej.

Olbrzymki niezwłocznie zaniosły nas na sam środek wyspy, gdzie znajdował się główny rynek.

Na rynku tym sprzedawano wyłącznie niewolników.

Wyspę Szmaragdową zamieszkują rozmaici czarodzieje, którzy chętnie skupują niewolników, aby się nimi posługiwać do przeróżnych praktyk czarnoksięskich.

To też olbrzymki wkrótce sprzedały kapitana i marynarzy. Pozostałem tylko ja, Chińczyk i wuj Tarabuk. Byliśmy słabsi fizycznie i stanowiliśmy przeto towar mniej ponętny. Olbrzymki po pewnym czasie straciły nawet nadzieję na to, że nas ktokolwiek kupi. Obawy ich jednak były zbyt przedwczesne. Wkrótce bowiem zbliżył się do nas jakiś czarnoksiężnik i, obejrzawszy kolejno mnie, Chińczyka i wuja Tarabuka, wyjawił chęć kupienia całej trójki.

Czarnoksiężnik ten nazywał się Barbel. Był on tak potworny, że widok jego napełnił nas przerażeniem. Miał zamiast twarzy - pysk mopsa i co chwila - warczał, ukazując ostre, białe kły.

Warcząc, zwrócił się do olbrzymki, która nas właśnie sprzedawała, i rzekł:

»Potrzeba mi trzech niewolników, a widzę, że masz właśnie trzech do sprzedania. Za tego młokosa dam ci sto dukatów, za Chińczyka - pięćdziesiąt, a za tego trzeciego - dam tylko jednego cekina, ponieważ jest wstrętnie brzydki i ma gębę zgoła zakopconą«.

Olbrzymka zgodziła się na ceny, proponowane przez czarnoksiężnika, lecz wuj Tarabuk z oburzeniem spojrzał na kupca i zawołał:

»Jak śmiesz proponować tak niską cenę za mnie! Obrażasz moją osobę i jednocześnie składasz dowód, iż nie umiesz ocenić wartości ludzi. Jestem poetą! Straciłbym cześć dla siebie samego, gdybym się zgodził na tak nikczemną zapłatę!«

»Wuju! - szepnąłem. - Na litość Boga, nie opieraj się i nie wszczynaj zbytecznej kłótni! Bądź rad, że kupują nas hurtem i że będziemy wspólnie dzielili swe losy. Byłoby stokroć gorzej, gdyby nas sprzedano rozmaitym czarnoksiężnikom i gdybyśmy musieli rozstać się i zatracić wszelką wieść o sobie«.

Wuj Tarabuk dumnie podniósł głowę.

»Nie mogę się zgodzić na to, abym został tak tanim nabytkiem! - zawołał głosem uroczystym. - Wart jestem przynajmniej tysiąca dukatów«.

»Nikt cię o zgodę nie pyta« - odparła olbrzymka.

»I nikt nie da tysiąca dukatów za takiego smolucha« - dorzucił, warcząc, czarnoksiężnik.

»Nie jestem smoluchem, lecz poetą! Przyjrzyj się mojej twarzy, a przekonasz się, iż świetnieją na niej ogłoszone drukiem poezje!«

»Ani mi się śni przyglądać takiej twarzy! - odrzekł czarnoksiężnik. - Bądź zadowolony, że daję za ciebie jednego cekina, boś nie wart nawet grosza«.

Czarnoksiężnik z pogardą odwrócił się od wuja Tarabuka i wypłacił olbrzymce należność za mnie, Chińczyka oraz upartego a nieszczęsnego właściciela zadrukowanej twarzy.

»Przeniosę was teraz do mego pałacu z pomocą zaklęcia - rzekł, zwracając się do nas. - W ciągu jednej minuty będziecie już na miejscu«.

Czarnoksiężnik wyciągnął nad nami dłonie i wyszeptał zaklęcie. Natychmiast pod wpływem wyszeptanego zaklęcia jakaś siła niewidzialna przeniosła nas do wnętrza pałacu potwornego Barbela. Znaleźliśmy się nagle w komnacie pałacowej o ścianach pozłocistych, na których wisiały stare portrety dziadów i pradziadów Barbela. Twarze ich miały rysy mopsie tak, że od pierwszego wejrzenia można było z łatwością stwierdzić podobieństwo rodzinne pomiędzy Barbelem a jego przodkami.

W głębi komnaty stały trzy otomany; jedna - zielona, druga - błękitna, trzecia - złota. Na zielonej leżała królewna w szatach zielonych, na

błękitnej - królewna w szatach błękitnych, a na złotej - królewna w szatach złocistych. Wszystkie trzy królewny zdawały się być nieruchome, drętwe i jakby nieżywe.
W kącie komnaty stał trójnóg, na którym płonął ogień różowy. Ogień ów zamiast syczeć, wydawał dźwięki melodyjne i taneczne. Czar tych dźwięków był tak nieodparty, żem poczuł w całem ciele niezwalczoną chęć tańca.
Barbel pozbawił nas więzów i rzekł:
»Spójrzcie na te trzy królewny, które leżą na trzech otomanach. Są one piękne, ale nieruchome. Sen, podobny do snu wiekuistego, obezwładnił ich ciała. Powołać je do życia można tylko z pomocą tańca. Czy słyszycie muzykę cudowną, która się dobywa z głębi płonącego na trójnogu ognia? Ogień różowy gra im do tańca, lecz trzem królewnom brak trzech tancerzy i dlatego też spoczywają na otomanach - nieruchome, drętwe i nieżywe. Nabyłem was w tym celu, abyście spełniali przy królewnach czynność wiernych tancerzy. Zbliżcie się do nich i zaproście je do tańca, a natychmiast ożyją i powstaną i wesprą się na waszych ramionach, aby wespół z wami wirować w tańcu zaklętym«.
»Czynność tancerza zgoła nie odpowiada powadze mego wieku - odparł wuj Tarabuk głosem urażonym. - Wymawiam ci tedy posłuszeństwo, potworny Barbelu«.
»Jesteś niewolnikiem - odpowiedział, warcząc, Barbel. - Musisz spełniać moje rozkazy. Zapłaciłem za ciebie cekina, więc należysz do mnie.
»Dałeś za mnie tak małą i lichą zapłatę, że nie masz prawa wymagać ode mnie zaklętego tańca« - zawołał wuj z najwyższem oburzeniem.
»Zmuszę cię do tańca« - krzyknął Barbel, zlekka poszczekując.
»Wuju - szepnąłem. - Nie ściągaj nowych klęsk na nasze głowy!«
Wuj nie słuchał mej prośby. Dumnie podniósł głowę i rzekł:
»Nie zmusisz mię nigdy, potworny Barbelu, do czynności, które nie mają nic wspólnego z mojem powołaniem! Jestem nietylko poetą, ale i księgą, która ujrzała światło dzienne po to, aby ją czytano, nie zaś zmuszano do jakiegoś tam zaklętego tańca! Nie będę tańczył i kwita!«
Barbel wpadł we wściekłość. Szczeknął kilka razy, wyjął z zanadrza olbrzymią rózgę łozinową, chwycił wuja za kark, obnażył mu plecy, na których znajdował się właśnie poemat p. t. «Naprzód«, i jął te plecy
185 ~ niemiłosiernie wspomnianą rózgą okładać.

Chciałem wraz z Chińczykiem wyrwać wuja z rąk okrutnego czarnoksiężnika, ale ten ostatni wyszeptał zaklęcie, które nas obydwu znieruchomiło w miejscu. Bezsilni i bezradni musieliśmy patrzeć na katusze biednego wuja Tarabuka.
Ukarawszy wuja, Barbel schował rózgę w zanadrze i zawołał:
»Powiedz mi teraz, czy będziesz tańczył czy nie?«
Wuj, zamiast odpowiedzieć, podbiegł do Chińczyka i szepnął:
»Przyjacielu, spójrz przez lupę na moje nieszczęsne plecy i zobacz, czy podły czarnoksiężnik nie popsuł uderzeniami mego poematu?«
Chińczyk spojrzał przez lupę na plecy wuja i jęknął boleściwie:
»Niestety! Poemat stał się nieczytelny! Litery znikły pod natłokiem sińców, pręg, skaz i szramów! Jeden czyn brutalny zniweczył pracę długoletniego natchnienia!«
»O, przeklęty czarnoksiężniku! - jęknął wuj Tarabuk. - Niech kara Boża spadnie na ciebie!«
»Jeżeli nie będziesz posłuszny mym rozkazom, - odpowiedział nielitościwy Barbel - postaram się o nieczytelność i reszty twych utworów«.
Słowa te wywarły na wuju Tarabuku wrażenie tak potężne, że natychmiast odmienił swe pierwotne postanowienie:
»Będę tańczył - szepnął głosem złamanym. - Będę tańczył aż do upadłego! Uczynię ze siebie tę ofiarę dla ocalenia utworów, które zasługują na nieśmiertelność. Niestety - jestem jedynem wydaniem moich własnych dzieł, nie mogę tedy narażać siebie na tego rodzaju niebezpieczeństwo i na tego rodzaju straty nieodżałowane!«
Ogień na trójnogu zakłębił się i zapłonął rzęsiściej. Z wnętrza jego wynikła głośniejsza muzyka, która napełniła dźwiękami całą komnatę.
Na skinienie czarnoksiężnika zbliżyliśmy się do nieruchomych królewien: wuj Tarabuk - do zielonej, Chińczyk - do złotej, a ja - do błękitnej.
Wówczas królewny poruszyły się jednocześnie jakimś niechętnym i dziwacznym ruchem. Poczem jednocześnie powstały ze swych otoman i pochyliły się ku naszym ramionom.
Ujęliśmy je wpół i rozpoczęliśmy taniec zaklęty.
Upojony melodyjnemi dźwiękami płonącego ognia, zwiewnie wirowałem po komnacie wraz z moją królewną błękitną.
Chińczyk tańczył ze zwinnością wiewiórki i tak szybko, że złota królewna zdawała się migotać w jego objęciach.

Wuj Tarabuk potykał się wprawdzie co chwila o zieloną szatę swej damy, ale tańczył mimo to z wielką starannością i sumiennością.
»Pląsajcie, pląsajcie! - mówił Barbel. - Pląsajcie aż do upadłego, a ja tymczasem pójdę na rynek, aby nabyć innych niewolników, którzyby zastąpili was w razie, jeśli skonacie ze zmęczenia«.
Czarnoksiężnik opuścił komnatę.
Płomienna muzyka ogarnęła nas dziwną ochotą do tańca. Wszakże wuj Tarabuk wkrótce uczuł znużenie. Dyszał z trudnością i sapał. Pot gradem spływał mu po czole.
»Dość tego tańca! - zawołał wreszcie zdyszany. - Dość tego tańca! Czarnoksiężnik wyszedł, więc śmiało możemy zaprzestać żmudnego wirowania i wypocząć«.
Myśl o wypoczynku trafiła do przekonania i mnie i Chińczykowi. Chcieliśmy niezwłocznie przerwać taniec, ale - niestety - zamiar nasz spełznął na niczem.
Zaklęte dźwięki muzyki, wyłonionej z płonącego na trójnogu ognia, unosiły nas wbrew woli i zmuszały do nieustannego wirowania po komnacie. Nadaremnie zręczny Chińczyk starał się znieruchomić swe rozpląsane stopy! Nadaremnie wuj Tarabuk zrobił nagły wysiłek, aby siąść na podłodze i w ten sposób powstrzymać opętany taniec! Nogi nasze wirowały obłędnie w takt zaklętej muzyki i z przerażeniem zrozumieliśmy, że żadna siła nie zdoła powściągnąć naszych zapałów tanecznych.
»Niestety! - zawołał wuj, wirując coraz szybciej. - Zdaje mi się, iż mi sądzono przetańczyć krótką resztę mego żywota! Czuję, że będę tańczył aż do śmierci, która nastąpi wkrótce wskutek wycieńczenia!«
»O tak, o tak! - jęknął Chińczyk, przebierając rytmicznie nogami. - Wszystko w tym pałacu jest zaklęte, poczynając od tancerek, które trzymamy w objęciu, a kończąc na rytmie muzyki, która swym czarem nieodpartym opętała nasze dusze i nogi!«
Wszystkie trzy królewny tańczyły w milczeniu i żadna z nich nie uroniła ani jednego słówka. Piękne ich twarze też zdradzały zmęczenie niewymowne. Usta ich poruszały się z trudem, jakby chciały coś powiedzieć, lecz nie mogły.
Pierwsza ozwała się królewna zielona, z którą tańczył zziajany wuj Tarabuk.

»Tancerzu mój, tancerzu! - zawołała, wirując zawrotnie. - Wiedz o tem, że tańczysz z wierzbą płaczącą, którą czarnoksiężnik zaklął w królewnę. Trzymasz w objęciu wierzbę płaczącą! Niech będzie pochwalony wszelki płacz na ziemi!«

»Tancerzu mój, tancerzu! - zawołała królewna błękitna, wsparta na mojem ramieniu. - Wiedz o tem, że tańczysz ze strumieniem, zaklętym w królewnę. Trzymasz w objęciu strumień! Niech będzie pochwalony wszelki szmer wody w sitowiu!«

»Tancerzu mój, tancerzu! - zawołała królewna złota, z którą Chińczyk zwinnie wirował. - Wiedz o tem, że tańczysz ze złotą rybką, zaklętą w królewnę! Trzymasz w objęciu złotą rybkę! Niech będzie pochwalony wszelki plusk na fali!«

»Jestem poetą i nic nie mam przeciw temu, aby trzymać w objęciach wierzbę płaczącą - odrzekł wuj Tarabuk, sapiąc w poskokach tanecznych. - Byłbym jednak rad, gdybyś zechciała, piękna tancerko, odsłonić mi tajemnicę tego, co się tu dzieje w tej komnacie zaczarowanej«.

»Opowiem ci, wszystko opowiem! - zawołała zielona królewna, ledwo tykając ziemi rozpląsaną stopą. W tem miejscu, gdzie teraz tańczymy, była niegdyś dolina kwiecista. Po dolinie płynął strumień. W głębi strumienia mieszkała rybka złota, a nad brzegiem strumienia szumiała wierzba płacząca. Przyszedł pewnego razu czarnoksiężnik Barbel«...

Zielonej królewnie zabrakło tchu w piersi - i zamilkła.

»Przyszedł pewnego razu czarnoksiężnik Barbel - pochwyciła królewna złota w wirze szalonego tańca. - Spojrzał Barbel na strumień i na wierzbę płaczącą i na rybkę złotą, która podpłynęła właśnie do brzegu. Barbel nigdy nikogo nie kochał«...

Królewnie złotej zabrakło tchu w piersi - i zamilkła.

»Barbel nigdy nikogo nie kochał - ciągnęła dalej królewna błękitna, zwiewnym ruchem kołując po sali. Nic go na ziemi nie zachwycało, prócz widoków natury. Stał nad brzegiem strumienia i tak długo patrzył, aż się zakochał w strumieniu i wierzbie płaczącej i złotej rybce. I rzekł: Muszę, ach muszę!«

Królewnie błękitnej zabrakło tchu w piersi - i zamilkła.

»I rzekł: Muszę, ach muszę mieć w swoim pałacu strumień i wierzbę płaczącą i złotą rybkę! - mówiła królewna zielona, nawiązując przerwaną opowieść swej poprzedniczki. - I postanowił zakląć nas w trzy

królewny, aby móc z nami rozmawiać, jak się rozmawia z ludźmi. I wyszeptał zaklęcie«...

Królewnie zielonej zabrakło tchu w piersi i zamilkła.

»I wyszeptał zaklęcie - ciągnęła dalej królewna złota - a zaklęcie owo przeobraziło nas w trzy królewny, zaś dolinę przedzierzgnęło w pałac, w którym teraz tańczymy. Czarnoksiężnik złożył nas na trzech otomanach, gdyż byłyśmy zlęknione i znużone swym nowym kształtem. Lecz nadaremnie czarnoksiężnik wyczekiwał naszych spojrzeń i szeptów i westchnień! Leżałyśmy bez ruchu, niby martwe, niby nieżywe. Wówczas zapalił na trójnogu ogień tajemniczy, który napełnił komnatę dźwiękami zaklętej muzyki. Poczem sprowadził nam trzech tancerzy i rozkazał im tańczyć z nami aż do upadłego, aby tym sposobem zmusić nas do pozbycia się martwoty i bezruchu. I zaczęłyśmy tańczyć pod musem dźwięków tajemnych. Tańczyłyśmy tak długo, aż tancerze nasi skonali ze zmęczenia, nie mogąc na chwilę nawet przerwać zaklętego tańca, aby wypocząć. Wówczas czarnoksiężnik«...

Królewnie złotej zabrakło tchu w piersi - i zamilkła.

»Wówczas czarnoksiężnik - podchwyciła królewna zielona - sprowadził nam innych tancerzy. Odtąd życie nasze stało się nieustannym, pełnym męki tańcem. O, gdybyś wiedział, mój tancerzu przygodny, jak ciężko jest i boleśnie wierzbie płaczącej dźwigać brzemię powłoki ludzkiej!«

»I jak smutno złotej rybce taić się wciąż pod postacią królewny!« - dodała królewna złota.

»I jak ciasno strumieniowi w tych zwiewnych szatach, które zdobią moją kibić!« - dorzuciła królewna błękitna.

»Jest jednak sposób pozbycia się tańca i zniweczenia czarów, które nas wiążą! - zawołała zielona królewna. - Trzeba tylko w czasie tańca zbliżyć się do trójnoga i zdmuchnąć płonący na nim ogień. Wówczas pałac zamieni się w dolinę, a ja - w wierzbę płaczącą«.

»A ja - w strumień!« - rzekła królewna błękitna.

»A ja - w rybkę złotą« - szepnęła złota królewna.

»Gdy się to stanie, czarnoksiężnik natychmiast przybiegnie nad brzeg strumienia z wędką w dłoni i zarzuci wędkę do strumienia, aby złowić złotą rybkę - rzekła królewna zielona. - Tak bowiem chce przeznaczenie, że, aby nas ponownie w trzy królewny zakląć, musi pierwej złotą rybkę złowić«.

»Muszę was uprzedzić - dodała królewna błękitna - że tajemnica życia czarnoksiężnika tai się na końcu wędki. Dość ów koniec złamać, aby Barbel istnieć przestał«.

»Któż jednak potrafi dmuchnąć tak mocno, aby zgasić ogień zaklęty? - zawołała królewna złota. - Dotąd żaden z tancerzy nie potrafił tego uczynić!«

»Zdmuchnijcie ogień zaklęty!« - szepnęła królewna zielona.

»Zdmuchnijcie ogień zaklęty!« - powtórzyła królewna złota.

Jęliśmy pokolei próbować sił swego oddechu. Wszakże ani ja, ani Chińczyk nie zdołaliśmy zdmuchnąć ognia zaklętego.

»Teraz na mnie kolej«-zawołał wuj Tarabuk, który ze zmęczenia sapał, jak miech kowalski.

Widziałem, jak czarne policzki wuja odęły się nagle, a pierś od nabranego tchu wezbrała, nakształt wzgórza. Właśnie skierował taniec w stronę trójnoga i zbliżył się do niego tak, że omal nie dosięgnął wargami zaklętego płomienia.

Wówczas wuj Tarabuk, sapiąc, dmuchnął tak potężnie, że ogień zgasł odrazu. Dźwięki muzyki ustały. Zatrzymaliśmy się nagle w tańcu. Pałac w tej samej chwili zamienił się w dolinę kwiecistą. Królewna zielona wymknęła się z objęć wuja i przedzierzgnęła się w wierzbę płaczącą. Królewna błękitna oderwała się od mego ramienia i przeobraziła się w strumień tuż - u stóp wierzby. Królewna złota wyśliznęła się z uścisków Chińczyka i, zmieniona w złotą rybkę, wskoczyła radośnie do strumienia.

Znaleźliśmy się nagle w nieznanej dolinie, pełnej kwiatów i krzewów.

»Panowie! - zawołał Chińczyk. - Ukryjmy się w krzakach, bo mściwy czarnoksiężnik lada chwila nadejść może«.

Zaledwo ukryliśmy się w krzakach, nadbiegł Barbel z wędką w dłoni. Przykucnął nad brzegiem strumienia i zarzucił wędkę do wody. Siedział tak kilka godzin bez skutku. Rybka złota omijała przynętę.

Zmęczony kilkogodzinnem wyczekiwaniem, Barbel wyjął wędkę z wody i położył obok - na trawie, aby po chwili wypoczynku znów ją do strumienia zarzucić.

Wówczas zwinny Chińczyk wynurzył się z krzaka, podpełznął do wędki i szybko złamał jej kończynę, gdzie kryła się tajemnica istnienia Barbela.

Barbel - martwy - padł na trawę.
»Jesteśmy zbawieni! - zawołał Chińczyk. - Uchodźmy co prędzej z tej wyspy, gdzie na każdym kroku czyha na nas niebezpieczeństwo!« Natychmiast udaliśmy się wprost przed siebie, aby dotrzeć do brzegów wyspy. Żaden wypadek nie zatrzymał nas w drodze. Wkrótce stanęliśmy na brzegu morza, gdzie właśnie płynął wpobliżu okręt.
Na dany przez nas znak okręt się zatrzymał. Wbiegliśmy wesoło na pokład. Wesołość nasza wzmogła się, gdyśmy się dowiedzieli, że okręt właśnie płynie w stronę Balsory.

ZAKOŃCZENIE

Załoga okrętowa składała się z rozmaitych osób. Uwagę naszą zwróciła pewna piękna dziewczyna oraz pewna wiekowa już, ale bardzo miła jejmość. Dziewczyna okazała się córką jednego ze sławnych podróżników, zaś jejmość - wdową po kupcu perskim. Dziewczynie było na imię Arkela, zaś jejmości - Barabakasentoryna. Arkela oczarowała mię od pierwszego wejrzenia. Oświadczyłem się jej niezwłocznie i zostałem przyjęty. Wuj Tarabuk zachwycił się otyłą nieco postacią Barabakasentoryny. Idąc w moje ślady, nie zwlekał ani chwili, jeno odrazu wyjawił jej chęć ożenku.

»Zgodziłabym się na ożenek, ale pod warunkiem, że zmyjesz z twarzy te czarne centki, które cię szpecą i czynią podobnym do murzyna« - odrzekła Barabakasentoryna.

»O, Barabakasentoryno! - odpowiedział wuj. - Te czarne centki są literami, które się wiążą w słowa cudowne! Wiedz, żem na powierzchni mego ciała kazał wydrukować moje poematy, jestem bowiem poetą. Będziesz więc miała we mnie i męża i książkę do czytania«.

»Nie znoszę książek i nigdy ich nie czytam, - odparła Barabakasentoryna. - Nie cofnę mego warunku. Jeśli chcesz mię posiąść, musisz zmyć z twarzy ten druk przebrzydły«.

»O, Barabakasentoryno! - westchnął wuj Tarabuk. - Kocham cię nad życie i gotów jestem ponieść wszelką ofiarę, byle tylko nazwać cię - żoną. Prawdziwy poeta wszystko może przezwyciężyć, prócz miłości! Nie wiem jednak, czem mogę zmyć ten druk, który nazywasz przebrzydłym? Zdaje mi się, że nic go już nigdy nie zmyje!«

»Mam zioła, których wywar zmywa wszelkie plamy - rzekła Barabakasentoryna. - Dam ci je natychmiast, abyś jeszcze w czasie podróży wykonał mój warunek«.

Barabakasentoryna podała wujowi pudełko z ziołami. Wuj pochwycił je i udał się do kajuty wraz z Chińczykiem, aby tam spróbować mocy tych ziół.

Po godzinie wrócił na pokład - z twarzą zupełnie białą. Widok tej twarzy uradował mię bardzo, gdyż znów ujrzałem dawnego wuja.
»Jesteś teraz tak piękny, że nie mogę ci odmówić mojej ręki!« - zawołała Barabakasentoryna.
Po trzech miesiącach żeglugi stanęliśmy w porcie balsorskim, a stamtąd udaliśmy się do Bagdadu.
Nazajutrz w Bagdadzie odbyły się dwa śluby - mój z Arkelą i wuja Tarabuka z Barabakasentoryną.
Odtąd żyliśmy spokojnie w pałacu rodzinnym. Djabeł Morski już nie nawiedzał mię we śnie i nie kusił do podróży, ponieważ stałem się człowiekiem żonatym i poważnym.
Wuj Tarabuk od czasu do czasu próbuje pisać wiersze, ale Barabakasentoryna drze je na drobne kawałki, bo nie znosi poezji. Wuj pozwala jej na wszystko i nigdy się jej nie przeciwi.
Sam jej przynosi każdy świeżo napisany wiersz i mawia zazwyczaj:
»Moja droga Barabakasentoryńciu! Przynoszę ci tu wierszyk, abyś go mogła zawczasu zniszczyć«.
I Barabakasentoryna niszczy bezlitośnie utwory wuja.
Co do Chińczyka - ten, jak się okazało, posiadał niezwykły talent kulinarny. Wuj Tarabuk mianował go kucharzem pałacowym.

K O N I E C